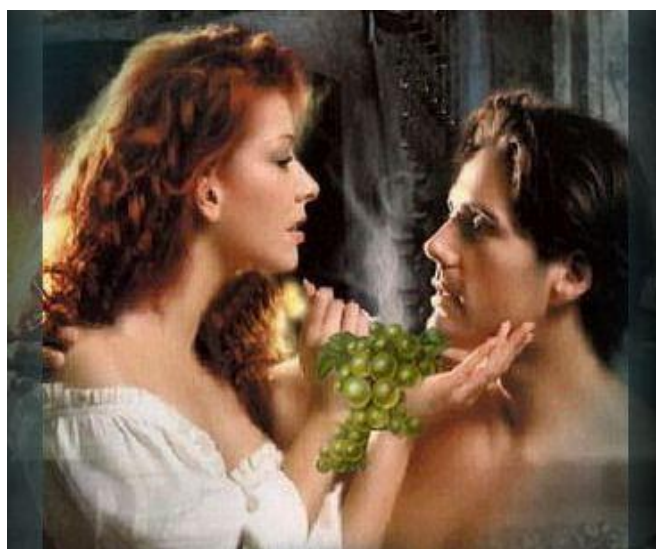




**REBECCA LANG**



**PIEŚŃ WESELNA**

Przekład: Anna Kominiak-Michalska

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Meg nigdy jeszcze nie widziała tyle śniegu. Wokół samolotu wirowały płatki, niczym gęsty obłok pierza. Zbliżali się już do Chalmers Bay, ale zadyмка sprawiła, że niewielkie arktyczne osiedle, które Meg przez krótką chwilę widziała przez okienko samolotu, teraz stało się niewidoczne.

Podczas lądowania samolot wielokrotnie podskakiwał. Gdy wreszcie się zatrzymał, pasażerowie spontanicznie nagrodzili pilota oklaskami. Meg wiedziała już, że znalazła się w Chalmers Bay, na kanadyjskiej północy. Rozejrzała się nieśmiało wokół; miała nadzieję, że nie wygląda na taką nowicjuszkę, jaką się czuła. W istocie wcale nie była nowicjuszką - przez ostatnie pół roku właściwie samodzielnie prowadziła dom opieki w miejscowości bardzo odległej od wielkomiejskiej cywilizacji. A teraz znalazła się w miejscu jeszcze bardziej zapomnianym przez Boga i ludzi.

Ktoś przeciągnął linę od trapu do drzwi baraku, pełniącego rolę terminalu. Dzięki temu mogli trafić do środka. Meg przeżyła już w życiu gęste zamiecie w północnej Manitobie, jednej z południowych prowincji Kanady, ale żadna z nich nie dorównywała temu, co działo się wokół niej. A przecież podobno zbliżała się już wiosna.

- Proszę się złapać liny, szanowna pani - polecił jej stojący u podnóża schodów steward. Z trudem dostrzegła zarys jego postaci, dodatkowo zniekształconej grubą, puchową kurtką.

- Dziękuję - odpowiedziała uprzejmie.

Przebijając się przez śnieg, zastanawiała się, czy rzeczywiście jej wygląd uzasadnia taką przesadną uprzejmość stewarda.

Zatrzymała się pośrodku poczekalni, koło swoich bagaży, i zsunęła z głowy kaptur. Czekwała cierpliwie, aż podejdzie do niej ktoś ze stacji medycznej w Chalmers Bay. Z całą pewnością pogoda wykluczała jazdę samochodem. Pomyślała, że będzie musiała do tego nawyknąć. Miała zamiar spędzić tu kilka miesięcy. Rozejrzała się wokół. Spartańskie wyposażenie jasno wskazywało, że nie jest to miejsce, przeznaczone do wygodnego wypoczynku.

Po jakichś dwudziestu minutach, które ciągnęły się w nieskończoność, otworzyły się drzwi wiodące na zewnątrz i w poczekalni pojawiło się kilkoro ludzi, przybywających na spotkanie pasażerów. Meg miała nadzieję, że ktoś zgłosi się również po nią. I rzeczywiście, po chwili zbliżyła się do niej jakaś kobieta. Po drodze odrzuciła do tyłu pokryty śniegiem kaptur. Była młoda, a

jej ładną twarz okalały bujne rudawe włosy. Meg pomyślała z ulgą, że to z pewnością doktor Alanna Hargrove ze stacji. Wiedziała, że doktor Hargrove pracuje w Chalmers Bay już od kilku tygodni i wkrótce ma wracać na południe.

W Chalmers Bay nie było żadnego stałego lekarza; przyjeżdżali tu na kilka tygodni, po czym następowała zmiana. Na szczęście pracowała tu na stałe jedna pielęgniarka, niejaka Bonnie Mae, rodowita Kanadyjka z Edmonton w Albercie, miasta położonego setki kilometrów na południe od Chalmers Bay.

- Meg Langham, nieprawdaż? - Młoda kobieta podeszła do Meg i uśmiechnęła się serdecznie. Zdjęła rękawice i wyciągnęła rękę w powitalnym geście. Podobnie jak Meg, miała wyraźny angielski akcent, zupełnie nie pasujący do otoczenia.

- Tak.

- Jestem Alanna Hargrove. Witam w Chalmers Bay. Meg odprężyła się i uśmiechnęła do niej. Podała jej rękę.

Znowu poczuła ulgę. Jakie to szczęście, że przyjechała po nią doktor Hargrove, a nie on...

- Jak się udał lot? - spytała Alanna. Z bliska wydawała się jeszcze ładniejsza. Patrzyła na Meg wielkimi orzechowymi oczami i uśmiechała się serdecznie. Co taka kobieta może robić tu, na północy? - zastanowiła się Meg. - Pewnie rozpaczliwie szukała jakiejś pracy, tak samo jak ja.

- Trochę rzucało - przyznała. - Cieszę się, że już jestem na ziemi i że cię widzę.

- Załadujemy bagaże na furgonetkę. Zaparkowałam tuż przy wejściu. Ta zamieć powinna się zaraz skończyć, to takie ostatnie podrygi zimy. - Alanna zaśmiała się beztrąsko.

- Masz rękawiczki, Meg?

- Tak.

Wspólnie zataszczyły torby do starej, niebieskiej furgonetki. Już po kilku minutach Meg poczuła, jak pod wpływem suchego, mroźnego powietrza drętwieje jej twarz. Z każdym oddechem pojawiał się ból śluzówki; wiedziała, że już za chwilę na końcach każdego włosa w nosie i na rzęsach powstaną grudki lodu. Wokół w dalszym ciągu szalała zamieć.

- Przeczekamy zadymkę w szoferce, zgoda? - zaproponowała Alanna, z trudem przekrzykując wiatr.

W samochodzie było dość ciepło. Alanna włączyła silnik. Strumień ciepłego powietrza szybko rozgrzał niewielkie wnętrze. Meg już żałowała,

że Alanna wkrótce wyjedzie. Miała przeczucie, że mogłyby zostać przyjaciółkami.

- Słyszałam, że przez pół roku pracowałaś w północnej Manitobie - zaczęła rozmowę lekarka. - Byłaś tam całą zimę? Jeśli tak, to chyba zdążyłaś przywyknąć do śniegu.

- Owszem - przyznała Meg. - Doszłam do tego, że lato wydawało mi się nieziszczalnym marzeniem.

- Co cię tu sprowadza? Zawsze mnie ciekawi, dlaczego ludzie decydują się na przyjazd na północ.

- No cóż... - Bezpośrednie pytanie zaskoczyło Meg.

- Mówiąc krótko, nie miałam innej pracy... Właśnie z tego powodu wylądowałam w Manitobie. Przyjazd tutaj wydawał mi się odpowiednim krokiem przed powrotem do tak zwanej cywilizacji. Straciłam pracę w Gresham, w Ontario, z powodu cięć budżetowych. Sytuacja ekonomiczna jest beznadziejna. Ktoś zaproponował mi prowadzenie domu opieki w północnej Manitobie, no i tak się tam znalazłam.

- "Widzę, że nie brak ci odwagi. Właśnie kogoś takiego tu potrzeba.

- To tylko tak się złożyło... A co z tobą? też się zastanawiałam, jak się tu znalazłaś.

- To nieco dłuższa historia. - Alanna uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się dziwny wyraz. - Opowiem ci o tym, nim wyjadę z Chalmers Bay.

- A czy on też tu jest? - Meg nie zdołała się powstrzymać od zadania tego pytania. - Mam na myśli Craiga Russella.

- Tak. - Alanna spojrzała na nią ze zdziwieniem. - Doktor Russell przyjechał tydzień temu. Znasz go?

- E,.. tak. Pracowaliśmy razem przez kilka miesięcy w Gresham - odpowiedziała, starając się zachować obojętny ton.

- Tak? Nic o tym nie wspominał.

Meg mogłaby wymienić kilka powodów tłumaczących, dlaczego Russell wolał nie przyznawać się do znajomości z nią. Jednym z nich mogły być wyrzuty sumienia. Nawet w tak dużym kraju jak Kanada trudno byłoby znaleźć dwie pielęgniarki nazywające się Meg Langham.

- Pracowaliśmy razem w sali operacyjnej - wyjaśniła. - Byłam jego instrumentariuszką. Zwykł stroić sobie ze mnie żarty, bo musiałam stawać na taborecie. Jestem od niego o wiele niższa...

- Wydaje mi się, że w twoim głosie słyszę niechęć do niego. Czyżbym się myliła? - spytała Alanna. - Rzeczywiście, nie jesteś wysoka. Metr pięćdziesiąt pięć?

- Tak. Ale za to nie do zdarcia - odrzekła Meg, pomijając kwestię swej antypatii do Craiga.

Wirujące w powietrzu płatki śniegu wywierały na nią hipnotyczny wpływ. Pozwoliła swym myślom płynąć równie swobodnie. Gdyby wiedziała zawczasu, że Craig Russell również wybiera się do Chalmers Bay, z pewnością by tu nie przyjechała, choć naprawdę zależało jej na pracy. A może jednak? Z wyroku opatrzości znaleźli się znowu w tym samym miejscu ogromnego kraju. To wyglądało na omen, niemal wyzwanie. Od chwili gdy Meg po raz pierwszy zobaczyła Craiga na pogotowiu w szpitalu w Gresham, miała wrażenie, że łączą ich jakaś tajemnicza, odwieczna więź.

Co za bzdury - skarciła się w myślach. A jednak nie mogła zaprzeczyć, że ta więź decydująco wpłynęła na jej życie. Dopiero na tydzień przed wyjazdem Meg dowiedziała się, że jednym z lekarzy w Chalmers Bay jest Russell. Jednak było już za późno, aby mogła się wycofać. Miała siedzieć tu do końca sierpnia, czyli do początku krótkiej jesieni, po której nie kończące się dni ustępują miejsca nieustannym ciemnościom.

Kierownictwo Północnego Korpusu Służby Medycznej z siedzibą w Toronto wiedziało, że nie ma sensu wymagać, aby ktokolwiek podejmował się pracować na północy dłużej niż sześć miesięcy. Właśnie dlatego jej kontrakt kończył się w sierpniu, po czym znów czekało ją bezrobocie. Przypuszczała, że Craig Russell również wróci wtedy do Gresham.

Nie, gdybym wiedziała, z pewnością bym tu nie przyjechała - pomyślała ze smutkiem. - Mimo iż kocham go tak bardzo, że nigdy o nim nie zapomnę.

Po kwadransie śnieżycy nagle ustała i mogły ruszyć. Jechały zasypaną śniegiem drogą, którą wytyczały słupy elektryczne. Meg rozejrzała się dokoła. Wokół widać było pokrytą białym całunem równinę, którą ożywiały tylko widoczne z dużej odległości niskie domy o pastelowych barwach. O ile mogła się zorientować, były zbudowane z drewna. Tylko kilka większych, przemysłowych budynków miało stalową konstrukcję. Lotnisko znajdowało się oczywiście na skraju osiedla. Po drugiej stronie pasa startowego widać było ciemne, poszarpane skały, ostro odcinające się od jasnego nieba.

Furgonetka posuwała się do przodu wyłącznie dzięki grubym, śnieżnym oponom. Wokół nie było widać żadnych drzew ani innych roślin. Meg założyła okulary przeciwsłoneczne, aby chronić oczy od odbitych od śniegu,



oślepiających promieni słońca. Na północ od osiedla widać było Coronation Gulf, szeroką zatokę oceanu, której lokalna" społeczność zawdzięczała istnienie. Latem, gdy z powierzchni oceanu na krótko zniknął lód, docierały tu statki z zaopatrzeniem.

- Zwracaj się do wszystkich po imieniu - odezwała się Alanna. - Tu panują bardzo nieformalne zwyczaje. Jestem przekonana, że nie będziesz miała żadnych kłopotów z Craigiem. Sytuacja właściwie wymusza zgodną współpracę... Po paru dniach wszyscy w naturalny sposób podporządkowują się tym regułom. W przeciwnym wypadku muszą odejść.

- Dzięki...

- Nawiasem mówiąc, Craig przyjechał z małym synkiem. Ma tu być przynajmniej przez parę miesięcy. Mieszkają w osiedlu, razem z jakąś jego przyjaciółką, która ma uczyć w podstawówce.

- Doprawdy? - spokojnie odpowiedziała Meg. - Poznałam tego chłopca.

Tego mogła się spodziewać. Gdziekolwiek był Craig, zawsze kręciły się jakieś kobiety... tak przynajmniej słyszała. Choć nie należała do plotkarek, trudno było ignorować opowieści krążące w szpitalu.

- Gdy wyjadę z Chalmers Bay - dodała Alanna - Craig przeniesie się do służbowego mieszkania, tam, gdzie ty się rozlokujesz. No, przynajmniej będzie tam mieszkać podczas dyżurów telefonicznych. Jego syn oczywiście pozostanie z tą nauczycielką, która również ma dziecko w jego wieku.

Podczas jazdy furgonetka podskakiwała na wybojach i ślizgała się po lodzie. Meg z trudem zachowywała równowagę na fotelu. Starła się spokojnie przetrwać tę nowinę.

- Czy chcesz powiedzieć, że będziemy razem mieszkać? - spytała z niedowierzaniem.

- W pewnym sensie - pogodnie odrzekła Alanna. - Nie masz się czym przejmować, tam jest dość miejsca. Będziesz miała własną łazienkę.

Meg zaniemówiła. Furgonetka gwałtownie podskoczyła na zdradliwym wyboju, pozbawiając ją tchu. W pobliżu jechała jeszcze jedna ciężarówka na kołach. Inne pojazdy miały płozy lub gąsienice. Na otwartym terenie widać było kilka skuterów śnieżnych; wszyscy kierowcy ubrani byli w grube kurtki, a ich oczy chroniły gogle.

- Rozumiem - wybąkała wreszcie, z trudem przełykając ślinę.

- Zawiozę cię prosto do twojego mieszkania i wszystko ci pokażę - zapowiedziała Alanna. - Niedługo muszę iść do pracy. Będziesz mogła odprężyć się i rozpakować. Masz już przygotowany jakiś posiłek.

Wieczorem lub jutro rano oprowadzę cię po stacji. Ja albo Bonnie Mae. Bonnie ma własne mieszkanie. - Alanna nie powiedziała nic o ewentualnym spotkaniu z Craigiem Russellem. - Na stałe pracuje tu jeszcze jedna osoba. To Skip, sanitariusz i laborant. Pewnie zresztą o tym wiesz, bo na ciebie spadnie część jego obowiązków. Skip wybiera się do Edmonton na kurs dokształcający.

- Wiem, tak jest w umowie.

- Jesteś dyplomowaną pielęgniarką, prawda?

- Tak, oczywiście.

Mieszkanie służbowe okazało się bardziej przestronne i wygodniejsze, niż Meg przypuszczała. W obszernym, lecz przytulnym salonie połączonym z jadalnią znajdowały się wszystkie nowoczesne urządzenia, do jakich przywykli ludzie na południu. Niewątpliwie to Alanna zadbała o różne drobiazgi, dzięki którym pokój nabrał ciepła i nie sprawiał hotelowego wrażenia. Apartament składał się dodatkowo z równie nowoczesnie wyposażonej kuchni, niewielkiej pralni i dwóch sypialni z oddzielnymi łazienkami.

- Zaparzę herbatę - zapowiedziała Alanna, gdy umieściły bagaże Meg w jednej z sypialni. - Rozpakuj się. Spotkamy się później. Mieszkam w drugim pokoju.

- Dziękuję, Alanna. Cieszę się, że zechciałaś mi pomóc. Cały budynek był bardzo starannie ocieplany, a niewielkie okno w sypialni potrójnie przeszklone. Meg rzuciła okiem na grubą kołdrę i zajrzała do łazienki. Z pewnością nie powinna się tu uskarżać na niewygodę.

- Proszę, Meg. - Po kilku minutach Alanna wróciła do pokoju z kubkiem herbaty. - Nie zapominaj, że wszyscy mówimy tu sobie po imieniu. Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty z Craigiem, w co wątpię, to od razu mi powiedz. Postaram się, aby przed moim wyjazdem wszystko się ułożyło.

Meg kiwnęła głową. Już po kilku łykach herbaty poczuła, jak się odpręża.

- Dziś jest sobota - oznajmiła Alanna, dopijając swoją herbatę. - Wobec tego rozpocznesz pracę dopiero w poniedziałek. Jeśli będziemy miały czas, to w ciągu weekendu pokażę ci stację i całe osiedle. OK?

- Tak, dziękuję.

- Muszę lecieć. Jeśli się spóźnię, wszyscy będą zgrzytać zębami. - Zanim wyszła, pokazała stojące w lodówce dwa zakryte talerze. - To dla ciebie, Meg. Musisz tylko wstawić do kuchenki mikrofalowej na parę minut. OK?

- Nie martw się o mnie. Wierz mi, że po północnej Manitobie mało co może mnie zaskoczyć. - Uśmiechnęła się. Zauważyła, że mimo swego brytyjskiego pochodzenia Alanna ciągle dodaje „OK”, niczym rodowici Amerykanie. To rzeczywiście użyteczne słowo.

- Postaram się pamiętać, że wbrew pozorom jesteś twardzielem. Cześć!

Meg została sama. W mieszkaniu było bardzo cicho.

Z dworu dochodził szum wiatru hulającego nad tundrą i między budynkami. Stacja medyczna znajdowała się po przeciwnej stronie osiedla niż lotnisko.

Przeszła do salonu. Z kubkiem w dłoni zatrzymała się pośrodku i rozejrzała dokoła. Telewizor, wideo, półki na książki, obrazy na ścianach, kolorowe poduszki. Po chwili usiadła na fotelu i zamknęła oczy. Była zadowolona, że pomyślnie przetrwała sześciomiesięczną próbę samodzielności w domu opieki, gdzie nie było żadnego lekarza i gdzie sama musiała podejmować wszystkie decyzje. Praca w Chalmers Bay miała zupełnie inny charakter, ale zapowiadała się równie interesująco.

Jak zwykle, mając wolną chwilę, wróciła myślami do dnia, w którym po raz pierwszy spotkała Craiga Russella. Było to rok i trzy miesiące temu...

Przyjechała do Kanady niewiele wcześniej. Otrzymała pozwolenie na stały pobyt tylko dlatego, że jej rodzice mieszkali w Ontario dostatecznie długo, by uzyskać obywatelstwo, po czym wrócili do Anglii. Meg powróciła do Kanady jako młoda dyplomowana pielęgniarka. Udało się jej dostać pracę w ogromnym szpitalu; od samego początku bardzo jej zależało, aby wywrzeć korzystne wrażenie i dopasować się do nowego otoczenia. Z pewnym zdziwieniem zauważyła, że wszystkie siostry zachowują się z niezwykłą pewnością siebie, jakby nigdy nie miały żadnych wątpliwości. Aby przetrwać, musiała zachowywać się podobnie, choć nie leżało to w jej charakterze. Z natury nie była skłonna do narzucania innym swej woli ani ukrywania prawdziwych uczuć.

Dopiero po kilku tygodniach zdała sobie sprawę, że inne pielęgniarki i lekarze nie są wcale tak pewni siebie i nieomylni, jak myślała początkowo. W większości przypadków była to tylko maska kryjąca prawdziwą słabość. W szpitalu wszyscy walczyli o przetrwanie, starali się wykorzystać słabe punkty konkurentów i nie zdradzać własnych. To była dla niej prawdziwa rewelacja. Nigdy przedtem nie zetknęła się z tak ostrą konkurencją, wywołaną spodziewaną redukcją na wszystkich poziomach, która była związana z sytuacją ekonomiczną.



Angielski akcent wyróżniał Meg spośród pozostałych. Wiele koleżanek i kolegów dawało jej do zrozumienia, że jako cudzoziemka miała wielkie szczęście, iż udało się jej dostać pracę. Meg wiedziała, że tak było w istocie, choć oczywiście nie miało to nic wspólnego z jej kwalifikacjami.

Po pewnym czasie przywykła do tej atmosfery i zyskała prawdziwą pewność siebie. Doszła do wniosku, że dobrze sobie radzi z obowiązkami. Nie znalazła się jeszcze w sytuacji, w której nie wiedziałaby, co ma robić. Początkowo pracowała w pogotowiu szpitala uniwersyteckiego w Gresham, ale obiecano jej przeniesienie na chirurgię, w której specjalizowała się w szkole.

To właśnie w pogotowiu spotkała syna Craiga Russella, a później jego samego. Nie wiedziała wtedy, że jest on szpitalnym lekarzem i że już wkrótce będzie pracowała pod jego kierownictwem.

Na wspomnienie tego spotkania lekko się zarumieniła. Zachowywała się wtedy tak jak wszyscy dokoła i zrobiła z siebie idiotkę. Od tamtej pory postanowiła, że przestanie pozować i będzie sobą: spokojną, kompetentną Meg Langham.

Chłopiec przyjechał na pogotowie z babcią, Angielką, od wielu lat mieszkającą w Kanadzie. Była wtedy zima. Siedmioletni chłopak spadł z sanek i złamał rękę. Uraz, pęknięcie „zielonej gałązki”, często przytrafiający się dzieciom, pozostał nie zauważony aż do wieczora. Gdy chłopiec narzekał na uporczywy ból, babcia postanowiła zawieźć go do lekarza.

To był sympatyczny chłopiec z jasnymi włosami i niebieskimi oczami. Bardzo starał się nie płakać i nie jęczeć. Meg zaprowadziła go do pokoju, gdzie mógł położyć się na kozetce. Babcia usiadła obok. Meg uśmiechnęła się do niego i ostrożnie rozwiązała jedwabną chustkę służącą za prowizoryczny temblak.

- Powiedz mi, gdzie cię boli, Rob - powiedziała. - Nic się nie bój, będziemy bardzo ostrożni.

- To tu. - Chłopiec wskazał palcem na górną część ramienia. Głos drżał mu z wysiłku. Meg zauważyła, że ramię jest spuchnięte i posiniaczone.

- Uhm,.. - mruknęła. - Zrobię ci temblak z bandaża - oświadczyła. - Później zawołam lekarza, żeby to obejrzał. Zrobimy rentgen ramienia. Miałeś już kiedyś robione zdjęcie rentgenowskie?

- Nie. Czy to boli?

- Wcale, to taka specjalna fotografia - zapewniła go.

- Złamanie kości ramieniowej? - spytała babcia. - Wyrzucam sobie, że nie zwróciłam na to uwagi wcześniej. Biedaczek. Myślałam, że to tylko siniaki.

- Proszę nie mieć do siebie pretensji - odpowiedziała Meg, szybko wypełniając zlecenia wykonania zdjęcia. - Jak pewnie pani wie, u dzieci często występują raczej pęknięcia niż złamania i trudno jest je stwierdzić bez rentgena. Mają takie elastyczne kości jak młode pędy. To prawdopodobnie również tak zwane złamanie zielonej gałązki.

Zadzwoiła po dyżurnego ortopedę, po czym zrobiła prowizoryczny opatrunek i temblak.

- Jeśli ramię jest złamane, to należy je odciążyć. Bandaż powinien powstrzymać opuchliznę. Wydaje mi się, że krwotok jest niewielki... - uspokoiła babcię. - Puls jest równy i mocny.

- Dziękuję, siostró. Cieszę się, że tu trafiliśmy.

- Rob, czy jeszcze coś cię boli? Czy może podczas upadku uderzyłeś się w głowę? Spójrz na sufit, chcę obejrzeć twoje oczy.

- Nie uderzyłem się w głowę - odpowiedział chłopiec nieco pewniejszym głosem. - Tam było dużo miękkiego śniegu. Po prostu wpadłem w zaspę.

Po dziesięciu minutach pojawił się zadyszany ortopeda. Doktor Becker był szczupłym, młodym człowiekiem w grubych okularach. Miał gęste, niemal zawsze potargane włosy.

Oddział ortopedyczny był bodaj najbardziej zapracowanym oddziałem szpitalnym i doktor Becker zawsze się spieszył. Niemal wpadł do pokoju. Miał na sobie niezbyt czysty kitel i pogniecioną zieloną marynarkę. W wypchanych kieszeniach nosił stetoskop, jakieś notesy i liczne długopisy.

- Cześć, Meg - powiedział afektowanym tonem. Zatrzymał się przy kozetce. - No i co my tutaj mamy?

Meg wyjaśniła sytuację.

- Cześć, Rob - Becker uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem do chłopca i babci. - Meg, lepiej powiedz rentgenologowi, żeby przyszedł tu z przenośnym aparatem. Nie ma co taszczyć chłopca do laboratorium. Przy okazji zrobi zdjęcia jeszcze innym pacjentom.

- Już mu to powiedziałam. Musi pan tylko podpisać to zlecenie.

- Oczywiście! - Becker teatralnym gestem wyciągnął z kieszeni długopis i złożył zamaszty podpis. - Zaraz zajmiemy się leczeniem. Swędzą mnie ręce. Już czuję, że to będzie ciężka noc... Ten drugi klient też ma złamane ramię. Wyobraźcie sobie, że spadł ze stojącego motoroweru. Trudno w to uwierzyć, prawda? Ciekaw jestem, co by sobie zrobił, gdyby przewrócił się

podczas jazdy. - Becker wznosił oczy do nieba i uśmiechnął się do małego pacjenta. - Widzisz, stary, ty to jeszcze nic.

W kwadrans później stali razem w pokoju lekarzy, przyglądając się podświetlonym zdjęciom. Doktor Becker położył rękę na ramieniu Meg.

- Musisz mnie wesprzeć, inaczej zaraz padnę na podłogę ze zmęczenia - powiedział. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się wyspałem. - Oparł się o nią, udając, że już pada.

- Dobrze, że przynajmniej tutaj nie ma żadnych komplikacji - stwierdziła, nie odrywając wzroku od zdjęć. - Wystarczy usztywnić ramię i zrobić temblak, prawda?

- Aha... - Becker podniósł głowę i spojrzał na zdjęcia.

- To nie potrwa długo, ale najpierw chcę zagipsować tego mistrza kierownicy. Możesz mi pomóc? Co to za parszywe życie, Meg! Ty przynajmniej za parę minut kończysz. Ja mam przed sobą całą noc.

- Przecież to lubisz - odpowiedziała. - Dzięki temu czujesz się potrzebny.

- Być może. - Becker skrzywił się i żartobliwie cmoknął ją w policzek. - Czasami wydaje mi się jednak, że nie jest to wystarczająca rekompensata za brak snu, życia uczuciowego i seksu.

- Richard! - wykrzyknęła, udając zgorszenie. - Nie mów tak w pracy! Przygotuję gips, a ty włóż fartuch.

- Dobrze, proszę pani! Nie masz przypadkiem ochoty stać się heroiną mojego życia miłosnego?

- W żadnym wypadku, - Roześmiała się. Becker spojrzał na nią żałośnie, - Już jestem zajęta. - To nie odpowiadało rzeczywistości, lecz Meg wolała nie kontynuować tej rozmowy.

- Z pewnością jest pani zajęta - przerwał im jakiś mężczyzna. W jego głosie słychać było wyraźny sarkazm. Meg szybko obróciła się do drzwi. Stojący w nich nieznajomy uśmiechał się cynicznie. Mógł tam być już od dłuższej chwili.

- Lepiej pani robi, jeśli zajmie się pani tym oddziałem. Jestem ojcem Roba.

Richard Becker spojrzał na niego i niedbale przeczesał palcami włosy.

- O, dobry wieczór - powiedział pogodnie. Meg popatrzyła na niego z podziwem. Becker nigdy nie tracił równowagi. - Nazywam się Richard Becker, jestem lekarzem. Pewnie ucieszy pana wiadomość, że pański syn ma niegroźne złamanie lewego ramienia. Usztywnimy rękę i może go pan zabrać do domu. U dzieci takie urazy goją się niemal same, lekarz niewiele

ma tu do roboty. Za kilka dni powinien przyjść na badania kontrolne do ortopedy. Na razie niech nie używa tej ręki. Gdyby go bolało, proszę mu dać środki znieczulające.

Może pan spojrzeć na zdjęcia. - Richard szerokim gestem wskazał rozwieszane fotografie.

- Już to zrobiłem - odpowiedział krótko nieznajomy. Był wysoki i mocno zbudowany, miał niebieskie oczy o surowym wyrazie i długie, ciemne włosy. W grubej zimowej kurtce wydawał się jeszcze większy niż był w istocie. Sprawiał groźne wrażenie. Meg nie potrafiła skojarzyć tego mężczyzny z leżącym na kozetce bladym chłopcem, który wydawał się jej bardzo delikatny.

- Widział już pan syna? - spytała. Czowała, że się rumieni. Miała nadzieję, iż ten człowiek zdaje sobie sprawę, że takie zbliżenia między lekarzem i siostrą nie mają żadnego znaczenia, tylko pomagają im przetrwać.

- Tak, przyszedłem tu najszybciej, jak mogłem. Dopiero co dowiedziałem się o wypadku. Przez ostatnie dwa dni byłem poza domem. Nie cierpię, gdy takie rzeczy zdarzają się pod moją nieobecność. To mogło być coś o wiele poważniejszego.

- To prawda - zgodziła się Meg. - Nic jednak nie można na to poradzić.

Nie przerywając rozmowy, przygotowała stalowy wózek z gipsem i wszystkimi narzędziami, potrzebnymi do usztywnienia ramienia.

- Proszę iść ze mną - powiedziała krótko. - Teraz doktor Becker zajmuje się drugim pacjentem. To nie potrwa długo. Później będzie pan mógł zobaczyć, jak zakłada szyny Robowi.

- Uhm... - mruknął, patrząc na nią z dziwnym błyskiem w oku. Wydawał się rozbawiony. Meg nagle poczuła się nieswojo, tak jakby poddała się czarowi emanującej z niego męskości. Szybko wypchnęła wózek na korytarz i ruszyła w kierunku nieszczęsnego właściciela motoroweru. Ojciec Roba szedł za nią; czuła na plecach jego spojrzenie.

- Pewnie chciałby pan posiedzieć przy Robie, panie Juneau - powiedziała, starając się zachować służbowy ton.

- Dziękuję, postoję - odrzekł. - Nazywam się Russell, Craig Russell. Rob nosi inne nazwisko niż ja.

- Och, rozumiem - odpowiedziała, choć oczywiście nic nie mogła z tego zrozumieć. Wiele przyczyn może spowodować, że ojciec i syn nazywają się inaczej.

Russell nerwowo przechadzał się po korytarzu. Meg wjechała do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Na kozetce leżał szczupły nastolatek i rozglądał się bezradnie wokół. Przy łóżku stała dziewczyna ubrana w czarną skórzaną kurtkę. Richard rozpoczął swą zwykłą paplaninę i jednocześnie zabrał się do nakładania gipsu, w czym był prawdziwym mistrzem.

Wkrótce znaleźli się znów w pokoju Roba i Becker zajął się jego ramieniem. Meg gawędziła z chłopcem, starając się odwrócić jego uwagę.

- Którą ręką piszesz, Rob? - spytała.

Chłopiec wyraźnie się rozpromienił. Widocznie dopiero teraz pomyślał o różnych korzyściach, które wynikały z jego nowej sytuacji.

- Prawą. W przyszłym tygodniu mam test z francuskiego. Może nie będę musiał pisać?

- Masz złamaną lewą rękę, synku - odezwał się Russell. Miał niski, mocny gros.

- Och, prawda ... - przyznał Rob. - Mogę się założyć, że madame Fricke nie wie, którą ręką piszę.

- Wobec tego będę ją musiał poinformować - uśmiechnął się ojciec. Podszedł bliżej i stanął koło Meg, która w ten sposób znalazła się między nim a Richardem. W porównaniu z Russellem doktor Becker wydawał się miłym, wesołym szczeniakiem. - Nawet jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to babcia. Masz to obiecać - zapewnił syna.

- Co za złośliwość! - Rob uśmiechnął się. Najwyraźniej łączyła ich bliska i serdeczna więź. - Czy przywiozłeś mi tę koszulkę, którą miałeś kupić w Bostonie?

- Oczywiście. Zdrowo się namęczyłem, żeby ją znaleźć.

Oczekuję teraz głębokiej wdzięczności i powstrzymania się od wszelkich żądań przez najbliższe dwa tygodnie.

- Doskonale! - Chłopiec wyraźnie się odprężył i wyciągnął wygodnie na poduszcze.

A co z matką? - zastanawiała się Meg. Jak dotychczas nikt o niej nie wspomniał. Chłopiec wydawał się nieco zagubiony i samotny, choć najwyraźniej był oczkiem^ głowie ojca i babci. Oboje nie spuszczaali go z oka i byli bardzo przejęci.

Gdy Meg poszła do recepcji, aby zarezerwować termin wizyty u ortopedy, Russell poszedł za nią.

- Czy może pan przyjść z synem w środę do przychodni? Tego dnia przyjmuje doktor Gregson. - Podała mu karteczkę z zapisanym terminem



wizyty. - Jeśli pan woli, mogę postarać się, aby wizyta wypadła w dniu testu z francuskiego - dodała z uśmiechem.

- Zyskałaby pani dozgonną wdzięczność mojego syna - odrzekł Russell, spoglądając na kartkę.

Ta banalna odpowiedź wydała się Meg dziwnie osobista. Przez kilka sekund z rozmarzeniem myślała, że chłopiec mógłby ją pokochać, tak jakby był jej dzieckiem.

- Jeśli to nie problem, wolałbym przyjść wtedy, gdy będzie przyjmował doktor Carapion - nieoczekiwanie oświadczył Russell, oddając jej kartkę. - Rob i ja dobrze go znamy.

- Hmm... oczywiście. Muszę tylko zmienić datę, to wszystko. - Fakt, że Russell zna Campiona nie był w końcu czymś nadzwyczajnym.

- Mam nadzieję, że to nie sprawia pani kłopotu, pani... - Russell zawiesił głos.

- Och, nie.

Meg podniosła głowę znad biurka i wręczyła mu nową karteczkę z terminem wizyty. Russell stał tuż koło niej. Znieruchomiała, czując, jak uważnie się jej przypatruje. Przez chwilę zatrzymał wzrok na jej ustach. Odniosła wrażenie, że robił to niemal bezwiednie lub też nie mógł się powstrzymać.

Czyżby wydała mu się pociągająca? Na myśl o tym poczuła dziwne ciepło. Z pewnością nie było ono spowodowane brakiem przyjaciół rodzaju męskiego... Nie miała powodu, aby szczególnie łatwo poddawać się urokowi przystojnego mężczyzny. Nie uskarżała się na ich brak.

- To bardzo miło z pani strony, pani...

- To drobiazg - odpowiedziała, siląc się na czysto profesjonalny ton. Jej angielska intonacja wyraźnie różniła się od amerykańskiej. Nagle pomyślała, że ta babka Angielka też nazywa się Russell i z pewnością jest matką Craiga.

- To należy do moich obowiązków.

- Pani ...? - nalegał Russell.

- Meg Langham - wyjaśniła wreszcie.

- Dziękuję, pani Langham - powiedział uprzejmie, biorąc z jej rąk kartkę. - Dziękuję również za serdeczność, z jaką potraktowała pani Roba. Szpitale to zazwyczaj dość przygnębiające instytucje. Zawsze bardzo się denerwuję, gdy Rob ma jakieś problemy medyczne. W przypadku własnego dziecka każdy drobiazg wydaje się katastrofą.

- Tak... proszę się już nie martwić - uspokoiła go Meg z protekcjonalnym uśmiechem. - Być może oglądał pan zbyt dużo telewizji. Te wszystkie filmy, których akcja dzieje się w szpitalu, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Dramatycznym wydarzeniom wcale nie towarzyszy tu gorączkowa krzątanina, wycie syren alarmowych i ostre komendy lekarzy.

- Doprawdy? - zdziwił się. Patrzył na nią spod nisko opuszczonych brwi i w zamyśleniu pocierał brodę.

- Niewątpliwie - z naciskiem potwierdziła swą opinię.

- W przyszłości będę o tym pamiętał.

Było dobrze po północy, pół godziny po zakończeniu dyżuru, gdy Meg wreszcie pożegnała Roba i jego rodzinę. W pogotowiu pojawiła się już kolejna zmiana, ale ona postanowiła dokończyć tę sprawę.

- Do widzenia, Rob. Byłeś bardzo dzielny - powiedziała.

- Gdy przyjdiesz na badania, wstąp do mnie. Nie wiem tylko, czy jeszcze będę pracować w pogotowiu.

- Dlaczego nie? - zaciekawiał się chłopiec.

- Spodziewam się przeniesienia na chirurgię - wyjaśniła.

- Mam nadzieję, że tam cię nie spotkam.

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknął ojciec. - Do widzenia, pani Langham. Jeszcze raz dziękuję.

Zdążyli odejść zaledwie kilka metrów, gdy z pobliskiego pokoju wyłonił się doktor Becker.

- Hej, Meg! - wykrzyknął swoim zwykłym, jowialnym głosem. - Dzięki za pomoc. Jak zwykle byłaś nieoceniona. Dobranoc, śpij dobrze.

- Dobranoc, Richard - odpowiedziała nieco zrezygnowanym tonem, nie patrząc na oddalającego się Russella.

Trzy tygodnie później Meg została rzeczywiście przeniesiona na chirurgię. Ogromny oddział mieścił co najmniej dwadzieścia pięć sal operacyjnych. Pierwszego dnia czuła się jak maleńki trybik w ogromnej maszynie. Nie mogła spać, pamiętała twarz, nazwisko i rozkładu pokoi. Minęły dwa tygodnie, nim poznała dostatecznie oddział i została przydzielona do sekcji chirurgii plastycznej, gdzie na ogół panował większy spokój niż gdzie indziej.

Właśnie wtedy natknęła się w korytarzu na Craiga Russella. Miał na sobie fartuch i czapkę chirurga. Obok niego stał jeszcze jeden mężczyzna, ubrany dokładnie tak samo. Meg patrzyła na niego z otwartymi ustami i zastanawiała się, czy on też ją poznał. W tym momencie spojrzął na nią, po czym sięgnął ręką do pojemnika po jednorazową maskę chirurgiczną.

Wiążąc ją na twarzy, przyglądał się dziewczynie. Wreszcie lekko mrugnął i wraz z kolegą wszedł do pokoju, do którego została skierowana.

Teraz zaczęła domyślać się prawdy. Szybko spojrzała na listę przewidzianych na ten dzień operacji plastycznych. Operować miał doktor Alexander C. Russell, ona zaś miała być jego instrumentariuszką. Gdy przedtem czytała listę, nie skojarzyła nazwiska lekarza z ojcem Roba. To w końcu dość popularne nazwisko.

Jedna z sióstr spojrzała jej przez ramię na listę zabiegów.

- O, masz szczęście, będziesz pracować z Russellem. Jest taki przystojny! - wykrzyknęła z wyraźną zazdrością. - Prócz tego to doskonały chirurg. Nigdy nie żałuje czasu, aby wyjaśnić, co robi i dlaczego.

Meg wcale nie uważała się za szczęściarę. Przeciwnie, czuła się fatalnie. Przypomniała sobie rozmowę z Russellem i swój wyniosły ton, z jakim mówiła o filmach telewizyjnych i prawdziwym życiu szpitalnym.

- Niech to diabli - mruknęła cicho. Teraz miała z nim pracować i udawać, że nic się nie stało. Nie miała żadnych wątpliwości, że on wszystko pamięta.

Meg z pewnym trudem podniosła się z fotela w mieszkaniu służbowym w Chalmers Bay. Miała wrażenie, że cała zeszywniała. Wróciła myślami do terażniejszości. Od jej pierwszych dni na oddziale chirurgii w uniwersyteckim szpitalu minęło już sporo czasu. Teraz znalazła się na dalekiej północy i znów miała pracować z Alexandrem Craigiem Russellem. Nie wiedziała, czy to zrządzenie opatrności, czy zwykły przypadek.

Wyciągnęła z lodówki jedzenie. Na jednym talerzu znalazła mięso z jarzynami, na drugim ciasto owocowe. Wszystko było już ugotowane, musiała tylko podgrzać jedzenie w kuchence mikrofalowej. Wstawiła talerze i włączyła zegar. Czekając na posiłek, raz jeszcze przeszła się po całym mieszkaniu. Tym razem zauważyła radiotelefon i zwykły aparat do rozmów miejscowych. Pomyślała, że to pewnie dzięki satelitom ma możliwość utrzymywania kontaktów z całym światem.

Nagle w łączniku prowadzącym bezpośrednio do przychodni usłyszała czyjeś kroki. Rozległ się trzask drzwi zewnętrznych i nieco cichszy odgłos wewnętrznych. Obróciła się, pewna, że to Alanna Hargrove...

## ROZDZIAŁ DRUGI

W mieszkaniu pojawił się nagle Craig Russell. W jego obecności pokój od razu wydał się mniejszy. Jeszcze przed chwilą Meg miała przed oczami jego postać, taką, jaka pozostała jej w pamięci. Teraz, gdy widziała go naprawdę, ogarnęła ją panika. Czuła się tak, jakby miała zaraz wystąpić w jakiejś sztuce, której tekstu nie zdążyła przeczytać. Fantazja i rzeczywistość tworzyły razem przerażającą mieszankę uczuć. A więc na tym polega trema... Meg nie mogła się ruszyć i nie wiedziała, co powiedzieć. W głowie miała zupełną pustkę.

Craig ubrany był w puchową kurtkę w czarno-czerwonej kratce, spod której wystawały poły fartucha. Poza tym wyglądał tak jak dawniej - miał długie, kręcone włosy, intensywnie niebieskie oczy, zdecydowane, ostre rysy, wyrażające jednocześnie przenikliwość, inteligencję i współczucie dla bliźnich, Ale gdy spojrzał na nią, z jego twarzy zniknęło całe ciepło i serdeczność.

Zatrzymał się gwałtownie jakieś półtora metra od Meg. Od ich ostatniego spotkania minęło osiem miesięcy. Przez kilka długich sekund patrzyli na siebie w milczeniu.

Meg odniosła wrażenie, że czas stanął w miejscu. Chciała rzucić mu się na szyję, tak jakby wciąż była jego kochanką.

Musiała przyznać, że od samego początku miała do niego słabość, nawet wtedy, gdy znała go wyłącznie jako ojca Roba. To wynikało z wzajemnego pociągu, jaki czuli do siebie od chwili poznania. Nie mogła teraz pozwolić, aby domyślił się, jak bardzo jej na nim zależy. Jak słyszała, próby zdobycia

Craiga zawsze były skazane na niepowodzenie. Chyba że ktoś chciał się zadowolić czystym seksem. Jej doświadczenia potwierdziły te opinie. Najwyraźniej Craig kierował się w życiu maksymą „kochaj i rzuć”. Według plotkarzy miłością jego życia była matka Roba.

- No, no, nieuchwytna Meg Langham we własnej osobie - powiedział z sarkazmem, przerywając ciszę. - Do diabła, czego ty szukasz na lodowatej północy?

Mówiąc to, zrzucił puchową kurtkę i wszedł do salonu z taką swobodą, jakby miał do tego pełne prawo. Może rzeczywiście tak było? Meg nie mogła oderwać oczu od jego potężnych ramion i wydatnych mięśni, rysujących się pod fartuchem. Pośpiesznie odświeżyła zapamiętany widok

jego ciała. Pożerała go wszystkimi zmysłami, tak jakby umierała z pragnienia. Wyczuł jej spojrzenie i wyraźnie zeszywniał.

- Równie dobrze mogę tobie zadać to samo pytanie...

- Meg odzyskała głos. - Co tu robisz?

- Och, byłem tu już kilka razy... Wprawdzie nie na terytorium północno-zachodnim, ale zawsze na północy... Zwykle jeżdżę do Yukon. Tam służyć ojczyźnie, dzieląc się swymi umiejętnościami chirurga z tymi, którzy tego najbardziej potrzebują i tak dalej..., Każdego roku spędzam na północy kilka miesięcy. - Cedził słowa z żartobliwą ironią, tak jakby nie zamierzał tłumaczyć swoich motywów, choć oczywiście oczekiwał jej wyjaśnień. - Mówiłem jednak o tobie - dodał gniewnie. Na jego pobladłej twarzy pojawiło się napięcie.

Meg przesunęła językiem po wyschniętych wargach. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak mogła wytłumaczyć strach przed cierpieniem komuś, kto był jego przyczyną? Wbrew własnej woli znów spojrzała na niego. Przywykła do widoku Craiga w lekarskim fartuchu, ale pamiętała również ciepło jego gładkiej skóry, dotykającej jej nagiego ciała w gorącą, letnią noc...

Wiedziała, że Craig Russell rzadko opowiadał kolegom o sobie i swoim prywatnym życiu. W dalszym ciągu był dla niej zagadką. Gdyby nie to, że przypadkiem poznała jego syna, zapewne nie dowiedziałaby się nawet o jego istnieniu. Może gdyby mieli więcej czasu, przestałby być taki zamknięty w sobie.

- Dlaczego wyjechałaś z Gresham? - nalegał.

- Zostałam zwolniona, o czym z pewnością wiesz - odrzekła spokojnym tonem, mimo iż z trybem panowała nad wzburzeniem. Znów przypomniała sobie doznane upokorzenia. - Sądziłam nawet, że miałeś z tym coś wspólnego. Wyjechałeś w samą porę, żeby w tym czasie nie było cię w Gresham.

- Dlaczego miałyby mi zależeć na zwolnieniu ciebie? - spytał zimno. - Gdy się dowiedziałem, że znalazłaś się w grupie zwolnionych pracowników, zdążyłaś już wyjechać. Nie raczyłaś zostawić nowego adresu. Gdybym wiedział, w jakiej jesteś sytuacji, zaproponowałbym ci pracę w mojej prywatnej klinice.

- Mówiąc to, ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Krzywił się przy tym cynicznie, tak że Meg nie potrafiła odgadnąć, jakie wrażenie wywarło na nim nieoczekiwane spotkanie.



- No, ale nie zrobiłeś tego - odparła, z trudem opanowując drżenie głosu.

- A jak mogłem? Do diabła, dlaczego nie poczekałaś na mój powrót ze Stanów? Kiedy przyjechałem, już cię nie było - powiedział ostro, nie kryjąc gniewu. - Nie starczyło ci poczucia przyzwoitości i dobrych manier, aby choć zawiadomić mnie o wyjeździe i wyjaśnić jego przyczyny.

Patrzył na jej miękkie, jasne włosy opadające w nieładzie na ramiona. Meg wiedziała, że wygląda teraz jak dziecko potrzebujące opieki.

- Miałem wrażenie, że coś nas łączy. Coś, co mogło trwać. Nie lubię, gdy rzucają mnie kobiety - dodał kategorycznie.

- W to nie wątpię - odparła zaczepnie. - Jak słyszałam, wolisz sam je rzucać.

- Widzę, że słuchasz plotek i na ich podstawie podejmujesz decyzje. Co za naiwność! - Craig gniewnie zacisnął pięści. Usta, którymi kiedyś tak namiętnie ją całował, teraz wykrzywił w pogardliwym grymasie. - Myślałem, że nie jesteś taką jędzą jak inne, że czymś się od nich różnisz. Zdaje się, że to ja byłem naiwny.

- Jestem inna! - Meg poczuła w oczach łzy. Spodziewała się trudnej rozmowy, ale to było gorsze, niż przypuszczała.

- To ty jesteś taki jak wszyscy!

- Do diabła, co ty o mnie wiesz?

Zbliżył się do niej o krok. Przez chwilę bała się, że ją uderzy.

Wiem, że jesteś dobrym chirurgiem i dobrym lekarzem...

- pomyślała. - Wiem, jakim jesteś kochankiem... Wiem, że mogę być z tobą tylko wtedy, jeśli będę dla ciebie najważniejsza. .. I że nie mogę znieść rozstania. Kocham cię...

- Myślę, że wiem wystarczająco dużo - powiedziała.

- Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło. Przypuszczalnie byłabym zbyt... zbyt zaborcza. Natomiast jeśli chodzi o twoją rolę w zwolnieniu mnie z pracy... Siostra oddziałowa widziała, jak całowałeś mnie na oddziale intensywnej terapii.

Zdawała sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt przekonująco. Gdy Craig - sądząc, iż nikt ich nie widzi - podszedł do niej od tyłu, pocałował w kark i dotknął piersi, ona czuła, że ktoś ich obserwuje. Zignorował jej protesty. Na oddziale intensywnej terapii obowiązywały ostre reguły. Russell zazwyczaj zachowywał się niczym Katon, ale tym razem Meg miała wręcz wrażenie, że usiłuje spowodować kryzys.

Gdy wyszedł, ona dostrzegła stojącą w przeciwległym rogu sali siostrę oddziałową. Na twarzy przełożonej widniały zdumienie, zaskoczenie i... zazdrość.

- Zdarzało mi się już całować pielęgniarki... Przyznaję, że niezbyt często. Wątpię, by Joyce Travers miała z tego powodu pretensje do mnie lub do ciebie. - W jego głosie słychać było niedowierzenie.

- Nie do ciebie, ale z pewnością do mnie.

W tym momencie zadzwonił wewnętrzny telefon. Meg podskoczyła lekko. Craig szybko podszedł do stojącego na półce aparatu. Zachowywał się z naturalną swobodą, tak jakby był u siebie. Ciekawe - pomyślała - czy z równą swobodą zechce wejść do mojej sypialni?

Po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę

- Zaraz będziemy mieć następnego pacjenta - powiedział.

- Wypadek. Bonnie pyta, czy możesz przyjść pomóc.

- Oczywiście.

- Wiem, że jeszcze nie jadłaś i nie miałaś okazji odpocząć. Nie musisz biec już, wpieryw zjedz obiad - polecił służbowym tonem. Szybko narzucił kurtkę.

- Witaj w Chalmers Bay, Meg - dodał z ironią i wyszedł.

Zrezygnowana usiadła przy stole i postanowiła zachować spokój. Wyjęła obiad z kuchenki i zabrała się do jedzenia. Dobrze się stało, że przed rozpoczęciem pracy nie ma czasu na myślenie. Gdy kończyła ciasto, znowu usłyszała czyjeś kroki w łączniku między mieszkaniem a przychodnią. Spojrzała nerwowo w tamtym kierunku, przygotowując się na kolejne starcie.

Przez wąskie drzwi do pokoju wcisnęła się wysoka, tęga kobieta. Sprawiała wrażenie pancernika gotowego do boju.

- Dzień dobry, nazywam się Bonnie Mae. Jestem tu stałą pielęgniarką - przedstawiła się, podchodząc do stołu. Szła, kiwając się nieco na boki. Miała na sobie jasnożółte płócienne spodnie, luźną bluzę i czepek. Z szyi zwisał jej czerwony stetoskop. Wyciągnęła do Meg rękę. Jej dłoń była zdumiewająco mała i delikatna. - Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli wstąpię i przywitam cię, nim weźmiemy się do roboty. Cieszę się, że cię widzę! - Bonnie mówiła z wyraźnym kanadyjskim akcentem.

Meg wstała z krzesła i podała jej rękę. Koledzy z Gresham zapewne powiedzieliby, że Bonnie jest dobrze naładowana.

- Cześć - uśmiechnęła się do niej. - Jestem Meg.

- Chodź, zaprowadzę cię na oddział operacyjny i pokażę, gdzie możesz się przebrać. Mamy klienta poturbowanego przez niedźwiedzia. Zdrowo

oberwał. Przywieźli go tutaj, bo do Yellowknife jest za daleko. Bardzo się przydasz.

Meg spojrzała na zegar wiszący na ścianie sali operacyjnej. Nie mogła uwierzyć, że już minęło tyle czasu. Pod wpływem napięcia zapomniała o zmęczeniu i skoncentrowała się na pracy. Na szczęście nie brakowało jej doświadczenia i kondycji.

Z plastikowej butelki zawieszanej na metalowym stojaku powoli, kropla po kropli, do żyły pacjenta sphywała krew. Meg na oko potrafiła ocenić liczbę kropli na minutę. Odkręciła nieco zawór, aby przyspieszyć tempo. Kroplówka była podłączona do żyły na karku; stan kończyn nie pozwalał na inne rozwiązanie. Następnie zwróciła spojrzenie w kierunku maszyny do znieczulania i sprawdziła, ile tlenu i podtlenku azotu dochodzi do płuc chorego. Automatycznie zbadala puls, ciśnienie i temperaturę. Cyfrowe wskaźniki na bieżąco informowały ją o stanie pacjenta. Zerknęła jeszcze na miernik wskazujący zawartość tlenu we krwi.

Zapisała coś na karcie znieczuleń, po czym ponownie skontrolowała stan chorego. Od czasu do czasu któryś z monitorów budził się do życia i drukował wykres ilustrujący wszystkie zmiany, przerywając w ten sposób ciszę panującą w sali operacyjnej. Poza tym slychać było tylko szum respiratora. Pacjent był lekko uspiiony, na tyle, aby umożliwić pracę dwóm chirurgom. Operacja zapowiadała się na parę godzin...

Meg była przekonana, że ze swoimi umiejętnościami potrafiłaby sobie poradzić w każdej sali operacyjnej. W tej chwili nie miało znaczenia, że musi współpracować z mężczyzną, z którym łączyły ją skomplikowane więzy uczuciowe. Patrząc na pochyloną głowę Craiga, przeżywała klasyczne uczucie déjà vu. Chwilami myślała o tajemniczych zrzędzeniach losu, które sprawiły, że ich ścieżki znów się skrzyżowały.

- Wszystko w porządku, Meg? - szepnęła Bonnie, przechodząc obok. Jej zadaniem było kontrolowanie układu krążenia.

Meg uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Nie miała wątpliwości, że zaprzyjaźni się z Bonnie. Ta kobieta znała okolice, kopalnie i górników lepiej niż ktokolwiek inny. Była również doświadczoną i sprawną pielęgniarką.

- Tu, na północy, trzeba być gotowym do podejmowania różnych zadań, na przykład anestezjologa - poinformowała Meg scenicznym szeptem. - Tylko nie spodziewaj się, że dostaniesz za to premię.

Obie zaśmiały się swobodnie. Stały obok siebie, tuż koło głowy pacjenta.

- To musiał być niezły niedźwiedź - dodała Bonnie, przyglądając się rozległym ranom.

- Aha - przyznała Meg. - Całe szczęście, że ktoś znalazł się w pobliżu. Gdyby nie ten samolot...

Ranny mężczyzna leżał na stole operacyjnym z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami. Tułów miał zakryty płatami sterylnej gazy, natomiast kończyny pozostawały odkryte. Rozległe rany na ramionach były już oczyszczone i zaszyte. Teraz chirurdzy zajmowali się jego nogami, cierpliwie czyszcząc i zszywając skórę. W kilku miejscach musieli pozostawić dreny. Ranny leżał na podgrzewanym materacu, co miało zminimalizować szok.

Meg odwróciła wzrok. To był prawdziwy cud, że pilot przelatującej przypadkowo awionetki zauważył atak niedźwiedzia. Inaczej John Oldman, Indianin zajmujący się traperstwem, z pewnością pożegnałby się z życiem. Niedźwiedź, który niedawno obudził się z zimowego snu, był głodny i zły. Zapewne z tego powodu zaatakował Johna. Pilot zniżył lot i przeleciał tuż nad polaną. Udało mu się odstraszyć niedźwiedzia, dzięki czemu mógł wylądować i zabrać Johna do samolotu.

Choć Oldman miał na sobie grube, traperskie ubranie, długie pazury zwierzęcia dosięgły ciała. W niektórych miejscach rany sięgały aż do kości. Stracił również mnóstwo krwi. Pilot zabezpieczył rannego, jak mógł najlepiej, po czym przyleciał do Chalmers Bay. Wprawdzie w Yellowknife, stolicy ogromnego, chociaż słabo zaludnionego terytorium północno-zachodniego, tamtejszy szpital mógł zapewnić lepszą pomoc, lecz do Chalmers Bay było znacznie bliżej. Aby dolecieć do Yellowknife, pilot musiałby po drodze wylądować i zatankować paliwo, co na słabo zaludnionej północy mogło okazać się trudne.

W sali operacyjnej panowało wyraźne napięcie. Każdy z członków zespołu dawał z siebie wszystko. Meg wprawdzie przywykła już do widoku ciężkich ran, lecz teraz czuła skurcz w gardle. Według niej John Oldman powinien przeżyć, ale jego stan wciąż jeszcze był bardzo poważny. Dobrze się stało, że trafił na Craiga Russella, który był chirurgiem plastycznym, i to bardzo dobrym. Dzięki temu w przyszłości nie trzeba pewnie będzie usuwać wielu okropnych blizn.

Craig widocznie wyczuł jej spojrzenie, bo podniósł głowę. Meg zmieszała się i rozchyliła usta pod maską, sądząc, że będzie musiała odpowiedzieć na

jakaś żartobliwą uwagę. Tak zwykle było w Gresham, w dawnych, dobrych czasach, gdy jeszcze mu ufała.

Tym razem jednak nic nie powiedział. Wyprostował się, przeciągnął i poruszył głową na boki. Meg miała wrażenie, że też czuje ból w zmęczonych mięśniach. Dobrze знаła to uczucie.

- Zrób przerwę, Alanna. - Craig zerknął na doktor Hargrove, która stała po drugiej stronie stołu.

Meg poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Dostrzegła, jakim czarującym uśmiechem obdarzył koleżankę. Wiedziała jednak, że na Alannie nie robi to najmniejszego wrażenia. Bonnie zdążyła jej zdradzić, że Alanna niedawno wyszła za mąż. Jej mężem był doktor Owen Bentall, który też przez pewien czas pracował w Chalmers Bay, a teraz pojechał do Kolumbii Brytyjskiej. Alanna zamierzała wkrótce dołączyć do niego. Na jej miejsce miał przyjechać nowy lekarz.

- Jeśli mam zrobić przerwę, to tylko na herbatę - odrzekła. - W przeciwnym wypadku, jeżeli tylko pozwolę sobie na chwilę dekoncentracji, zwalę się na podłogę. Czy zdajecie sobie sprawę, ile już czasu upłynęło? - Szybko spojrzała na ścienny zegar. - Trzy i pół godziny.

- Aha. - Craig wygiął się do tyłu i pomasaował rękami plecy. - Czuję to w kościach. Dobra, robimy przerwę na herbatę i będziemy się tu zmieniać. Zgoda, Bonnie?

- Oczywiście, doktorze. - Bonnie zwróciła ku nim twarz. Właśnie wypełniała kartę pacjenta i ważyła nasiąkniętą krwią gąbki, aby w ten sposób w przybliżeniu ocenić, ile stracił krwi. - Zaraz zaparzę herbatę. Sądzę, że pierwsze powinny odetchnąć siostry.

- Zgoda - kiwnęła głową Alanna i uśmiechnęła się do Meg. - Zwłaszcza że Meg robi robotę za mnie i za siebie. Jak tam ciśnienie krwi?

- Sto piętnaście na sześćdziesiąt pięć - odpowiedziała Meg. - Stan stabilny, poziom saturacji dziewięćdziesiąt osiem procent.

- Dobra.

Meg wcale nie uważała, że ma dużo roboty. Musiała tylko śledzić monitory, natomiast wszystkie urządzenia były tak zaprogramowane, że przy każdym zaburzeniu w stanie pacjenta natychmiast sygnalizowały zagrożenie. Alanna sama uspiła pacjenta. Później, gdy ona i Russell zajęli się tamowaniem krwawienia, jej przypadła rola dyżurnego anestezjologa.

Powstrzymanie krwawienia było bardzo istotne, ponieważ dysponowali tylko niewielką rezerwą krwi do transfuzji.



Wprawdzie zawiadomili już najbliższą stację, ale przesyłka mogła tu dotrzeć dopiero następnym samolotem.

- No, dobra, dzieci - jowialnie oznajmiła Bonnie. - Idę do dyżurki zaparzyć herbatę. Czy może czegoś wam pilnie potrzeba? Nie chciałabym, żebyście mnie wołali, jak tylko zamknę za sobą drzwi. Wygląda na to, że przydałaby się wam woda utleniona.

- Tak. Prócz tego kilka paczek catgut. Bardzo cię proszę, Bonnie.

Craig zwracał się wprost do siostry. Meg dobrze знаła ten jego ciepły, pieszczotliwy ton. Wbrew sobie poczuła żal i tęsknotę za czasami, kiedy to do niej mówił w ten sposób. Szybko pochyliła się nad blatem i zaczęła uzupełniać notatki. Starła się zachowywać z zimną obojętnością, choć nie przychodziło jej to łatwo. Pielęgniarka poszła po nici. Craig nawet nie spojrzał na Meg.

Po kwadransie Bonnie bez szmeru pojawiła się w sali.

- Idź i napij się herbaty, Meg - szepnęła. - Jest w dyżurce. Masz dwadzieścia minut. Przez ten czas ja go popilnuję. To jeszcze trochę potrwa.

- Dzięki, chętnie.

Na korytarzu zdjęła maskę i czepek. Swędziała ją głowa. Z przyjemnością przeczesła palcami włosy i umyła twarz zimną wodą. W drodze do dyżurki rozglądała się dokoła. Niewielka stacja medyczna była doskonale zaprojektowana. Poszczególne budynki łączyły korytarze, dzięki czemu personel rzadko musiał wychodzić na dwór. Liczba hospitalizowanych pacjentów z konieczności musiała być niewielka, gdyż brakowało personelu. Również John Oldman, po udzieleniu pierwszej pomocy, miał być przewieziony samolotem do większego szpitala.

Meg naląła sobie herbaty i usiadła w fotelu w niewielkiej dyżurce. Znowu wróciła wspomnieniami do Gresham. Uważała, że nie grozi jej zwolnienie ze szpitala choć wciąż krążyły tam plotki o „redukcji”. Zwiększały one napięcie i pozbawiały pracowników poczucia bezpieczeństwa, zwłaszcza że „redukcja” miała objąć personel na wszystkich poziomach hierarchii służbowej. W końcu okazało się, że to ona ma odejść, zgodnie z zasadą nakazującą zwalniać w pierw pracowników z najkrótszym stażem.

W tym czasie wśród pielęgniarek krążyły już plotki o jej romansie z doktorem Russellem, który często życzył sobie, aby pomagała mu przy operacjach. I to doktor Russell, który nigdy nie umawiał się na randki z siostrami, natomiast zaliczył kilka dyskretnych, krótkotrwałych związków z lekarkami. I który miał małego syna, mimo iż nigdy nie był żonaty.

Przez jakiś czas Meg czuła, że jego zainteresowanie nią ma dość abstrakcyjny charakter. Intuicja podpowiadała jej, że nie był jeszcze gotów się zaangażować. Jeszcze nie. Starła się nie zwracać uwagi na różne komentarze, ale nie mogła ich całkiem pominąć.

Dalsze rozmyślania przerwał jej trzask drzwi od sali operacyjnej i odgłos ciężkich kroków. Miała tylko kilka sekund, żeby przygotować się psychicznie na spotkanie z Russellem. Na jej twarzy znów pojawił się wyraz nonszalanckiej obojętności. Craig zdjął czepek. Jego spocone włosy wiły się wokół twarzy.

- Nie wstawaj - rzucił ostrym tonem.

- Nie miałam takiego zamiaru - odrzekła. - Czy ci przeszkadzam?

- Owszem, ale mam ochotę popatrzeć na twoje nogi. Dawno ich nie widziałem.

To oświadczenie tylko potwierdziło podejrzenia Meg, że jego zainteresowanie nią miało czysto seksualny charakter.

- A to niespodzianka - wycedziła, zaciskając usta. Nie chciała zdradzić, jak wpływa na nią jego bliskość. - Nie składam się tylko z nóg.

- Wiem - odparł, nalewając sobie herbaty. W jego głosie brakowało żartobliwego tonu; jakim zwykł zwracać się do niej.

Mimo to Meg czuła, że robi się jej gorąco. Craig najwyraźniej z trudem panował nad sobą. - Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego wyjechałaś z Gresham... Tylko krótko, bo nie mamy wiele czasu. Prosiłem cię, abyś poczekała na mój powrót. Pamiętasz?

Wstała z fotela. Czuła, że się rumieni.

- Jak już ci powiedziałam, zostałam zwolniona - oznajmiła szorstko, patrząc mu prosto w oczy. - Słyszałam, że oddział chirurgii kosmetycznej ma zostać zamknięty, aby zaoszczędzić pieniądze na ważniejszą działalność. Ty zaś wielokrotnie prosiłaś siostrę oddziałową, abym pracowała z tobą przy wszystkich operacjach kosmetycznych. Powinieneś wiedzieć, że takie żądania budzą niechęć. Uważam, że padłam ofiarą wewnętrznych rozgrywek w szpitalu.

- Czy nie przesadzasz? Chirurgia kosmetyczna nie miała być zlikwidowana, lecz przeniesiona do kliniki uniwersyteckiej - odrzekł zimno.

- Tak się składa, że byłam pracownikiem szpitala, nie kliniki. Nagle okazało się, że brakuje dla mnie zajęcia, i to wówczas, gdy ciebie nie było w Gresham. Sądzę, że to nie był przypadek. W rezultacie zostałam wyrzucona

z pracy. Tylko nie mów mi, że cierpię na paranoję. Wszyscy drżeli ze strachu przed bezrobociem. Jeśli ty czułeś się bezpieczny, to jesteś szczęściarzem.

- Twierdzisz, że w jakiś sposób ułożyłem wszystko tak, abyś została zwolniona? To absurd - rzekł krótko.

- Twierdzą, że powinieneś wiedzieć, jakie konsekwencje może mieć twoje postępowanie. Według innych faworyzowałeś mnie. W przeciwieństwie do mnie byłeś dostatecznie doświadczony, aby wiedzieć, co robisz. Ja dopiero teraz zaczynam rozumieć, jaka byłem zielona. Atmosfera stała się okropna...

Meg nie wiedziała, jak wytłumaczyć swoją sytuację w Gresham, tak aby nie wyjść na wariatkę. Była przekonana, że nie wymyśliła sobie tego wszystkiego: przejawów zazdrości, kopania dołków, umyślnych złośliwości. Do tego dołączyła później czysto kobieca zazdrość. W tej chwili Meg nie potrafiła zdobyć się na to, aby mu o tym opowiedzieć. Nie mogła wyznać, w jaki sposób dowiedziała się, że on tylko bawił się jej uczuciami, podczas gdy w rzeczywistości miał już gotową kandydatkę na matkę swego syna. Nie wiedziała wtedy, komu ma wierzyć.

- Nie jestem przekonany. Byłaś... to znaczy jesteś wyjątkowo dobrą pielęgniarką. Nie powinnaś opuszczać Gresham tak pośpiesznie. O ile wiem, wyjechałaś jeszcze przed upływem dwutygodniowego okresu wypowiedzenia. Już po tygodniu nie było cię w Gresham - powiedział z wyrzutem.

- Ja... Chciałam jak najszybciej wyjechać. Nie stać mnie było na wynajmowanie kosztownego mieszkania w środku miasta - odpowiedziała. Nie mogła teraz wyjaśnić, jak bardzo zależało jej na tym, aby już więcej nie widzieć Joyce Travers. Praca z siostrą oddziałową stała się dla niej zupełnie niemożliwa, i to przez niego.

Jedna z pielęgniarek zasugerowała jej, że być może Craig dążył do tego, żeby przestała pracować w szpitalu po to, aby mogli się swobodnie spotykać. Jej zdaniem chirurg chciał zaproponować Meg pracę w swoim prywatnym gabinecie. Uznała, że ta dziewczyna zwariowała.

- Tylko mi nie wmawiaj, że cię obchodzi, co ze mną będzie - powiedziała.  
- Przecież jestem tylko pielęgniarką, jedną z wielu. Nie przypuszczam, byś przyjechał tu po to, aby mnie znaleźć - dodała z gorzkim sarkazmem, choć wiedziała, że zapewne obciąża go odpowiedzialnością za decyzje, których nie mógł kontrolować.

- Nie przypisuj mi żadnych motywów lub ich braku - prychnął gniewnie. - Dlaczego wszystkie kobiety stają się takimi jędzami, gdy przekonują się, że

romans z mężczyzną nie przynosi im oczekiwanych korzyści? Tak jakby nie sprawiał im żadnej przyjemności.

- To obrzydliwe, co mówisz. - Meg niemal straciła głos z oburzenia.

- Doprawdy? Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę. Z przyjemnością kochałem się z tobą, bo jesteś bardzo pociągającą kobietą. Teraz jednak nie zamierzam się do ciebie zbliżyć.

- Chwycił ją za ramiona i zmusił, aby spojrzała mu w oczy.

- Nie próbuj zatem odgrywać przerażonej dziewczyny, gdy będziemy wspólnie korzystać z mieszkania służbowego. Swoje potrzeby erotyczne mogę zaspokoić gdzie indziej.

- Jak śmiesz? - Meg poczerwieniała z wściekłości. - Jesteś aroganckim chamem...

- Owszem, śmiesz! Ciekawe, dlaczego uważasz, że ja mogłem wpłynąć na decyzję o twoim zwolnieniu? Tak wygląda walka o przetrwanie i trzeba do tego przywyknąć. - Stał tuż obok i patrzył na nią z góry. - Nie trzeba było igrać z ogniem.

- O czym ty mówisz?

- Myślę, że dobrze wiesz.

- Mogę ci wyjaśnić jedną z przyczyn, dlaczego tak szybko wyjechałam z Gresham - powiedziała Meg, z trudem artykułując słowa. - Różni ludzie ostrzegali mnie przed tobą...

Nie chciała o tym mówić; zazwyczaj nie była skłonna oskarżać kogokolwiek na podstawie plotek. Teraz jednak pragnęła go zranić, tak jak on zranił ją.

- Tak? Kto taki?

- Niektóre pielęgniarki.

- Mogłem się domyślić. Oszczędź mi dalszych szczegółów - przerwał jej Craig z goryczą.

Zapadła niezręczna cisza.

- Dokąd pojechałaś z Gresham? Pytam z czystej ciekawości - zaczął już spokojnym głosem.

- Do północnej Manitoby - wyjąkała. - Do Jasper Creek. Prowadziłam tam dom opieki, jedyny w całej okolicy. - Urwała i wymownie spojrzała na zegarek. - Muszę już iść na salę operacyjną. Bonnie dała mi dwadzieścia minut. Gdy wychodziła, Craig znowu chwycił ją za ramiona.

- Nie chcę, abyś obnosiła się z pretensjami do mnie. W miejscu takim jak Chalmers Bay to ogromnie utrudnia życie. Tutejsze warunki wymagają

zgodnej współpracy. Od tej chwili łączą nas stosunki czysto zawodowe. - Nie obchodzi mnie, co robisz poza przychodnią, jeśli tylko nie ma to nic wspólnego ze mną. Zgoda, pani Langham?

- Owszem, w pełni mi to odpowiada, doktorze Russell.

- Dobrze, tylko nie zapominaj o tym! Jakoś przetrwamy te kilka miesięcy.

- Puścił ją i lekko popchnął w kierunku drzwi. - Powiedz im, że będę za dziesięć minut.

Wyszła na korytarz, choć ugiwały się pod nią nogi. Czuła się tak, jakby przed chwilą brała udział w bójce. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Zatrzymała się przy zlewie i wyjęła z szafki nowy czepek. Włożyła go, pedantycznie wsuwając pod gumkę wszystkie kosmyki włosów, po czym starannie zawiązała maskę. Miała nadzieję, że te rutynowe czynności pomogą jej się uspokoić. Serce biło jej mocno i nierówno. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Craig był tak bezsensownie i niepotrzebnie okrutny. A może chciał zagłuszyć własny niepokój? Tak czy inaczej, wiedziała już, że pobyt w Chalmers Bay będzie dla niej trudniejszy, niż przypuszczała.

Craig Russell nie był mężczyzną, o którym można łatwo zapomnieć. Jeśli kogoś jej brakowało w Jasper Creek, to właśnie jego. Często o nim myślała i nie zawsze ze złością. W rzeczywistości tęskniła do niego. Teraz wiedziała, że powtórne spotkanie związane jest z licznymi niebezpieczeństwami.

Gdy weszła do sali operacyjnej, nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Maska chirurgiczna kryła jej zaczerwienione policzki.

- Doktor Russell powiedział, że będzie za dziesięć minut - oznajmiła.

- OK - odpowiedziała Bonnie. - Gdy przyjdzie, ty będziesz mogła pójść na herbatę, Alanna.

Meg usiadła na miejscu anestezjologa. Szybko sprawdziła wszystkie wskaźniki. Z trudem koncentrowała się na pracy, była zupełnie rozstrojona rozmową z Craigiem. Miała nadzieję, że nadmiar zajęć stanie się dla niej prawdziwym uspokajającym balsamem. Ten weekend, podczas którego miała odpocząć i zapoznać się ze stacją, zapowiadał się bardzo ciężko. Nie miała wątpliwości, że będą musieli nieustannie dyżurować przy Oldmanie, aż wreszcie doprowadzą go do stanu, który pozwoli na lot na południe. Wyglądało na to, że główne obowiązki spadną na nią i Bonnie.

Skip, sanitariusz i laborant, wyjechał gdzieś na weekend i miał wrócić dopiero w poniedziałek. Tak przynajmniej twierdziła Bonnie. Alanna Hargrove wyjeżdżała już za dwa dni, zaraz po przybyciu nowego lekarza.



Na szczęście praca w domu opieki w Manitobie przygotowała mnie na to, pomyślała Meg z pewną satysfakcją. Teraz potrafiła już znieść taki tryb życia, bez miejsca na sprawy prywatne.

Craig wrócił na salę. Z rąk kapała mu woda. Meg natychmiast odczuła jego obecność. Usilnie starała się na niego nie patrzeć.

Gdy ustało działanie narkozy, John Oldman bardzo cierpiał. Liczne opatrunki sprawiały, że wyglądał jak egipska mumia. Na białych bandażach pojawiły się różowe plamy krwi. Stopy i dłonie miał spuchnięte i sine. Wprawdzie chirurdzy zrobili wszystko, co mogli, aby połączyć porwane żyły i tętnice, ale trudno było zagwarantować dostateczny dopływ krwi do kończyn. Zawsze pozostawało niebezpieczeństwo martwicy.

Oldman został przeniesiony do niewielkiego pokoju pooperacyjnego. Meg pierwsza zgłosiła się na ochotnika do opieki nad nim. Wlała do butelki od kroplówki środki uśmierzające ból z nadzieją, że szybko zadziałają. Bonnie Mae, korzystając z przerwy, poszła się przespać.

- Zaraz przestanie pana boleć, panie Oldman - powiedziała, pochylając się nad nim, aby lepiej ją słyszał. Poprawiła cewnik przełykowy, przechodzący przez nos do przewodu pokarmowego, przez który mogła podać mu Carstwa i w razie konieczności odessać treść żołądka.

Oldman wymamrotał jakieś podziękowania. Meg zwilżyła mu wargi i umyła twarz wilgotną chusteczką.

- Moja żona? - szepnął z trudem Oldman.

- Konna policja próbuje się z nią skontaktować - zapewniła go. - Pewnie już została powiadomiona. Proszę się nie martwić. Żona przyleci tu najszybciej, jak to będzie możliwe.

Meg wiedziała z doświadczenia, że w takich okolicznościach zawsze można liczyć na to, że ktoś pokryje koszty lotu. Często robiły to linie lotnicze.

John Oldman miał zaledwie trzydzieści parę lat. Wyglądał jak typowy Indianin: miał ostre rysy, ciemne oczy i kruczoczarne włosy, spływające aż na ramiona. On i jego współplemieńcy wiedzieli, jak polować, łowić ryby i przetrwać w surowych warunkach bez pomocy z zewnątrz.

Teraz pacjent zacisnął powieki, a z jego twarzy zniknął wyraz cierpienia. Prawdopodobnie nie chciał, aby inni wiedzieli, co przeżywa. Meg patrzyła na niego z szacunkiem. W Jasper Creek poznała wielu Indian i nauczyła się szanować ich odwagę i wytrzymałość.

Przygotowała kolejną porcję antybiotyków i wlała ją do kroplówki. Liczne rany oznaczały groźbę infekcji. Nie mogli również wykluczyć, że niedźwiedź był chory na wściekliznę, co wymagałoby odpowiedniej kuracji. Następnie Meg zaktualizowała zapisy w karcie choroby i ponownie skontrolowała wskazania wszystkich monitorów.

Koło czwartej nad ranem w pokoju pojawił się Craig. Meg właśnie notowała dawki podanych lekarstw.

- Wszystko w porządku? - spytał obojętnym tonem.

- Tak. Jego stan jest stabilny, choć ciśnienie czasem niebezpiecznie spada. Martwią mnie jego stopy, są wciąż sine. - Co za absurd, że rozmawiają ze sobą w tak formalny sposób. Przez osiem miesięcy tak za nim tęskniła, a kilka godzin temu już ostro się kłócili.

- Uhm... Dobrze, że grzejesz mu nogi. - Craig uniósł koc i przyjrzał się stopom Oldmana. - Pewnie będziemy musieli skorzystać z dodatkowych termoformów i grzejników.

- Zaraz je zorganizuję. Proszę, tu jest karta. - Podała mu dokumentację. - Dałam mu antybiotyki. Przed chwilą dostał też demerol.

- Dobrze. Gdy Bonnie przyjdzie cię zastąpić, powiedz jej, aby niczego nie zmieniała. Widzę, że przygotowałaś adrenalinę na wypadek ponownego spadku ciśnienia. Wolałbym nie ryzykować osłabienia krążenia obwodowego, ale trudno. Powiedz Bonnie, żeby w razie konieczności dzwoniła po Alannę. Teraz ona ma już oficjalnie dyżur.

- Dobrze, powtórzę.

- Daj mu tlen i dopilnuj kroplówki. Wezmę trochę krwi do testu na poziom hemoglobiny. W razie konieczności trzeba będzie podłączyć drugą kroplówkę.

Wyszli na chwilę z pokoju, żeby Oldraan nie mógł słyszeć dalszej rozmowy.

- Czy on z tego wyjdzie? - spytała cicho Meg. Nie mogła pozbyć się fatalnych przeczuć.

- Trudno powiedzieć. - Craig wzruszył ramionami. - Jeśli przetrwa tę noc i jutrzejsze przedpołudnie, to wszystko powinno dobrze się skończyć. Ile krwi nam zostało?

- Trzy jednostki. Jest też trochę plazmy. - Meg wyciągnęła z szuflady niewielką strzykawkę do pobierania krwi i próbówki, po czym podała je Craigowi.

Nic nie powiedział, tylko schował wszystko do kieszeni fartucha.

- Ja... Nie chcę, żeby on umarł - wyszeptała Meg. Pragnęła, by Craig zapewnił ją, że wszystko dobrze się skończy. Zbierało się jej na płacz. Bez wątplenia był to skutek zmęczenia i braku odpoczynku po podróży do Chalmers Bay.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby do tego nie dopuścić, prawda? - odrzekł. - Na szczęście nie mamy tu jakiegoś trzeciorzędnego zespołu. Jeśli John przetrzyma kryzys, to z pewnością doprowadzimy go do takiego stanu, aby mógł wytrzymać podróż do Edmonton.

Kiwnęła głową. Miała przed oczami bladą, ściągniętą bólem twarz Oldmana. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tego widoku.

Gdy Craig wyszedł, przygotowała drugą kroplówkę i zrobiła kolejną transfuzję. Cały czas nie mogła uwierzyć, że to przypadek zdecydował o ich ponownym spotkaniu. Tej nocy miała spać w mieszkaniu służbowym, wiedząc, że Craig jest w pobliżu i w każdej chwili będzie mógł ją zawołać. Mimo wszystko ta myśl podziałała na nią uspokajająco.

Skupiła się na pracy. Czas mijał szybko. Ani się obejrzała, gdy w pokoju pojawiła się Bonnie Mae. Udało się jej złapać kilka godzin snu i teraz przysłała ją zmienić.

- Jak idzie, Meg? - spytała, wtaczając się do pokoju. W ręce trzymała torbę z wałówką i termos kawy.

Zdażyła już wcześniej opowiedzieć Meg, że zbyt dużo je podczas długich zimowych wieczorów w Chalmers Bay. Była zaręczona z niejakim Chuckiem Melvinem, pilotem pracującym dla przedsiębiorstwa transportowego działającego na północy. Chuck często zatrzymywał się w Chalmers Bay, żeby zobaczyć się z narzeczoną. Podczas gdy inni przychodzili i odchodzili, Bonnie mieszkała tu na stałe.

- Cieszę się, że cię widzę. - Meg uśmiechnęła się na widok koleżanki.

Opowiedziała Bonnie o stanie pacjenta, po czym jeszcze przez chwilę pozostała, aby z nią pogawędzić. Dzięki środkom znieczulającym Oldman spał spokojnie.

- Nie masz już dość nieustannego korowodu nowych ludzi? - spytała, przyglądając się, jak Bonnie z wprawą przejmuje dyżur.

- Czasami... Ale w zasadzie nie - odrzekła. - Dzięki temu poznaję inne punkty widzenia, uczę się nowych rzeczy. Co prawda, niektórych wolałabym nie znać. - Zaśmiała się krótko. - Ostatnio jednak Korpus przysyła tu naprawdę dobrych fachowców, świetnych lekarzy. To bardzo ważne. Korpus stara się namówić ludzi, aby przyjeżdżali tu co roku na kilka tygodni lub

miesiący. Dzięki temu istnieje pewna ciągłość. Alanna była już dwa razy, a ten facet, za którego wyszła, przyjeżdżał tu wielokrotnie. Owen Bentall to naprawdę doskonały lekarz. Teraz będą przyjeżdżać razem.

- To rzeczywiście doskonały pomysł - przyznała Meg. Zaczęła się zastanawiać, czy ona lub Craig przyjadą tu ponownie.

- O ile wiem, Craig wielokrotnie jeździł do szpitala gdzieś w Yukon - powiedziała Bonnie, trafnie odgadując jej myśli.

- Może teraz zwiąże się z Chalmers Bay? Musimy go odpowiednio potraktować - dodała.

Meg odniosła wrażenie, że Bonnie patrzy na nią znacząco.

- A co z tobą?

- Sama nie wiem - odpowiedziała wymijająco. Nie powiedziała jeszcze koleżance o swej bliskiej znajomości z Craigiem, a teraz nie chciała wszczynać długiej dyskusji.

- Muszę wprawdzie lepiej poznać Chalmers Bay. - Z trudem stłumiła ziewnięcie. - Idę się przespać. Dobranoc. Mam nadzieję, że nie będziesz miała kłopotów.

- Jutro, a właściwie dziś rano, zabiorę cię do osiedla na skuterze śnieżnym - obiecała Bonnie. - O tej porze roku to najlepszy sposób poruszania się po okolicy. Pokażę ci sklep i aptekę. Mamy też niewielkie muzeum, poświęcone głównie historii wielorybnictwa. Kiedyś oprawiano tu wieloryby. Za parę tygodni, gdy zrobi się cieplej, lodołamacze otworzą dostęp do zatoki. Wszystkie załogi włączą się wtedy po Chalmers Bay. Pokażę ci port. Możemy wyruszyć o wpół do dziesiątej, po śniadaniu?

- Bardzo chętnie, ale czy nie będziesz aby zmęczona?

- Nie... Zresztą będę miała cały dzień, żeby odpocząć. Rano Alanna popilnuje Oldmana. Przyjdzie też Nuna, Inuitka, która nam pomaga. Teoretycznie jest salową, ale w rzeczywistości pełni rolę pielęgniarki. Jest doskonała. My będziemy pilnować Oldmana, a Nuna zajmie się pozostałymi. W ostateczności możemy też ściągnąć Skipa, ale wolałabym tego nie robić, bo ma dość roboty w ciągu tygodnia.

- Dobra, zatem dziewięta trzydzieści, Bonnie. Bardzo ci dziękuję.

- Podczas Wielkanocy będzie tu jarmark. Wyścigi psich zaprzęgów i różne takie. Z pewnością to ci się spodoba. Wielkanoc jest ważnym świętem w Chalmers. To koniec zimy, choć czasem trudno w to uwierzyć - dodała z uśmiechem. - Inuici nazywają ten okres Opinraksak, czyli wczesna wiosna. Namów Craiga, żeby cię wziął na jarmark.

- Przecież on ma już... przyjaciółkę. Z pewnością pójdzie z nią i synem - powiedziała Meg. Uznała, że nie ma co udawać, iż takie zaproszenie nie sprawiłoby jej przyjemności. Bonnie z pewnością domyśliłaby się prawdy,

- E, nie masz co sobie nią głowy zaprzętać. To dziewczyna Grega Farleya z Królewskiej Konnej.

- Och! - Meg udało się ukryć zdziwienie. Odwróciła się do drzwi. - Dobranoc - rzuciła jeszcze przez ramię i wyszła. Co mogła oznaczać ta wiadomość?

Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Przestał padać śnieg, a wokół panował idealny spokój. Meg przeszła zakrytym łącznikiem do mieszkania służbowego, po czym otworzyła drzwi i zatrzymała się na progu. Parokrotnie wciągnęła w płuca zimne, czyste powietrze. Poczowała na policzkach podmuch lodowatego wiatru. Na szerokiej równinie, na której leżało osiedle, widać było teraz tylko kilka świateł. Linie horyzontu zdobiła oświetlona wieża kontroli lotów.

Meg pomyślała, że Chalmers Bay przypomina więzienie. Nie było stąd żadnej drogi na południe. Zimą można próbować przejechać wzdłuż łańcucha zamarzniętych jezior, ale już wkrótce ta droga stanie się zbyt niebezpieczna. Lód zacznie topnieć i nie będzie w stanie utrzymać ciężaru samochodu lub ciągnika. Meg lekko zadygotała, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

Mówiąc Alannie, że jest twarda, chyba nieco przesadziła lub raczej nie powiedziała całej prawdy. Taka była na zewnątrz. Już od wczesnego dzieciństwa musiała być twarda, aby jakoś zorganizować swoje życie. Lecz podobnie jak lodowy szlak, w każdej chwili mogła pęknąć. A przyczyną tego były wielkie, burzliwe uczucia do pewnego mężczyzny, z którym połączył ją ślepy los. W istocie Meg była delikatna i wrażliwa... I nie wierzyła, aby Craig był jej przeznaczony.

Spojrzała na wschód. Nagle serce zabiło jej mocno. Wysoko ponad dachami przychodni zobaczyła rozległą zorzę polarną. Tajemnicze wstęgi światła ciągnęły się aż do horyzontu. Zielonobiałe, kosmate pasma kojarzyły się jej z jakąś tajemniczą baśnią.

Wokół panowała cisza, którą zakłócało tylko wycie wiatru. Meg weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.



## ROZDZIAŁ TRZECI

- To komenda Królewskiej Konnej Policji! - krzyknęła Bonnie przez ramię, wskazując ręką jakiś budynek. Radziły przez Chalmers Bay na skuterze śnieżnym. Bonnie jechała znacznie szybciej niż Alanna dwa dni temu.

- Aha! - odkrzyknęła Meg. - Lepiej uważaj. Jeśli będziesz jechać tak szybko, dostaniesz mandat.

- Oni mnie znają! - radośnie zawołała Bonnie. - Zawsze jeżdżę szybko! Policjanci myślą, że jadę do chorego!

Dodała gazu i elegancka maszyna, przypominająca bobsleja z czarną, lśniącą maską, wyskoczyła w powietrze na niewielkiej muldzie. Gdy wylądowały po drugiej stronie, Meg miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Jesteś szalona, Bonnie! Chcesz mnie zabić?! - wrzasnęła.

- Rozluźnij się! To nic groźnego! Z pewnością nie zajdziesz w ciążę! Tam jest kościół anglikański. - Bonnie wskazała ręką kierunek. Meg z trudem obróciła głowę. Teraz ostry wiatr dmuchał jej prosto w twarz. - Obok kościoła mamy świetlicę. Tam organizujemy różne imprezy, tańce itp.

Bonnie skręciła w boczną ulicę koło kościoła. Jechały ostro w dół. Meg kurczowo zaciskała ręce na poręczy. Bała się, że zaraz wypadnie ze skutera.

- Tam jest sklep i poczta, a tam muzeum - informowała ją koleżanka. - Koło poczty mamy kilka warsztatów. Trzymaj się, pojedziemy do portu. Na razie niewiele można tam zobaczyć. Później odwiedzimy jednego pacjenta, zgoda?

Port wydawał się zupełnie opuszczony. Na redzie i w zatoce widać było wypiętrzone i potraskane tafle lodu, skuwa-jącego całą powierzchnię wody. Nie przypominało to w niczym gładkiej ślizgawki. Wyglądało raczej tak, jakby mróz nagle unieruchomił wzburzone fale zatoki.

Po kilku minutach skierowały się z powrotem do miasta. Bonnie zatrzymała skuter przed niewielkim drewnianym domkiem, wzmocnionym stalowymi okuciami. Wydawał się dobrze ocieplony i zabezpieczony przed podmuchami wiatru. Z komina unosiła się cienka smuga dymu. Bonnie Mae wygramoliła się ze skutera i gestem nakazała Meg, aby zrobiła to samo.

- Tu mieszka Charlie Patychuk, nasz stały pacjent. Odwiedzam go parę razy w tygodniu. Chcę, abyś go poznała. Jest już stary i choruje na płuca, pozostałość po gruźlicy. W tej okolicy gruźlica zdarza się dość często, choć

nie jest już takim problemem jak w latach pięćdziesiątych. Jeśli się ładnie uśmiechniemy, jego córka poczęstuje nas herbatą.

Drzwi otworzyły się, nim weszły na werandę. Meg zobaczyła niską, szczupłą kobietę. Gospodyni powitała ich szerokim uśmiechem.

- Hallo! - zawołała. - Miło was widzieć. Teagukpin?

- li, matna - odpowiedziała Bonnie i obie weszły do środka. - To Meg, nasza nowa pielęgniarka. Meg, ona nas pyta, czy chcemy herbaty. Powiedziałam, że tak.

Charlie Patychuk siedział w salonie. Musiał mieć już koło siedemdziesiątki. Gdy weszły, z bocznego pokoju wyłonił się młody chłopiec, wyglądający na jakieś czternaście lat.

- Cześć, Bonnie Mae - odezwał się pierwszy. Jego uśmiech wyrażał jednocześnie nieśmiałość i radość z wizyty. - Cieszę się, że nas odwiedziłaś.

- No, Tommy, jak ci się wiedzie? Boże, wydaje mi się, że od naszego ostatniego spotkania urosłeś dobrych kilka centymetrów! Przecież minęły tylko dwa tygodnie!

- Chyba rzeczywiście rosnę - przyznał chłopiec. - Najwyższa pora.

- Meg, to jest Tommy Patychuk, a to jego dziadek, Charlie.

Meg przywitała się z dziadkiem i wnukiem. Gdy podała chłopcu rękę, zauważyła, że na jego dłoniach widać wyraźne blizny po oparzeniach. Podobne ślady dostrzegła na szyi. szczęście ogień oszczędził twarz. :

- Tommy przeżył paskudny pożar rok tejpu - wyjaśniła Bonnie. - Był mocno poparzony i spędził sporo czasu w szpitalu na południu - dodała rzeczowym tonem, tak jakby wiedziała, że Tommy nie chce być przedmiotem litości.

Charlie siedział w wygodnym fotelu. Z jego poranej zmarszczkami twarzy można było wyczytać długą historię życia na północy. Leżące na kolanach dłonie były zdeformowane i pokryte zrogowaciałą skórą, paznokcie czarne i połamane. Charlie Patychuk zajmował ważną pozycję w lokalnej społeczności i był powszechnie szanowany.

- Jak się pan czuje, panie Patychuk? - spytała Bonnie. - Wszystko w porządku? - mruknął. Wydawał się trochę niezadowolony. Widocznie nie lubił spotkań z nowymi ludźmi.

Herbata, zaparzona w garnku, była mocna i aromatyczna. Zamiast cukru wszyscy używali tu skondensowanego mleka. Bonnie rozmawiała z Patychukami o miejscowych wydarzeniach. Chwilami przerzucała się z angielskiego na lokalny język inu-ktitut. Meg tylko słuchała. Bonnie czasami

tłumaczyła jej, o co chodzi. Tommy wtrącał się, żeby wyjaśnić jakieś szczegóły.

- Tutaj wszystko przeżywamy razem - powiedział w pewnym momencie, wyraźnie sugerując, że północ to coś innego niż południe. - Gdy ktoś jest głodny, dzielimy się jedzeniem. Radości i smutki innych są naszymi radościami i smutkami.

Wszyscy wypili po jeszcze jednej filiżance herbaty. Bonnie nie chciała siedzieć zbyt długo, bo była niedziela i rodzina wybierała się do kościoła.

Gdy wróciły do stacji, pielęgniarka zamknęła skuter w garażu i poszła do siebie odpocząć. Meg udała się do swego mieszkania. Z przyjemnością myślała o tym, że zaraz zdejmie grubą kurtkę, ocieplacze i ciężkie buty.

- Cześć, Meg - powitała ją Alanna, nim zdążyła zamknąć drzwi. - Zmarzłaś na kość?

- Nie jest tak źle - odpowiedziała, choć wargi zeszywniały jej z zimna. Odwinęła szalik osłaniający twarz. Dopiero teraz zauważyła, że w salonie siedzi Craig. Zachowywał się bardzo swobodnie, tak jakby był u siebie. W tym momencie Meg poczuła się intruzem. Od razu straciła dobry humor. Zdjęła kurtkę i zabrała się do rozwiązywania zmarzniętych sznurowadeł.

- Jemy wczesny lunch - powiedziała Alanna. - Myślę, że talerz gorącej zupy dobrze ci zrobi.

- Hm, bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że nie przerywam wam narady lekarskiej - odparła, nie patrząc na Craiga.

- W istocie naradzaliśmy się, co dalej z Oldmanem - wyjaśnił mężczyzna nonszalancko, splatając ramiona na karku. - Dobrze, że przyszłaś, skoro masz się nim zajmować.

- Jak się czuje? - spytała, wieszając kurtkę i ocieplacze na kołku w przedpokoju. Wciąż unikała spojrzenia Craiga. Nie miała wątpliwości, że odgrywał przedstawienie na użytek Alanny. - Bonnie powiedziała mi, że przeżył noc. To dobra nowina.

- Tak. Krążenie w kończynach nieco się poprawiło, ale wciąż nie jest zadowolające - zwrócił się bezpośrednio do niej. - Problem polega na tym, że byłoby dobrze wysłać go do ośrodka, gdzie mają aparaturę do utleniania krwi, ale on może nie przetrzymać podróży. Pewnie trzeba byłoby go zawieźć aż do Yellowknife... - urwał i zamyślił się.

- Rozumiem - powiedziała Meg. - Kto by z nim poleciał?

- Pewnie Bonnie Mae - odpowiedziała Alanna. - Może też lecieć razem ze mną, jeśli do mojego wyjazdu będzie już w odpowiednim stanie. Mój następca, Dan McCormick, przyleci tu, jak tylko pogoda się poprawi.

- Rozumiem. - Meg, jako nowicjuszka, wołała nie wykazywać inicjatywy. Musiała zaliczyć Craigowi na plus, że nie traktuje ludzi z góry. Żałowała, że w sprawach osobistych nie może mu ufać tak, jak przy problemach medycznych.

- Nalej sobie zupy, Meg - zachęciła ją Alanna. - Stoi na kuchence.

- Dziękuję.

Uciekła do kuchni. Nalewając zupę, zastanawiała się, kiedy będzie mogła zaszyć się w swoim pokoju, żeby nie wyglądało to nieuprzejmie. Dotychczas nie przyszło jej do głowy, że lekarze będą wykorzystywać salon w służbowym mieszkaniu do swych narad. To było poważne naruszenie jej prywatności.

- Czy możesz dyżurować dziś w nocy, Meg? - W kuchni pojawiła się Alanna. - Masz całe popołudnie, żeby się wyspać. Przykro mi, że tak się to wszystko układa, ale tu już tak jest. Nigdy nie wiadomo, co wyskoczy. Mamy sporo wypadków... Czasami również z okolicznych kopalni, choć mają tam własne pogotowie i lekarzy...

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Meg. - W Jasper Creek przywykłam do nieustannych dyżurów. Tam musiałam być zawsze pod ręką.

- Wiem. Mimo to spróbujemy jakoś ci to zrekompensować. Teraz idę spać. Tej nocy prawie nie zmrużyłam oka. Muszę trochę odpocząć, bo noc zapowiada się niewesoło. Craig był tak miły, że zgodził się jeszcze trochę zostać.

Meg pochyliła głowę i przeniosła talerz zupy na stół. Dzięki temu udało się jej ukryć niepokój, jaki wywołała uwaga Alanny. Postanowiła, że jak tylko zje, sama pójdzie sprawdzić, w jakim stanie jest Oldman. Nie mogła wyzbyć się obaw, że zaraz coś się wydarzy.

Okazja do wyjścia nadarzyła się już wkrótce, gdy w mieszkaniu pojawił się kucharz, aby uzupełnić zapasy w lodówce i zabrać brudne naczynia. Meg właśnie kończyła drugi talerz zupy.

- Meg, oto Joe Fletcher - przedstawiła go Alanna. - Joe gotuje dla nas, policji i jeszcze kilku instytucji w osiedlu.

Joe był mężczyzną średniego wzrostu, kościstym i szczupłym. Miał ruchliwą, bardzo wyrazistą twarz.

- Dzieńdoberek! - powitał Meg, mocno ściskając jej dłoń. - I oto jeszcze jeden głupiec gotów się męczyć w tej dziurze? - Mówił z wyraźnym amerykańskim akcentem. - Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek godzi się tu przyjechać, gdy jest tyle przyjemniejszych miejsc na Ziemi... na przykład Wyoming, gdzie można jeździć konno po prerii. Codziennie zadaję sobie to samo pytanie... Wiecie, co o tym myślę? - Zawiesił głos, ale w istocie nie czekał na odpowiedź. - To po prostu zwykły ludzki upór. Nikt nie chce się przyznać do słabości, nawet jeśli wskutek tego może zamarznąć na śmierć. Jestem tu już od siedmiu lat. Tu jest okropnie, ale i tak nie wyjadę!

Parsknął śmiechem. Inni również zaśmiali się głośno. Meg pomyślała, że Joe z pewnością wita tą przemową każdego nowego przybysza.

- Może nie wyjeżdżasz, bo wszyscy cię tu doceniają - zauważyła uprzejmie. - Zupa była doskonała.

- Och, bardzo dziękuję szanownej pani - zaczął odgrywać rolę pokornego sługi. - Jestem do usług, ilekroć chciałaby pani coś specjalnego. Umieję gotować również bardziej wyrafinowane dania.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Meg. - Mam nadzieję, że będę miała okazję docenić twoje talenty.

Kątem oka zobaczyła, jak Craig przygląda się jej z sardonycznym uśmiechem. Gdy Joe zabrał się do roboty, skorzystała z okazji i poszła do swojego pokoju. Wzięła lekką kurtkę i skierowała się do przychodni.

W klinice panowała zupełna cisza. Ponieważ nie mieli specjalnego pokoju intensywnej terapii, pacjenci, którzy wymagali stałej opieki, leżeli w sali pooperacyjnej. John Oldman wciąż się tam znajdował, ale już wkrótce należało go przenieść na oddział, aby zrobić miejsce dla oczekujących na operację. Bonnie poinformowała ją, że zwykle wszystkie operacje odbywają się w poniedziałki, środy i piątki.

Gdy Meg zobaczyła Oldmana, nieco się uspokoiła. Obok łóżka stała Inuitka w średnim wieku i karmiła go. Jeśli Oldman mógł jeść, to najwyraźniej jego stan bardzo się poprawił. Gdy weszła do pokoju, odwrócił głowę w jej stronę. Nic nie powiedział, ale najwyraźniej był całkowicie przytomny.

- Dzień dobry, nazywam się Meg Langham. Jestem nową pielęgniarką - powiedziała. - Ty zapewne jesteś Nuna, prawda? Zmienię cię po południu.

- Dzień dobry. Tak, jestem Nuna. Cieszę się, że cię poznałam. On czuje się coraz lepiej.



Nuna była niska i krepą. Miała okrągłą, pulchną twarz. Gdy się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się liczne zmarszczki. Jej ruchy wydawały się oszczędne i zamierzone.

- Policja podobno skontaktowała się już z żoną Oldmana - poinformowała Meg. - Oni są z plemienia Dene, żyją nieco dalej na południe. Przyleci tu, jak tylko złapie jakiś samolot. Mamy również otrzymać transport krwi ze stacji w Yellowknife. Pewnie dotrze jeszcze dziś po południu.

- Doskonale. Do zobaczenia, Nuna.

- Do widzenia.

Meg z ulgą pomyślała, że Oldmanowi chyba już nic nie grozi. Wyszła z pokoju i skierowała się do skrzydła, gdzie przyjmowano pacjentów nie wymagających hospitalizacji. Chciała skorzystać z okazji i rozejrzeć się po całej stacji.

Gdy oglądała kolejne sale, usłyszała trzask frontowych drzwi i czyjeś kroki w korytarzu. Wyszła z pokoju i podążyła w stronę holu. Już po chwili natknęła się na jakąś kobietę ubraną w ciepłą kurtkę i futrzaną czapkę.

- Och... dzień dobry. Pani jest pewnie nową pielęgniarką. Wstąpiłam, mając nadzieję, że może zastanę Bonnie Mae - powiedziała nieznajoma, ściągając z głowy czapkę. Była całkiem młoda. - Rozumiem, że jej tu nie ma?

- Niestety nie. Miała dyżur i poszła spać. Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Miałam nadzieję, że będę mogła z kimś porozmawiać prywatnie, nie umawiając się z góry na wizytę. Widzi pani, nie chcę, aby moja rodzina się o tym dowiedziała. - Kobieta, najwyraźniej z południa, była czymś mocno zaniepokojona.

- Jestem Adele James... Bonnie Mae dobrze mnie zna. Mój mąż służy w Konnej Policji w Chalmers. Przyjechaliśmy tu na dwa lata. Problem polega na tym... Mam jakiś guz na piersi. Po raz pierwszy zauważyłam go tydzień temu.

- Rozumiem - odparła łagodnie Meg. - Czy miała już pani takie guzy?

- Nie, nigdy. Jestem naprawdę przerażona. Tyle się czyta o raku piersi... - powiedziała drżącym głosem. Najwyraźniej była bliska płaczu.

- W tej chwili jest tutaj dwoje lekarzy. Jestem pewna, że któryś panią zbada - oznajmiła Meg. - A może woli pani poczekać na Bonnie? Nawiasem mówiąc, jestem Meg Langham.

- Bardzo mi miło, Meg - Adele przeszła na ty. Z trudem utrzymywała nerwy na wodzy. - No cóż, wcześniej czy później i tak ktoś będzie musiał

mnie zbadać, więc chyba nie należy tego odkładać. Oczywiście, jeśli to nie jest problem. Powinnam się zapisać na wizytę.

- Skąd, to żaden problem. Po to tu jesteśmy. Teraz może wejdź do tego pokoju, rozbierz się i połóż na kozetce. Najpierw ja cię zbadam, później zawołam lekarza. Czy masz swoją kartę? Wyciągnę ją z kartoteki.

- Dobrze... Dziękuję. - Adele westchnęła z rezygnacją i weszła do pokoju. Wiedziała, że uruchomiła mechanizm, nad którym nie sprawuje kontroli. - Tak, leczyłam się już tutaj.

Meg poszła do biura i odnalazła kartę Adele. Żadnych poważnych chorób w przeszłości. Dwoje dzieci, oboje urodzonych przed jej przyjazdem do Chalmers Bay. Wszystkie dotychczasowe wizyty to rutynowe badania. Raz miała rentgen płuc.

Meg wróciła do pokoju, w którym czekała Adele. Pomogła jej położyć się na kozetce.

- Spróbuj się rozluźnić - powiedziała. - Pokaż mi, gdzie masz to stwardnienie. Później zawołam lekarza.

- Dziękuję. To tutaj, w dolnej części lewej piersi.

Meg bez trudu wymacała twardy punkt. Guz był jeszcze niewielki, ale łatwo wyczuwalny.

- Proszę, przykryj się. - Podała Adele koc. - To nie potrwa długo. Będę za jakieś dziesięć minut.

Wzięła kartę i pośpiesznie udała się do aneksu mieszkalnego. Miała nadzieję, że zdąży, nim Alanna położy się spać.

Gdy weszła do salonu, był tam tylko Craig. Siedział w fotelu i czytał gazetę.

- Hm... Czy doktor Hargrove już się położyła?

- Owszem, już śpi. - Wstał powoli i zmierzył ją ostrym wzrokiem. Sądząc po wyglądzie, jemu również przydałby się odpoczynek. - Obawiam się, że będziesz musiała polegać na mnie. Czy mogę w czymś pomóc? Mam wrażenie, że przynosisz jakąś niespodziewaną wiadomość.

Meg wyjaśniła mu problem i podała kartę.

- Oczywiście, już idę ją zbadać - powiedział Craig. - Potem pojedę do siebie. W razie potrzeby możesz po mnie zadzwonić.

- Dobrze - skwitowała krótko.,

- Cieszysz się, że sobie pójdę? - spytał z cynicznym uśmiechem. Wyciągnął rękę po kurtkę.

- Nie, skądże. - Postanowiła zachować formę, ale jednak nieco się zarumieniła.

- Łżesz - mruknął cicho. - Chodź, pokażesz mi, gdzie ona leży.

- Czy to rak, panie doktorze? - spytała Adele James, gdy Craig zakończył badanie. Mówiła wysokim, pełnym napięcia głosem.

- Trudno powiedzieć bez dokładniejszych badań... Nie sędzę, ale wolałbym jak najszybciej usunąć ten guz. To zawsze jest właściwe posunięcie. Jeśli może pani wrócić po operacji do domu, możemy to zrobić już jutro. Zamierzam wyciąć guz i nieco otaczającej go tkanki. Przydałaby się biopsja, ale to strata czasu, zwłaszcza że nie mamy tu patologa.

- Chyba mogłabym przyjść jutro - odpowiedziała Adele. - Nie mówiłam jeszcze nic mężowi...

- Doskonale. Wątpię, by był to rzeczywiście nowotwór. To raczej tłuszczak albo włókniak... - Craig mówił łagodnym tonem, ale bez śladu lekceważenia. - Nie możemy jednak wykluczyć raka, dopóki nie wytniemy guza i nie zbadamy go dokładnie. Doktor Hargrove i ja zajmiemy się tym jutro. Trzeba będzie pobrać wycinek i zbadać go pod mikroskopem. Niezależnie do tego, do jakiego wniosku dojdziemy, wyślemy go do analizy histopatologicznej. Wyniki powinny dotrzeć za jakieś trzy tygodnie. Jednak już jutro powinniśmy wiedzieć, z prawdopodobieństwem rzędu osiemdziesięciu procent, z czym mamy do czynienia.

- Dziękuję panu.

- Czy w pani rodzinie ktoś miał raka piersi?

- Ciotka, to znaczy siostra matki. Dlatego właśnie tak się boję.

- Uhm... Dobrze, że pani przyszła. Czy może pani być tu jutro o ósmej trzydzieści? Powinno wystarczyć miejscowe znieczulenie, ale na wszelki wypadek niech pani będzie na czczo. Może będziemy musieli dać narkozę. - Uśmiechnął się do niej i lekko uściśnął jej ramię. - Niech pani się dobrze wyśpi.

- Karmiłam dzieci piersią... To podobno zapobiega rakowi sutka... Czy to prawda?

- Wydaje się, że tak, choć nie rozumiemy dlaczego. Czy poza tym nic pani nie dolega?

- Chyba nie. O ile wiem, jestem zdrowa.

- Muszę uzupełnić pani dane medyczne, zmierzyć ciśnienie, zbadać serce i płuca oraz wziąć krew do analizy. Musimy znać pani grupę krwi i upewnić się, że nie ma pani anemii.

Gdy Craig skończył badanie, poprosił Meg do dyżurki.

- Zapisz ją na jutro, na pierwsze wolne miejsce. Im wcześniej, tym lepiej, bo strasznie się boi. Proszę, uprzedź też Bonnie Mae, że mamy nieprzewidzianą operację.

- Dobrze...

- Nieźle wpadłaś, prawda? - powiedział nieoczekiwanie, przełamując barierę niechęci. - Jestem pewien, że sobie poradzisz. Jak ci się tutaj podoba? Wiem, że jeszcze za wcześnie o to pytać...

Meg spojrzała na niego podejrzliwie. Skąd ta uprzejmość, skoro wczoraj był tak niemiły? Nie ufała mu ani trochę.

- Myślę, że to będzie interesująca i satysfakcjonująca praca - wyznała szczerze. - Fascynujące miejsce. Wczoraj po raz pierwszy widziałam zorzę polarną. Jest zdumiewająca... i niesamowita. - Mówiła pośpiesznie, aby nie myśleć o łączącej ich dziwnej więzi, którą w dalszym ciągu wyraźnie wyczuwała. Znów pomyślała o matce Roba...

- Tak. Według wierzeń Inuitów, to dusze nie narodzonych dzieci tańczą na niebie.

- Naprawdę? To niezwykle.

- No, dobra - uciął nagle rozmowę. Meg odniosła wrażenie, że jest zły na siebie, iż pozwolił sobie na chwilę słabości. - Tutaj jest lista jutrzejszych operacji. Idę do domu... - dodał i zapisał coś na kawałku papieru. - Będę pod tym telefonem. Wzywaj mnie w każdej chwili, jeśli zajdzie potrzeba. Może jeszcze zajrzę. Jeśli bym nie było, zostaw wiadomość Gail.

- Gail? - powtórzyła Meg. Pamiętała to imię. A więc Joyce Travers miała jednak rację...

- To kobieta, z którą mieszkam - wyjaśnił obojętnym tonem.

- Rozumiem. Dowidzenia... Odprowadzę panią James. Meg wyszła z pokoju. Z trudem zachowała spokój. Nie

chciała dopuścić, aby Craig się zorientował, że to imię ma dla niej jakieś znaczenie. W rzeczywistości siostra oddziałowa ze szpitala w Gresham wspominała o kobiecie noszącej takie imię, gdy chciała jej dokuczyć. Jak twierdziła Joyce, Gail była najlepszą przyjaciółką matki Roba... która postanowiła po jej śmierci pocieszyć ojca i syna.

- Dziękuję, Meg. Zobaczymy się jutro, prawda? - Adele James była teraz znacznie spokojniejsza niż w chwili pojawienia się w przychodni. Wiedziała już, co ją czeka. - Muszę postarać się, aby jutro ktoś zajął się dziećmi.

- Tak Przyjdź prosto tutaj. Im wcześniej, tym lepiej. Nie zapomnij, że od północy nie wolno ci nic jeść ani pić. To prosta operacja. Nie powinno cię boleć. Na wszelki wypadek dostaniesz do domu jakieś środki znieczulające. Postaraj się nie myśleć o tym.

Meg odprowadziła pacjentkę do drzwi. Przez chwilę patrzyła, jak Adele zbliża się do zaparkowanej na ulicy furgonetki. Wiedziała, że kobieta nie przestanie się martwić. Któż potrafiłby zapomnieć o czekającej go operacji? Ale przynajmniej nie będzie musiała czekać kilku tygodni na ostateczny wyrok. Gdyby nie ta stacja, nie miałyby tego szczęścia.

Wracając do dyżurki, pomyślała, że praca pomaga jej zachować poczucie równowagi. Jakież znaczenie miały jej problemy w porównaniu z nowotworem? Przynajmniej nie musiała się martwić, że wkrótce umrze.

Już miała wyjść z biura, gdy zadzwonił telefon. Po chwili wahania podniosła słuchawkę. Wolałaby nie odpowiadać na telefony, dopóki nie pozna lepiej osiedla.

- Dzień dobry, tu Greg Farley z Konnej Policji - usłyszała czyjś donośny głos. Przedstawiła się. - Nie miałem jeszcze przyjemności pani poznać. Musimy to jak najszybciej nadrobić, zgoda?

- Tak, oczywiście. - Uśmiechnęła się do słuchawki, ale zaraz spoważniała. Pomyślała, że pewnie zaraz dowie się o jakimś wypadku.

- Dzwonię, aby zawiadomić panią, że właśnie przyleciała żona Johna Oldmana. Jest u nas w komisariacie. Będzie mieszkać u rodziny jednego z policjantów, dopóki nie zdecydujecie, co dalej z tym biedakiem. Chciałbym spytać, kiedy ta mała mogłaby odwiedzić męża? Sam ją podwożę. Nie chciałbym sprawić kłopotów, pojawiając się o niewłaściwej porze.

Meg z trudem powstrzymała chichot. Greg mówił z akcentem rodem z westernów. Być może dla niego jej głos brzmiał równie zabawnie.

- Proszę mi dać pański numer telefonu. Zadzwoń za parę minut.

- Oczywiście, oczywiście... Czy ktoś ze szpitala będzie mógł ją później odwiedzić do domu?

- Tak, na pewno jakoś to załatwimy.

Gdy Meg weszła do pokoju pooperacyjnego, Nuna właśnie próbowała skłonić Oldmana do odkrztuszenia flegmy i zmiany pozycji. Meg przez kilka minut przyglądała się z uznaniem jej pracy. Nuna potrafiła być jednocześnie delikatna i stanowcza.



- Panie Oldman - przerwała im wreszcie. - Właśnie dowiedziałam się, że przyleciała pana żona. Może być tutaj, jak tylko zawiadomimy policję, żeby ją przywieźli.

Oldman opadł na poduszkę. Oddychał ciężko, z wysiłkiem, ale w jego przekrwionych oczach pojawił się radosny błysk.

- Powiedźcie jej... żeby przyszła zaraz.

- Dobrze. Nuna, masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

- Zadzwoń na policję, a potem przygotuję furgonetkę, żebyśmy mieli czym ją odwieźć.

Meg wyszła i zadzwoniła z biura. Następnie włożyła kurtkę i udała się do garażu. W Jasper Creek wielokrotnie prowadziła furgonetkę. Ta tutaj była większa, cięższa i miała ogromne opony śnieżne. Meg miała nadzieję, że dzięki temu będzie ją łatwiej prowadzić.

Wjazd do garażu znajdował się na tyłach stacji. Tam zwykle wyładowywano dostawy przywożone tu z lotniska. Jaskrawe słońce odbijało się od powierzchni śniegu. Meg była strasznie śpiąca, ale zmusiła się do pracy.

Wyłączyła założony na stałe grzejnik podgrzewający silnik i ostrożnie wyprowadziła niezgrabny pojazd na parking przed wejściem. Od razu podłączyła grzejnik do specjalnego kontaktu na parkingu. Tylko w ten sposób można było uchronić silnik przed zamarznięciem.

Właśnie kończyła, gdy na parkingu pojawiła się ciężarówka policyjna. Z kabiny wyskoczył policjant w ciemnoniebieskim mundurze.

- Cześć! - krzyknął pierwszy. - To pani z pewnością jest Meg. Proszę poczekać!

Nim zdołała wygramolić się z wysoko zawieszanej kabiny, podszedł i bez wysiłku zestawił ją na ziemię. Był wysoki, dość młody i mocno zbudowany. Wyglądał na wzorowego policjanta.

- Jestem Greg Farley - przedstawił się. Zdjął grubą rękawicę i podał jej rękę.

- Dzień dobry, cieszę się, że pana widzę - przywitała go Meg, dyskretnie go oceniając. Oto jeszcze jeden przyjaciel tajemniczej Gail. - Myślę, że w ciągu ostatnich dwóch dni wymieniłam więcej uścisków dłoni niż w przeciągu poprzednich dwóch lat.

- No pewnie. Tu wszyscy są bardzo przyjaźni. Czy mogę do pani mówić Meg?

- Bardzo proszę.

- Doskonale! Jestem Greg. Przedstawię ci zaraz panią Oldman. -Greg ściszył głos. - Jak się ma jej mąż? Czy... no, wiesz, czy...?

- Jak na to, co mu się przydarzyło, jest całkiem w niezłym stanie. Mam nadzieję, że nie będzie to dla niej szok.

- Świetnie! - Greg podprowadził ją do swojej ciężarówki. Żona Oldmana miała jakieś trzydzieści kilka lat, była szczupła i wydawała się bardzo znużona. Meg spojrzała na nią ze współczuciem.

Pani Oldman w milczeniu weszła do szpitala. Było oczywiste, że jest przerażona wypadkiem męża. Nuna ułożyła Oldmana w pozycji półleżącej i zakryła jego kończyny prześcieradłem. Meg zwróciła na to uwagę, jak tylko weszły do pokoju. Gdy Oldman zauważył żonę, uniósł się nieco i uśmiechnął.

Kobieta podbiegła do niego i przytuliła policzek do jego twarzy. Niemal natychmiast zaczęła cicho płakać. Gdy przytulił się do niej, z jego oczu również pociekły łzy. Nuna i Meg cicho wyszły na korytarz.

- Idę się przespać, Nuna. Zadzwoń po mnie, gdy ona będzie gotowa do wyjścia, dobrze? - szepnęła Meg. - Będę u siebie.

- Dobrze, ale ona będzie tu długo.

Po drodze do pokoju Meg niecierpliwie starła z policzków kilka łez. Była na siebie zła. Wiedziała, że płacze nie z powodu Oldmana i jego żony, lecz z żalu nad sobą. Pragnęła czegoś, co w tym momencie było niemożliwe. Pomyślała, że musi się przespać. To powinno jej pomóc w odzyskaniu równowagi.

Dojechała do komisariatu policji i z powrotem bez kłopotów. Zbliżał się już wieczór, robiło się coraz chłodniej. Gdy parkowała samochód, trzęsa się z zimna. Na szczęście miała dość czasu, aby przed dyżurem wziąć gorący prysznic. Wcześniej, nim wstała, słyszała przez sen, jak Alanna wychodzi z mieszkania, zapewne aby sprawdzić stan Oldmana przed końcem dyżury Nuny.

Prysznic był dla niej prawdziwą rozkoszą. Na całym ciele czuła uderzenia cienkich strumyków gorącej wody. Ścianki kabiny były zrobione z lekko matowego szkła. Szeroka szczelina u góry dawała ujście parze.

Meg umyła głowę, z mokrych włosów spływała jej na plecy ciepła woda. Zdumiewające, jak w prymitywnych warunkach nabierają znaczenia najprostsze przyjemności.

Ktoś zapukał do jej sypialni. Prawdopodobnie Alanna.

- Proszę! - krzyknęła. Nikt nie wszedł. - Proszę! - krzyknęła głośniejsze. Piana z szamponu spływała jej na twarz. Meg zaciskała powieki i mocno szorowała włosy. Po chwili wsadziła głowę pod prysznic i spłukała pianę. Teraz mogła otworzyć oczy. W drzwiach łazienki nie zobaczyła jednak Alanny.

- Co za rozkoszny widok, Meg Langham - powiedział Craig. Widziała jego głowę i ramiona ponad szklanymi drzwiami. Mokre włosy przykleiły się jej do twarzy. Patrzyła na niego przez kurtynę z gęstych kosmyków. Niemal na ślepo wymacała kran i zakręciła wodę.

- Do diabła, co ty tu robisz? - spytała z wściekłością, wypluwając z ust pasmo włosów. Nie wątpiła, że niemal przezroczyste szkło kabiny nie osłania jej ciała. Craig automatycznie obrzucił spojrzeniem jej nogi i piersi, zachowując przy tym kamienny wyraz twarzy.

To w końcu nie ma znaczenia, pomyślała. Najwyżej jeszcze raz zobaczy coś, co kiedyś było mu bliskie i znajome.

- Nie jestem pruderyjna, ale wołałabym, żeby mężczyźni nie wchodzili bez zaproszenia do mojej łazienki.

- Zawołałaś „proszę”, i to dwa razy - odparł bez uśmiechu. - Byłem gotów czekać, aż wyjdiesz.

- Myślałam, że to Alanna. Czy masz mi coś do powiedzenia?

- Tak naprawdę to szukałem Alanny. Nie było jej w sali pooperacyjnej - odrzekł lakonicznie. Stał niedbale oparty o futrynę, z rękami w kieszeniach. Jego twarz miała obojętny wyraz. Patrzył na Meg bez zainteresowania. Równie dobrze mogłaby być kijem od szczotki. A jednak w łazience wyczuwało się napięcie. Wiedziała, że nie tylko ona jest jego źródłem. - Myślałem, że może jest u ciebie. Jej sypialnia jest pusta.

- Tu też jej nie ma. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić pod łóżkiem. Mam nadzieję, że gdy tu zamieszkas, nie będziesz ładować się do mojej sypialni, ilekroć przyjdzie ci to do głowy. - Spojrzała mu prosto w oczy. - A może uważasz, że teraz też odgrywam przestraszoną dziewczynę, czy jak to byłoby łaskaw określić?

Uznała, że próby zasłonięcia nagości nie mają już sensu. Usiłowała pamiętać o początkowym oburzeniu, ale czuła, że powoli poddaje się innym emocjom. Nie mogła przestać myśleć o tym, że dzieli ich tylko cienka szyba kabiny.

Nieoczekiwanie Craig pochylił się, sięgnął ponad drzwiami i odgarnął dziewczynie włosy z czoła. Teraz mógł widzieć jej twarz.

- Przynajmniej nie wyglądasz już jak zmokła kura - mruknął.

Już otworzyła usta, aby ostro odpowiedzieć, ale on cofnął rękę i niechętnie otworzył zamknięte na magnetyczny zamek drzwi kabiny. Zawiasy przeraźliwie zapiszczały, jak w horrorze rozgrywającym się w średniowiecznej warowni. Najwyraźniej oboje pomyśleli o tym samym. Gdy Meg spojrzała mu w oczy, niewiele brakowało, a wybuchnęłyby histerycznym śmiechem. Craig również wydawał się rozbawiony. Drzwi pozostały otwarte.

Przez kilka sekund stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy.

- Skoro trudno już mówić o skromności, to może podaj mi przynajmniej ręcznik. Leży na łóżku - powiedziała zgryźliwie, odzyskując równowagę. Gdy zniknął w sypialni, wyszła spod prysznic i stanęła za drzwiami łazienki. Pomyślała, że w przyszłości musi pamiętać, by zawsze zamykać się na klucz.

- Proszę. - Craig podał jej ręcznik. - Masz dziś nocny dyżur?

To pytanie uniemożliwiło jej zamknięcie drzwi.

- Tak Zaczynam za pół godziny - odpowiedziała znaczącym tonem.

- Pewnie wstąpię później zobaczyć, co z Johnem. Musimy wkrótce zdecydować, kiedy odeślemy go do Edmonton.

Odszedł parę kroków i znów obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Ona również mu się przyjrzała. Musiała przyznać, że bez fartucha, w jasnych dżinsach i swetrze wygląda bardzo pociągająco.

- To prawda.

- Nie musisz się tam chować, nie zamierzam cię zgwałcić - powiedział z ironią, zatrzymując się przy drzwiach sypialni.

- Wcale się tego nie obawiam. Wiem, że to nie w twoim stylu.

- Och, zatem znasz mój styl? Pewnie z plotek, nieprawdaż? Czy też doszłaś do tego wniosku na podstawie osobistego doświadczenia? - Znów wsunął ręce do kieszeni i nonszalancko zaczął się jej przyglądać.

- Idź sobie stąd... idź sobie - szepnęła, ale jej głos załamał się niebezpiecznie.

Craig wyprostował się i wziął głęboki oddech, tak jakby chciał coś powiedzieć. Jednak zrezygnował, obrócił się gwałtownie i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Meg wstrzymała oddech i nasłuchiwała oddalających się kroków w holu. W końcu dotarł do niej trzask zewnętrznych drzwi. Wypuściła powietrze z płuc i opadła na łóżko. Czuła jednocześnie ulgę i gorzkie rozczarowanie.

Gdyby tylko wykonał jakiś gest, wyciągnął do niej rękę, natychmiast rzuciłaby mu się w ramiona. Po chwili jednak skarciła siebie w myślach za takie pragnienia.

W Gresham zostali kochankami niemal przez przypadek i trwało to stanowczo zbyt krótko. Później Meg zastanawiała się, czy doszłoby do tego, gdyby na pewnym przyjęciu nie zgasło nieoczekiwane światło. To była gojąca, letnia noc. Gwałtowna burza uszkodziła linię elektryczną i uniemożliwiła jej powrót do domu. Znała już wtedy Craiga od kilku miesięcy.

To była pożegnalna zabawa, zorganizowana przez chirurga, który wyjeżdżał do szpitala w Teksasie. Zaproszeni zostali wszyscy z ich sali operacyjnej. Przyjęcie okazało się wyjątkowo udane; muzyka grała niemal bez przerwy, wszyscy świetnie się bawili. Było bardzo gorąco i parno. Craig Russell poprosił ją do tańca dopiero późnym wieczorem, pod koniec zabawy. W jego ramionach poczuła się skrępowana, nie wiedziała, co powiedzieć i jak się zachować. Dotychczas łączyły ich tylko sprawy służbowe. Wprawdzie często żartowali, ale ich stosunki były łatwe właśnie dlatego, że wyznaczały je pewne nieprzekraczalne reguły, znane obu stronom.

Na szczęście jej milczenie nie miało większego znaczenia. Rozmowa i tak okazała się niemożliwa. Craig przyciągnął ją do siebie, tak że ich ciała się stykały. Meg pragnęła go tak bardzo, że miała wrażenie, iż zaraz zemdleje. W pewnej chwili nieśmiało zarzuciła mu rękę na szyję.

Gromy i błyskawice zauważyli dopiero wtedy, gdy nagle zgasły światła i umilkła muzyka. Słysząc było głośnie grzmoty i szum ulewy. Lekko wstawieni goście zaczęli wykrzykiwać i żartować. Zapanował ogólny chaos.

- Chodźmy stąd - zaproponował Craig.

Meg posłusznie poszła za nim. Przez cały czas trzymali się za ręce. Wyszli na dwór i popędzili na parking. Nim dobiegli do srebrnoszarego buicka Craiga, była już cała mokra. Jedwabna wieczorowa sukienka przykleiła się jej do ciała. Zatrzasnęła za sobą drzwiczki i odetchnęła. Była bliska euforii. W tym momencie dostrzegła przechodzącą obok Cynthię Parks, przyjaciółkę Joyce Travers. Cynthia również ją zauważyła.

W chwilę później, jakby na sygnał, Craig i Meg rzucili się sobie w ramiona. Całowali się namiętnie, zapominając o całym świecie. Oboje pragnęli uwolnić się od napięcia, jakie narastało między nimi już od kilku tygodni. Nie chcieli przerwać tych pocałunków. Craig bez trudu odnalazł jej miękkie piersi, przesłonięte tylko cienkim, mokrym jedwabiem. Meg



natychmiast wyobraziła go sobie w roli kochanka. Nie mogła uwierzyć, że to zaraz nastąpi.

- Chcę się z tobą kochać - powiedział wreszcie, odsuwając ją nieco od siebie, by móc spojrzeć jej w oczy. - Nie mów nie. Pojedziemy do mojego domu. Proszę, zostań ze mną na całą noc.

Nie miała wątpliwości, że Craig wie o jej różnych sympatiach. Najwyraźniej nie miało to dla niego znaczenia. Dla niej również. To nie były poważne związki.

- Dobrze - szepnęła.

Puścił ją i nie mówiąc ani słowa, włączył silnik. W strugach deszczu ruszyli w kierunku jego domu. Gdy dojechali, zaprowadził ją prosto do sypialni, zdjął z niej mokrą sukienkę i powiesił na krześle.

- Pragnąłem cię już od dawna, i to bardzo - powiedział, biorąc ją w ramiona.

Spędzili razem całą noc i następny dzień. To było dla niej prawdziwe objawienie. Nie miała już żadnych wątpliwości, że jest w nim zakochana. Tak to się zaczęło...

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego dnia, w poniedziałek, Meg poznała Skipa. Spotkali się, gdy wszystkie trzy pielęgniarki rozpoczęły pracę o wschodzie słońca. Skip pochodził z plemienia Inuit; był jeszcze młodym człowiekiem. Mieszkał w osiedlu z żoną i dziećmi. Idąc do pracy o tak wczesnej porze, Meg z ulgą pomyślała, że przynajmniej nie musi wychodzić na dwór. Na zewnątrz było przeraźliwie zimno.

- Dobrze, że przyjechała żona Johna - zauważyła Bonnie. Wszystkie trzy miały dziś sporo roboty. - Przynajmniej będzie go pilnować.

- Aha - zgodził się Skip. - Chodź ze mną, Meg. Pokażę ci, gdzie trzymamy wszystkie instrumenty, opatrunki i lekarstwa. W poniedziałek rano jest zawsze mnóstwo pracy. Pacjenci lubią przyjeżdżać o tej samej porze. Dobrze, że w piątek wieczorem przygotowałem instrumenty. Mamy laparoskopię i dwie bronchoskopie. To pewnie szybko pójdzie. Analizy są wykonywane w mieście.

Poszli razem do sali operacyjnej.

- Mamy dodatkowo biopsję piersi, a właściwie usunięcie guza - powiedziała Meg. - Wstawiłam ją na czwarte miejsce. Jeśli to ci nie odpowiada, możemy przesunąć panią James na później.

- Nie, tak jest dobrze - odrzekł Skip. Pochylił się i otworzył szafkę wypełnioną gazą i tacami z instrumentami. - Dobra, do roboty!

Przez następną godzinę pracowali w milczeniu, nie tracąc czasu na zbędne rozmowy. O ósmej trzydzieści miała się rozpocząć pierwsza operacja. Z zewnątrz dobiegał warkot skuterów i samochodów. To przybywali pacjenci. Niektórzy dojeżdżali z lotniska. Dziesięć po ósmej Meg zostawiła Skipa samego i poszła zobaczyć, co robi Bonnie.

Alanna i Craig przyszli kwadrans po ósmej. Oboje byli już przebrani w fartuchy.

- Dzień dobry, pani James. Jak się pani czuje? - Meg przywitała kobietę z guzem w piersi. Pani James leżała na kozetce, czekając na operację.

- Boję się - odpowiedziała szczerze. - Właściwie myślę tylko o tym. Czuję też pewną ulgę... Nie mogę się doczekać, kiedy już będzie po wszystkim.

- Zobaczymy się później w sali operacyjnej.

Meg miała asystować przy tej operacji. Alanna wykonała laparoskopię i bronchoskopię w rekordowym czasie.

- Jak się pani miewa, pani Langham? - spytał Craig oficjalnym tonem. Meg pomyślała, że to niewątpliwie przedstawienie na użytek pozostałych.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała obojętnie. Przejrzała wszystkie instrumenty na tacy. W tym momencie Skip wtoczył na salę łóżko, na którym leżała pani James.

Operacja trwała pół godziny. Craig z wprawą usunął guz i zaszył ranę. W sali można było wyczuć wyraźne napięcie. Craig położył guz na metalowej tacy i przeciął go czystym skalpelem. Skip i Meg przyglądali się uważnie. Pani James jeszcze się nie obudziła.

- Wygląda na gruczolak... To nie jest nowotwór złośliwy - powiedział wreszcie Craig. - Skip, zawołaj Alannę, żeby również to zobaczyła.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Meg.

- Tak... Nie możemy jednak być na sto procent pewni, póki nie dostaniemy wyników badań histopatologicznych. Lepiej nie mówić jej za wiele, bo jeszcze będziemy musieli to odwoływać - ostrzegł ją.

Aianna weszła do sali operacyjnej i włożyła czyste rękawiczki. Nacięła guz jeszcze raz i starannie mu się przyjrzała.

- Zgadza się z tobą - powiedziała wreszcie do Craiga. - To chyba rzeczywiście gruczolak. Dobrze, że oboje mieliśmy kontakt z histopatologią.

- Świetnie, bardzo ci dziękuję.

Meg powiedziała Adele o prawdopodobnej diagnozie, gdy ta obudziła się i zaczęła rozumieć, co się do' mej mówi. Wiadomość sprawiła jej taką ulgę, że natychmiast wybuchnęła płaczem. Meg poczuła się szczęśliwa. Z żalem pomyślała o Craigu, któremu przypadłoby w udziale zakomunikowanie chorej mniej pomyślnej wiadomości. To nigdy nie jest przyjemne zadanie.

Poniedziałek okazał się wyjątkowo ciężkim dniem. Meg wróciła do domu dopiero o jedenastej wieczorem, gdy przyszła Nuna, aby ją zmienić przy Johnie Oldmanie. Lekarze postanowili już, że Oldman poleci do Edmonton następnego dnia. Miały mu towarzyszyć żona i Bonnie Mae. Jego stan poprawił się na tyle, że podróż nie przedstawiała już większego ryzyka. Krążenie w kończynach wyraźnie się poprawiło, ale Oldman wciąż otrzymywał dożylnie antybiotyki. ^/ tej chwili był on jedynym hospitalizowanym pacjentem. Meg miała nadzieję, że jeśli nie zdarzy się żaden wypadek, to życie w stacji wróci do normy.

Już było wiadomo, że wkrótce przyjedzie doktor Dan McCormick. Wyglądało na to, że sytuacja powoli się stabilizuje. Meg była tak zajęta

pracą, że właściwie nie miała czasu myśleć o perspektywie wyprowadzki Alarmy. Woląca nie wyobrażać sobie, co będzie, gdy obok zamieszka Craig.

Adele James wróciła do przychodni następnego dnia na zmianę opatrunku.

- Mąż był na mnie wściekły - zwierzyła się Meg. - Gniewał się, że nie powiedziałam mu od razu o tym guzie. On ma jednak dość problemów na głowie, nie chciałam przysparzać mu zmartwień. To nie miało najmniejszego sensu. Jeśli diagnoza okaże się niepomyślna, to jeszcze będzie miał dość czasu, żeby się martwić.

- Tak... Chyba miałaś rację - odpowiedziała Meg. Już kończyła zmianę opatrunku. - Trudno powiedzieć, jak najlepiej postępować w początkowej fazie choroby. Zwykle ludzie chcą o tym porozmawiać, ale tak, aby to nie wyglądało zbyt poważnie. Czy dobrze się teraz czujesz?

- O, tak, dużo lepiej! Choć doktor powiedział, że diagnoza nie jest jeszcze pewna, teraz wierzę, że wszystko będzie dobrze. Gdy znalazłam ten guz, myślałam, że to wyrok śmierci... Przez cały czas o tym myślałam i nie mogłam normalnie żyć.

- Najlepiej szybko zacząć działać. Przyjdź w czwartek na kolejną zmianę opatrunku. Wtedy zbada cię też doktor Russell. W przyszłym tygodniu zdejmiemy szwy.

- Świetnie. Czy zostanie duża blizna?

- Tylko wąska, biała linia, niemal niewidoczna. Przez jakiś czas okolice cięcia będą sinożółte, ale to oczywiście zniknie.

- Jeśli... jeśli to rak, to co będzie dalej?

- Trudno powiedzieć, metody terapii często się zmieniają. Obecnie większość kobiet przechodzi radio- i chemoterapię. To zależy od typu nowotworu i stopnia zaawansowania. Czasami podaje się lekarstwa, które blokują dopływ estrogeny do tkanki piersi... Z jakichś powodów hormony przyspieszają rozwój raka. To zależy od tego, co lekarz uzna za najlepsze w danym wypadku. Jednak naprawdę sędzę, że nie powinnaś o tym teraz myśleć.

- Bardzo dziękuję. - Adele zebrała swoje rzeczy i skierowała się do drzwi.

- Zobaczymy się w czwartek.

- Jeśli coś będzie cię niepokoić, to możesz przyjść wcześniej. Wstąp, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

W ogólnej przychodni panowała gorączkowa krzątanina. W poczekalni siedzieli pacjenci czekający na zmianę opatrunków lub zbadanie. Wszystkie niezbyt pilne zabiegi zostaty odłożone do powrotu Bonnie, która tego dnia

wylatywała do Edmonton z Johnem Oldmanem i miała wrócić dopiero w piątek wieczorem.

- Idź na kawę, Meg - zaproponował Skip. Właśnie skończył przerwę. - Bonnie Mae czeka na ciebie w biurze, chce się pożegnać przed wyjazdem. Odlatują za^ziesięć minut.

- Dobrze, już idę. - Meg zdjęła gumowe rękawiczki i umyła ręce. - Już pożegnałam się z Oldmanem i jego żoną. Jak myślisz, Skip, czy on z tego wyjdzie?

- No cóż, jeśli nie będzie jakiejś poważnej infekcji, to wszystko powinno być OK. Jest jeszcze młody i silny.

- To prawda. Mam nadzieję, że dojdzie do siebie. Myślę, że nie zobaczymy go już tutaj.

- To mało prawdopodobne.

Meg pobiegła do biura. Bonnie Mae już szykowała się do wyjścia.

- Chciałam tylko pozdrowić cię przed wyjazdem - powiedziała. - Przykro mi, że tak szybko muszę zostawić cię samą. Niestety, nie ma czasu, żeby stopniowo wprowadzić cię w sprawy całej stacji. Nie przejmuj się! Przede wszystkim zachowaj spokój. Dan McCormick to weteran, był tu już wiele razy. Z pewnością ci pomoże. Jest wart tyle złota, ile sam waży. Na pewno go polubisz. No, dobra, muszę już ruszać.

Meg patrzyła za odchodzącą Bonnie. Mimo ogromnej masy ciała, kobieta poruszała się lekko i sprawnie. Gdy koleżanka zniknęła, Meg podeszła do kredensu i naląła sobie kawy. Przy okazji zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Była zaskoczona swoim fatalnym wyglądem. Trudy ostatnich dwóch dni odcisnęły wyraźny ślad na jej twarzy. Usta, pozbawione szminki, wydawały się niemal bezbarwne. Pod zielonymi oczami widać było głębokie cienie. Właściwie nie powinna się dziwić, przecież tak mało spała.

Doktor Dan McCormick okazał się niskim, korpulentnym mężczyzną. Miał rude włosy i piegowatą twarz. Craig przywiózł go z lotniska mniej więcej godzinę po wyjeździe Bonnie. Meg była zajęta w przychodni. Pomagała Skipowi obsłużyć wszystkich pacjentów. Wciąż nie wiedziała, gdzie znaleźć niektóre lekarstwa i jak działa cały system.

- To Meg Langham - Skip przedstawił ją McCormickowi. - Wydaje się młoda i niedoświadczona, ale w istocie jest świetną pielęgniarką.

- Cześć, Meg. Bardzo mi przyjemnie - powitał ją McCormick, mocno ściskając jej rękę. Craig stał obok i bacznie ich obserwował. Dan mówił z dość wyraźnym szkockim akcentem. Miał niemal białe rzęsy i



bladoniebieskie oczy, przenikliwe i wesołe. - Cieszę się, że nie jesteś nowicjuską.

- Z pewnością nie brak jej doświadczenia - powiedział Craig.

Jego komentarz zabrzmiał nieco dwuznacznie, ale nikt poza Meg nie zwrócił na to uwagi. Obaj lekarze odeszli. Craig oprowadził McCormicka po stacji.

- Gdzie on będzie mieszkał? - spytała Meg Skipa.

- Ma tu dziewczynę. Ona jest dyrektorką banku... Nie chce wyjść za niego i przenieść się do Calgary, bo obawia się, że tam nie dostanie takiej dobrej pracy. Pewnie ma rację.

W piątek, po powrocie Bonnie Mae, odbyło się niewielkie pożegnalne przyjęcie Alanny. Cały personel stacji zebrał się w salonie służbowego mieszkania. Rej wodził Dan McCormick, dzięki czemu pozostali zapewne nie zauważyli napięcia w stosunkach między Meg i Craigiem, Był również Joe Fletcher, który upiekł z tej okazji ogromne ciasto, pokryte grubą warstwą czekolady.

- Lepiej nie jedz za dużo - powiedział do Bonnie. Najwyraźniej on i Bonnie zwykli sobie dokuczać. W przeciwnym wypadku nie będziesz mogła zobaczyć własnych stóp.

- Lepiej zamknij buzię, Joe - odpowiedziała pielęgniarka, nakładając sobie na talerz okazałą porcję ciasta. - W przeciwnym wypadku ja będę musiała ci ją zamknąć.

Joe uśmiechnął się i pozdrowił ją, wznosząc szklanekę piwa. Był zadowolony, że jego dzieło znika tak szybko z talerzy.

- Meg, skąd ty właściwie pochodzisz? - zagadnął ją Dan, rozpoczynając w ten sposób dłuższą pogawędkę.

Meg z przyjemnością wdała się w rozmowę. Dopiero teraz w pełni zrozumiała, jak bardzo była osamotniona w Jasper Creek. Czowała, że Craig cały czas ich obserwuje. Mimo to nie przyłączył się do rozmowy. Meg bawiła się w najlepsze, śmiejąc się z żartów Dana i odpowiadając na różne złośliwe komentarze. Stopniowo doceniała fakt jego przybycia. Dan będzie świetną tarczą na ewentualne docinki Craiga.

Alanna w rzeczywistości miała wylecieć dopiero w sobotę. Musiała jeszcze skończyć różne prace, uzupełnić dokumentację, pożegnać się ze znajomymi z Chalmers. Formalnie ustąpiła miejsca McCormickowi i przestała pracować jako lekarz ze stacji, ale za to pełniła rolę konsultanta. Med. z zainteresowaniem przyglądała się bezkolizyjnej wymianie personelu.

Dan bez trudu podjął pracę i odnowił znajomość ze swą przyjaciółką z banku.

Już w sobotę rano Meg uświadomiła sobie zmianę w swoim trybie życia, jaką spowodował wyjazd Alanny. Tego dnia spała dość długo i obudził ją jakiś dziecinny głos dochodzący z salonu. Od jej przyjazdu do Chalmers Bay minęły już dwa tygodnie. Leżąc w ciepłym łóżku, z niechęcią myślała o konieczności wstania. Znów usłyszała cienki, chłopięcy głos. To z pewnością Rob, pomyślała. Po chwili dobiegł ją pomruk Craiga. W mieszkaniu rozchodził się zapach smażonego boczku i kawy. Craig najwyraźniej czuł się tu jak u siebie. W końcu Meg wstała, włożyła ciepłe legginsy, koszulę i sweter.

Od czasu, gdy widziała Roba po raz ostatni, chłopiec urósł i wyszczupłał. Nie było w tym nic dziwnego, wszak minął już rok.

- O, cześć... pamiętam cię z Gresham - powiedział Rob na jej widok. Uśmiechnął się radośnie. Był blady, a nad czołem sterczała mu strzecha jasnych włosów. Skończył przeglądanie zbioru taśm i płyt kompaktowych. - Tata mówił mi, że tu jesteś, ale sądziłem, że mnie nabiera.

- Cześć, Rob. Choć to wydaje się nieprawdopodobne, jednak jestem tu naprawdę! Ty również. To chyba jeszcze większa niespodzianka, prawda? W każdym razie bardzo się cieszę ze spotkania. Złamałeś sobie jeszcze jakieś kości?

- Nie.

- Może kawy, pani Langham? - spytał Craig, pojawiając się w drzwiach kuchni. - Jak pani widzi, już się wprowadziłem - dodał, wskazując ręką na stertę toreb i walizek pośrodku salonu. - W sobotę i niedzielę ma być jarmark. Woląłem przeprowadzić się od razu, aby później mieć spokój. Dan zgodził się dyżurować.

- Dlaczego mówisz do niej „pani Langham”? - wtrącił Rob, wykazując często spotykany u dzieci dar obserwacji.

- Mówiłeś mi, że ma na imię Meg.

- Tak... ale jesteśmy w pracy.

- To nie jest praca - odrzekł chłopiec po chwili namysłu.

- Mieszkamy tutaj.

- Tata woli zachować dystans - powiedziała Meg. Uznała, że tylko prawda usatysfakcjonuje Roba. Z przyjemnością przysłuchiwała się rozmowie ojca z synem. - Owszem, Craig, chętnie napiję się kawy - dodała ze słodkim

uśmiechem. -Skoro już się do tego zabrałeś, to możesz usmażyć mi jajecznicę. Razem nie zmieścimy się w kuchni.

Pomyślała, że Rob bardzo się jej przyda. Z pewnością w jego obecności Craig będzie unikał wszelkich scysji.

- Jesteś zupełnie inna niż Gail - zauważył Rob. - Ona nie pozwala tacie nawet wejść do kuchni, choć on przecież dobrze gotuje. Nie maluje się ... i nie jest taka ładna. W szkole strasznie się rządzi.

- Chyba rzeczywiście różnię się od niej - odpowiedziała Meg. Zastanawiała się, czy Gail wpuszcza Craiga do swej sypialni, jeśli oczywiście on ma ochotę tam się znaleźć. Sądząc po tym, co opowiadała o nim Joyce Travers, było to bardzo prawdopodobne.

- Chciałbym tu mieszkać. Mogę się założyć, że ty się nie rządzisz, prawda? - spytał Rob.

- Hm... chyba nie. Jeszcze nikt nigdy mi tego nie zarzucił.

- Proszę, oto kawa, Meg - przerwał Craig, wyraźnie podkreślając jej imię. Podał jej kubek aromatycznej kawy.

- Dziękuję. To chyba dość krępujące mieć takiego spostrzegawczego syna - zauważyła.

- Wiem, co znaczy „krępujące” - wtrącił Rob. - To prawda... Tata nigdy nie całuje Gail tak, jak inne kobiety.

Meg wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

- Teraz rozumiem, dlaczego Gail usiłuje tobą dyrygować

- powiedziała, zerkając na Craiga, który zachowywał kamienny spokój. Niezamierzone żarty Roba pomagały jej zachować równowagę psychiczną. Prócz tego chłopiec bez pytania udzielał jej pewnych informacji.

- Czy chcesz iść z nami na jarmark? - zapytał Rob. - Meg może iść z nami, prawda tato?

- Hm... Ja... Chyba nie - zająknęła się.

- Tato?

- Oczywiście, chodź z nami - gładko zachęcił ją Craig.

- Gdyby coś się zdarzyło, łatwiej będzie nas znaleźć w jednym miejscu. Natomiast ty, młody człowieku, przestań gadać i zjedz śniadanie. Nie chcę cię więcej słyszeć.

Po śniadaniu wszyscy troje ubrali się ciepło i wyszli na dwór, gdzie powitało ich jaskrawe słońce. Pogoda dopasowała się do okoliczności. Wielkanoc to święto odrodzenia, odnowy, pożegnania mroków i mrozów zimy. Meg słyszała, jak pod jej butami chrzęści śnieg. Wciągała głęboko w

płuca zimne, czyste powietrze. Wszyscy szli do furgonetki, którą Craig wypożyczył ze stacji, aby przewieźć swoje rzeczy. Rob i Meg szli z tyłu, korzystając z przetartej drogi. Było zbyt zimno, żeby iść pieszo do osiedla, gdzie w sąsiedztwie anglikańskiego kościoła miały się odbyć wszystkie imprezy. Na dziedzińcu kościoła traperzy piekli na rożnie karibu, a w świetlicy czekały przygotowane hamburgery, hot-dogi i grochówka. Liczne panie z osiedla przyniosły na deser upieczone w domu ciasta.

W kilka minut później wszyscy troje zajadali już mięso karibu. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Na tarasie świetlicy grał zespół muzyczny; muzycy byli okutani w grube kurtki i szaliki. Wzdłuż muru widać było rzeźby z lodu, których autorzy czekali na wynik konkursu. W bocznej uliczce przygotowano tor do wyścigów psich zaprzęgów. Wszędzie rozlegały się krzyki ludzi, szczekanie psów i warkot skuterów śnieżnych. Na jarmarku panowała atmosfera euforycznej radości, tak jakby wszyscy chcieli zapomnieć o codziennych trudach i cieszyć się nadchodzącą wiosną.

Meg skorzystała z pierwszej okazji, gdy coś odwróciło uwagę Roba, żeby odłączyć się od nich i zniknąć w tłumie. Nie wierzyła, aby Craig rzeczywiście miał ochotę iść z nią na jarmark. Sam przecież powiedział, że nic go nie obchodzi, co ona robi poza stacją. Nie chciała mu się narzucać. Mogła się bawić sama.

Po jakimś czasie ponownie dostrzegła Russella w tłumie. Obok niego stała jakaś kobieta. Craig otaczał ręką jej ramiona w geście, który wydał się Meg szczególnie intymny. Na ten widok zatrzymała się jak wryta. W pobliżu dorosłych kręciła się dwójka dzieci: Rob i jakaś dziewczynka, zapewne nieco od niego starsza. To pewnie córka Gail, pomyślała.

Przez kilka sekund Meg stała w miejscu i zastanawiała się, co zrobić. Bonnie Mae twierdziła, że Gail i Craig to tylko para przyjaciół. Gest mężczyzny sugerował jednak coś więcej. Przytulali się do siebie raczej jak para kochanków niż przyjaciół. Z trudem przełknęła ślinę. Czuła zazdrość i nienawidziła siebie za to, że nie potrafi opanować tego uczucia. Dotychczas duma nie pozwalała jej zniżać się do tak prymitywnych reakcji. Nie miała najmniejszego zamiaru dołączyć do grona rozgoryczonych kobiet, które kiedyś utrzymywały bliskie kontakty z Craigiem. Od razu przypomniała sobie wykrzywione gniewem twarze Joyce Travers i Cynthii Parks, które dużo jej o nim opowiadały.

Nim zdecydowała się odwrócić i odejść, Gail zwróciła głowę do Craiga, aby coś powiedzieć. Teraz Meg dobrze przyjrzała się jej twarzy. Craig

odpowiedział na jej pytanie i jednocześnie przesunął rękę z ramienia na biodra, jakby chciał podkreślić swoje prawa do niej. Tak, to była Gail Adamson. Meg dobrze pamiętała tę twarz z fotografii, którą pokazała jej Joyce Travers. Na tamtym zdjęciu, wykonanym Ufem, Gail była w kostiumie kąpielowym, miała rozpuszczone włosy i uniesioną do góry twarz, tak jakby podawała ją do pocałunku. Nad nią pochylał się roześmiany, opalony na brąz Craig.

Szybko odwróciła się i zniknęła w tłumie, nim tamci zdążyli ją dostrzec. Zrobiło się jej niedobrze. Była bliska rozpaczki. Czy Gail to właśnie kobieta, którą on kocha? Miała wrażenie, że znają z opowieści Joyce na tyle dobrze, iż może odpowiedzieć na to pytanie. Czy jednak mogła wierzyć temu, co mówiła Travers? W tej chwili wiedziała tylko, że nie może opanować swych uczuć. Z żalem pomyślała, że nie powinna znaleźć się w Chalmers Bay.

Stało się dla niej oczywiste, że Craig i Gail mają bardzo wiele wspólnego. Czy byli tylko przyjaciółmi, czy również kochankami? Ich związek miał dość tajemniczy charakter. Meg chciała przestać o tym myśleć, ale nie mogła. To graniczyło z obsesją.

Śledząc z daleka Craiga i Roba, wybrała taki moment, by spotkali się w pobliżu furgonetki. Należało już wracać. Gail i jej córka zniknęły. Prawdopodobnie poszły do domu.

- Gdzie byłaś? - zapytał Rob, gdy tylko ją zauważył. Craig zmierzył ją zimnym jak lód spojrzeniem. - Mogłaś poznać Gail i Cathy.

- Pomyślałam, że wolelibyście zostać sami - odpowiedziała spokojnie. - Czy przyjechałeś do Chalmers Bay dlatego, że jest tu Gail? - spytała Craiga, siląc się na obojętny ton. Miała nadzieję, że obecność syna zmusi go do uprzejmej odpowiedzi.

Przez chwilę nic nie mówił. Chwycił Roba na rękę i delikatnie wsadził do szoferki furgonetki. Jego troskliwość była wzruszająca.

- Jej obecność wpłynęła na moją decyzję, aby wziąć ze sobą Roba - powiedział wreszcie ostrym tonem. - To nie twoja sprawa.

Gwałtownym ruchem otworzył ponownie drzwiczki samochodu i szybko podsadził Meg.

- Posuń się, Rob - polecił chłopcu, po czym zatrzasnął drzwiczki.

W drodze do domu Rob bez przerwy o czymś opowiadał, nic zwracając uwagi na milczenie dorosłych. Gdy dotarli do stacji, Craig natychmiast posłał go do łóżka, aby się zdrzemnął i odpoczął. Po południu Rob miał jechać do Gail i tam spędzić noc.



Kiedy Meg zastanawiała się, czy siedzieć z Craigiem w salonie, czy też lepiej pójść do siebie, do drzwi zapukała Bonnie Mae.

- Cześć wam - powitała ich krótko. W normalnym ubraniu wyglądała całkiem atrakcyjnie. - Przyszłam, aby przypomnieć wam, że dziś wieczorem w kościelnej świetlicy będzie zabawa. Akurat przyleciał Chuck, więc z pewnością tam będziemy.

- Dzisiejszej nocy muszę być pod telefonem, Bonnie - przypomniała jej Meg. - Zostanę w domu.

- Och, to nie ma znaczenia. Możesz wziąć ze sobą aparat przywołujący. W razie potrzeby Dan cię jakoś znajdzie, nigdy nie ma z tym problemów. Możesz ją zabrać, Craig. To postanowione, nie ma żadnych przeszkód.

W salonie zapadła niezręczna cisza. Bonnie udała, że niczego nie dostrzegła. Meg robiła wszystko, co mogła, byle tylko nie spojrzeć na Craiga.

- No, dobra - przerwała ciszę pielęgniarka. - Spotkamy się wieczorem. Na razie cześć. Takie zabawy to ważne wydarzenia w życiu osiedla i należy się tam pokazać! - Wyszła, nie komentując tego stwierdzenia.

Meg wstała z fotela i przeszła do kuchni i czuła na sobie spojrzenie Craiga. Automatycznie posprzątała resztki, jakie pozostały po śniadaniu i pozmywała naczynia. Zastanawiała się, czy Bonnie Mae wie o ich wrogości i umyślnie stara się ich sprowokować. To nie leżało w jej charakterze. Meg zorientowała się już, że Bonnie lubi, gdy wszyscy dokoła żyją w zgodzie. Czy mogła zatem mieć do niej pretensje? Jak dotychczas nic jej przecież nie powiedziała o ich dawnym związku. Już kończyła zmywać, gdy w kuchni pojawił się Craig. Poczowała, że trzęsą się jej ręce.

- Jak rozumiem, kwestia została już rozstrzygnięta - zauważył ironicznie. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że jest ostatnią osobą, którą zaprosiłby na zabawę. - Chyba nie możemy ryzykować gniewu Bonnie. Idziesz?

- Hm... - Zerknęła na niego kątem oka. - Nie, chyba nie.

- Może potraktujesz to jako obowiązek służbowy? - zaproponował Craig. - Myślę o tym z takim samym entuzjazmem, choć ostatnim razem świetnie się bawiliśmy. - Oboje przez chwilę milczeli. - Możesz się nie obawiać, nie będę dążył do podobnego zakończenia, co wtedy.

- Dobrze, możemy pójść, jeśli to rzeczywiście konieczne - odpowiedziała, zaciskając zęby. Była urażona uwagą Craiga.

- Najpierw jednak chciałabym, abyś mi coś wyjaśnił. Co się stało z matką Roba? - W końcu zdobyła się na odwagę. - Chciałam cię o to zapytać już

podczas naszego pierwszego spotkania. Rob czasami wydaje się taki osamotniony... Tak jakby potrzebował matki. Zastanawiałam się, co się z nią stało...

Urwała. Pomyślała, że Craig z pewnością zinterpretuje te pytania jako przejaw pustej ciekawości lub atak na jego prywatność. Być może w ten sposób chciała sprowokować kryzys i zmusić go, aby zaprzeczył krążącym plotkom.

- Nie pytam bez powodu - dodała. Koniecznie chciała dowiedzieć się prawdy. - Gdybym wiedziała, byłoby mi łatwiej się z nim kontaktować.

W kuchni zapadła pełna napięcia cisza. Craig wsadził ręce w kieszenie i zastanawiał się, co zrobić. W końcu wzruszył ramionami, tak jakby z czegoś zrezygnował.

- Matka Roba zmarła na leukemię mniej więcej rok po jego narodzeniu. Chorowała jakieś sześć miesięcy. Nie byliśmy małżeństwem. Gdy tylko dowiedzieliśmy się o jej chorobie, od razu zaadoptowałem Roba. To była nasza wspólna decyzja. Postanowiliśmy, że chłopiec zachowa nazwisko matki. To właściwie wszystko, co po niej zostało.

- Dlaczego nie... dlaczego... - Meg nie mogła dokończyć pytania.

- Dlaczego nie ożeniłem się z nią?

- Tak.

- Zaproponowałem jej małżeństwo, ale ona się nie zgodziła. Nie chciała ślubu.

- Rozumiem.

- Bardzo w to wątpię - mruknął ze znużeniem. Wydawał się urażony jej pytaniami, ale mimo to odpowiedział na nie, zapewne z wrodzonej uprzejmości. Jednak jego ton nie zachęcał do dalszych dociekań. - Sam tego wtedy nie rozumiałem, ale wolałbym nie dyskutować teraz tego zagadnienia. Mam nadzieję, że nie będziesz miała okazji rozmawiać z Robem o jego matce. On jej nie pamięta, był zbyt mały.

- Bardzo przepraszam, że cię wypytuję - powiedziała. Ze smutkiem myślała o chłopcu śpiącym w sąsiednim pokoju.

- Nieważne! Odwiozę Roba i idziemy na tę zabawę, tak?

- Tak.

Meg poszła do swej sypialni i otworzyła szafę, aby wybrać coś na wieczór. Nie miała bogatej garderoby. Musiała przyznać, że tydzień namiętnej miłości z Craigiem nie dawał jej do niego żadnych praw... Zamknęła powieki i

pomasowała sobie czoło. Sama nie wiedziała, jak ma przetrwać najbliższe miesiące.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Craig odwiózł Roba do Gail, po czym wrócił po Meg i pojechali razem na zabawę. Udało im się zaparkować dość blisko kościoła. Gdy podeszli do jasno oświetlonego wejścia do świetlicy, usłyszeli rytmiczne bicie w bębny i śpiew. Meg natychmiast rozpoznała muzykę, jaką знаła z taśm jeszcze przed przyjazdem do Chalmers Bay, choć nigdy nie słyszała jej na żywo. Była zmęczona, ale mimo to, gdy znalazła się w tłumie tańczących, ogarnęło ją podniecenie. Zostawili kurtki w szatni zorganizowanej w jednej z bocznych sal i zmienili ciężkie buty na lekkie mokasyny.

W sali tanecznej panowało dziwne napięcie. Meg rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu Bonnie i Chucka. Nieoczekiwanie razem z Craigiem znaleźli się w długim łańcuchu tancerzy poruszających się w takt rytmicznych uderzeń. Trzej starsi Inuici wybijali rytm na płaskich bębnach ze skóry karibu i śpiewali w swym ojczystym języku. Co jakiś czas wszyscy tancerze dołączali się do śpiewu.

Gdy taniec dobiegł końca, z głośników rozległa się nowoczesna muzyka. Z przeciwnej strony sali machał ręką Chuck; drugą ręką obejmował Bonnie. Craig zaczął przeciskać się przez tłum w ich kierunku. Meg szła tuż za nim. Przywitali się i przedstawili sobie wzajemnie, z trudem przekrzykując ogólny hałas. Niewielka dłoń dziewczyny utonęła w ogromnej łapie Chucka.

Od czasu do czasu, gdy ktoś otwierał drzwi, podmuch zimnego powietrza przebijał się przez gorącą, ciężką atmosferę sali. Meg w żaden sposób nie mogła uniknąć towarzystwa

Craiga. Wszyscy wiedzieli, że przyszli razem i oczekiwali, że będą ze sobą tańczyć. Bala się tego, a jednocześnie pragnęła; w rezultacie tańczyła sztywno, niepewnie. Nagle muzyka umilkła. Ktoś podszedł do mikrofonu i zaczął przemowę w inuktitut.

- Co on mówi? Rozumiesz coś z tego? - spytała Meg.

- Ta zabawa to jednocześnie rocznica ślubu jakiejś wyjątkowo leciwej pary. Nie mogę wszystkiego zrozumieć - odpowiedział.

Na scenę weszła para starszków, dobrze po osiemdziesiątce. Oboje byli ubrani w odświętne stroje. Jednocześnie obok nich pojawiło się więcej mężczyzn z charakterystycznymi płaskimi bębnami. Gdy rozległy się pierwsze takty, na scenę weszły inne pary i zaczęły powolny, rytualny taniec. Po chwili dołączyła do nich para świętująca swą rocznicę. Tańczyli tak,

jakby nagle zapomnieli o swym wieku. Meg przyglądała się tej scenie z zafascynowaniem; sama również poddała się nastrojowi.

W pewnej chwili zauważyła, że tancerze tworzą krąg wokół niej i Craiga. Tańczyli dokoła, zwrócenii twarzami w ich stronę. Wszyscy uśmiechali się do nich i coś śpiewali. Meg nic nie rozumiała, ale odniosła wrażenie, że słowa pieśni mają jakąś magiczną siłę. Nieoczekiwanie ona i Craig, podobnie jak wcześniej para starszusków, stali się ośrodkiem powszechnej uwagi.

- Co oni śpiewają? - spytała niespokojnie. - Czy to specjalnie dla nas?

- Owszem, dla nas - odpowiedział cicho Craig. Wydawał się rozbawiony i nieco zakłopotany.

- Co to za pieśń? - nalegała Meg.

Instynktownie przysunęła się do niego. Niechcący dotknęła ręką jego biodra i natychmiast się cofnęła.

- Śpiewają, że... że jesteśmy stworzeni dla siebie - szepnął, z trudem powstrzymując śmiech.

- Stworzeni?

- Tak - potwierdził, pochylając się nad nią tak, aby słyszała, co mówi. Wokół huczały bębny. - To pieśń weselna.

Meg zorientowała się, że i jemu trudno było się z tym pogodzić. Wołała na niego nie patrzeć. Kiedyś, w przeszłości, zapewne wybuchnęłyby śmiechem lub znalazła jakąś dowcipną odpowiedź. Podobnie on. Teraz jednak czuła w gardle bolesny ucisk.

- Śpiewają, że długie noce, jakie pozostały do lata, są dla nas - tłumaczył Craig. - Naszym słońcem będzie światło naszej miłości.

Meg zeszywniała. Na sali był taki tłok, że nie mogła uniknąć fizycznej bliskości Russella. Nagle z przerażeniem zauważyła, że z oczu kapią jej łzy. Pod wpływem pieśni rozplakała się z tęsknoty za czymś, czego nie mogła zdobyć, a co według instynktownej oceny tancerzy winno jej przypaść w udziale.

Jakiś mężczyzna zaczął nagle walić w bęben tuż obok nich. To odwróciło uwagę otoczenia od niej i Craiga. Teraz wszyscy tańczyli w takt nowej pieśni, śpiewali, przytupywali, zgodnie z obowiązującym od pokoleń rytuałem.

Meg odwróciła się od Craiga i wpadła w tłum. Gorączkowo przedzierała się do szatni. Znalazła kurtkę i ocieplacze i zaczęła się ubierać. Wszystko robiła automatycznie. Chciała stąd jak najszybciej uciec. Miała już dość



przeżyć w dzisiejszym dniu. Co z niej za idiotka! Jak mogła zakochać się w kimś, kto nigdy nie odwzajemni jej uczucia?

Gdy skierowała się do drzwi, Craig zablokował jej przejście.

- Dlaczego uciekłaś? - spytał.
- Chcę wracać do domu. Mam tego dość.
- Poczekaj na mnie. Ja mam kluczyki do samochodu.
- Daj mi je. Nie musisz wracać ze mną.
- Jesteś zdenerwowana. Co się stało?

W szatni prócz nich nie było nikogo.

- Ta cała sytuacja jest zupełnie fałszywa. Wszyscy sądzą, że ty i ja... że my... - zaczęła się jękać. - Nie wiem, skąd im to przyszło do głowy.

- To były takie żarty. Możesz to również uważać za komplement. Nie traktuj tego zbyt poważnie. Po prostu, gdy widzą nieżonatego mężczyznę i niezamężną kobietę, bawią się w swaty.

- Myślę, że to wcale nie były żarty.

- Czy to ma znaczenie? Wiem, że nie łączy nas nic poważnego i tylko to się liczy. Kobieta, która potrafi wyjechać tak, jak ty wyjechałaś z Gresham, też najwyraźniej ma wszystko w nosie.

- Ja... ja tylko... - jękała się Meg. Miała ochotę krzyknąć, że to nieprawda.

Nagle Craig wziął ją za rękę i powoli, delikatnie pocałował po kolei wszystkie palce. Czują na skórze jego ciepłe wargi.

- Uspokój się - szepnął.

Powoli odwrócił jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni oraz nadgarstek. Ta prosta, intymna pieszczota wydała się jej aktem hołdu. Meg przyglądała się Craigowi tak, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego, jakby tylko obserwowała tę scenę. Pomyślała, że jeśli nie będzie ostrożna, to on domyśli się, jak bardzo jest w nim zakochana. Nie mogła do tego dopuścić. Craig należał do kogoś innego: do kobiety, której nie było już wśród żywych i do Gail.

- Zawiozę cię do domu - powiedział.

W drodze oboje milczeli. Jechali powoli, podskakując na nierównościach i z trudem forsując zasy. Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami do aneksu mieszkalnego. Craig wyskoczył i pomógł jej wysiąść z wysokiej szoferki.

- Odstawię samochód do garażu - rzucił obojętnym tonem.

- Dziękuję. Przykro mi, że nie byłam dziś w odpowiednim nastroju do tańca. To chyba skutek zmęczenia - usprawiedliwiała się drżącym głosem. - Może Gail będzie miała ochotę pojechać.

- Nie... pilnuje dzieci. Prócz tego zaprosiła na kolację Grega Farieya. Lepiej idź do środka, bo zaraz zamarzniesz.

Meg marzyła tylko o tym, żeby wreszcie znaleźć się w swoim pokoju. Z trudem rozpięła kurtkę zeszywniałymi z zimna palcami i zabrała się do ocieplaczy. Przez cały czas myślała o tym, co powiedział Craig. Greg Farley, oficer Królewskiej Konnej Policji, najwyraźniej często widywał się z Gail. Czy Craig nie miał nic przeciw temu?

Nim uporowała się z ocieplaczami, wszedł do salonu. Gdy skończył się rozbierać, Meg wciąż walczyła z jednym oblodzonym butem.

- Pomogę ci - zaproponował ze zniecierpliwieniem, tak jakby mówił do syna. - Usiądź tutaj - polecił, wskazując jej drewniane krzesło.

Meg usiadła bez słowa i wyciągnęła nogę. Craig ukląkł na podłodze i chwycił but obiema rękami. Mocno szarpnął i ściągnął go wraz z trzema skarpetkami. Meg ześlizgnęła się z krzesła, które z trzaskiem upadło na podłogę. Ona również wylądowała na parkiecie.

- Auuu! - krzyknęła.

Leżała z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc. Craig zaczął masować jej stopę tak delikatnie, jakby to miała być pieszczota.

- Zmarzły ci stopy.

Gdy przerwał masaż, Meg otworzyła oczy. Patrzył na nią z niemym pytaniem. Powoli wyciągnął do niej ręce i posadził na podłodze. Ich twarze dzieliło teraz tylko kilkanaście centymetrów. Meg poczuła bijące od niego ciepło. Patrzyli sobie w oczy, czekając na jakiś sygnał. Dziewczyna spojrzała na jego zmysłowe usta i rozchyliła wargi w oczekiwaniu na pocałunek.

Craig przyjął to nieme zaproszenie. Dotknął wargami jej ust, cofnął się i zwilżył je językiem. Zacisnęła powieki. Czuła, jak mocno bije jej serce. Nie mogła już dłużej hamować swych pragnień.

- Chodź do mnie, na litość boską! - szepnęła.

Craig skapitulował. Nagle przestał walczyć ze sobą. Przygarnął ją tak mocno, że omal nie połamał jej żeber. Jedną ręką podtrzymując głowę, zaczął namiętnie całować jej usta. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zanurzyła palce w gęstych włosach. Pragnęła go...

Craig pieścił jej nagie piersi. Mruknęła tylko coś na znak zgody i bez wahania zaczęła gładzić jego ciało. Zapomniała o wszystkim, prócz tego, że są razem.

Nagle przerwali, gdyż na zewnątrz rozległ się głośny warkot skutera. Craig szybko wstał i cicho podbiegł do niewielkiego okna. Poruszał się lekko i

zręcznie jak dziki kot. Po paru sekundach wrócił i podał jej rękę, pomagając wstać.

- To Bonnie Mae i Chuck - powiedział. - Zazdroszczę im prostego, nieskomplikowanego związku. Żadnych wahań... Oboje wiedzą, czego pragną.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Nic nie odpowiedział. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Postawił na podłodze tuż za progiem, po czym pochylił się i znów ją pocałował. Meg przytulała się do niego, gotowa na wszystko, czego zapragnie. Jednak on odsunął się od niej.

- Dobranoc, Meg - szepnął. - Nie wierzę w szczęśliwe zakończenia.

Nim zrozumiała, co się dzieje, już go nie było. Poszedł do swojego pokoju i starannie zamknął drzwi.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tej nocy Meg źle spała. Obudziła się wcześniej i leżąc w łóżku, myślała o tym, że choć Craig fizycznie jest tak blisko, dla niej będzie zupełnie nieosiągalny. Wreszcie wstała, wzięła prysznic i ubrała się. Podczas śniadania uświadomiła sobie, że nie będzie widywać Craiga tak często, jak się tego obawiała lub miała nadzieję. Jego rozkład zajęć był inny niż jej. Craig i Dan McCormick przychodzili do pracy później niż ona i Bonnie; również o innej porze mieli przerwę śniadaniową. Groziły im wyłącznie wieczorne spotkania, ale nawet wtedy będzie przecież odwiedzał syna lub też zapraszał go do siebie.

Poniedziałek, jak zwykle ciężki, minął szybko. Meg sama zjadła kolację i wcześniej położyła się do łóżka. We wtorek, gdy przyszła do przychodni, zastała tam Skipa, który oznajmił jej, że już za trzy dni jedzie na południe na szkolenie.

- Z pewnością będzie nam ciebie brakowało - powiedziała.

- Jestem pewny, że sobie poradzisz beze mnie. W każdym razie masz jeszcze trzy dni na zadawanie pytań.

Potem pojawiła się Bonnie Mae i kolejni pacjenci. Rozpoczęła się normalna praca. Doktor McCormick przyszedł pierwszy, ale Craig również nie kazał na siebie czekać. Meg miała pilnować kolejności wizyt i przygotowywać karty pacjentów. To było proste zadanie. Jak dotychczas obywali się bez komputerów.

Przydzielając pacjentów do Craiga czy do McCormicka, Meg starała się, by obaj byli równo obciążeni. W międzyczasie pomagała Skipowi zmieniać opatrunki lub asystowała przy badaniach. Bonnie koordynowała pracę.

Dotychczas Meg zachowywała się z profesjonalną obojętnością. Przynajmniej tak wyglądało to na zewnątrz. W rzeczywistości nie mogła przestać myśleć o Craigu, który odnosił się do niej z chłodną, zawodową uprzejmością.

Tuż przed lunchem poczekalnia opustoszała, ale po południu należało oczekiwać ponownego napływu pacjentów. Meg skorzystała z wolnej chwili, aby posprzątać biurze. Już chciała wyjść coś zjeść, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Gdy zajrzała do poczekalni, zobaczyła młodą Inuitkę. Dziewczyna stała pośrodku pustego pokoju. Najwyraźniej nie wiedziała, co ma zrobić. Z tylnej kieszeni amauti wystawała głowa dziecka w futrzanym kapturze.

- Dzień dobry - powitała ją Meg z uśmiechem. Chciała ją uspokoić. - Jestem tu nową pielęgniarką. Czy mogę ci pomóc?

- Dziecko źle się czuje - powiedziała spokojnie Inuitka, ale w jej oczach widać było strach. - Wciąż wymiotować. Ja tak się martwić.

Ta kobieta sama wyglądała jak dziecko. Trudno było sobie wyobrazić, że rzeczywiście jest matką.

- Chodź ze mną.

Weszły do gabinetu. Meg wyjęła dziecko z worka i położyła na wyściełanym stole. Mały natychmiast zaczął cicho płakać. Jego matka również się rozplakała. Była zupełnie bezradna.

- Proszę go rozebrać i przykryć kocem - poleciła łagodnie Meg. - Wyciągnę jego kartę. Jak się nazywa? Czy jesteś jego matką?

- Tak, ja matka. Nazywa się Jason Boucher - szepnęła.

- OK. Zaraz przyjdę i zajmiemy się nim.

Gdy Meg wróciła i zbadała małego, stwierdziła, że jest wyraźnie osłabiony i odwodniony. Miał już miesiąc, ale ważył niewiele więcej niż po urodzeniu.

- Czy karmisz go piersią? Jak często?

- Tak, ja karmić. Nim... Nim to się zaczęło, karmiłam, gdy był głodny, pięć razy dziennie. Czasami nocą. Teraz on wciąż głodny, ale zaraz wymiotuje i płacze. Nie wiem, co robić.

- Kiedy to się zaczęło?

- Od trzech dni być bardzo źle, ale przedtem też. - Młoda matka była zdenerwowana i przestraszona. Mały leżał na stole i wymachiwał piąstkami.

- Druga siostra być u mnie. Mówiła, że dziecko nie rośnie. Nie powiedziałam jej, bo ona myśleć, że ja coś źle robię.

- Czy ma rozwolnienie? Albo gorączkę?

- Nie. Tego ja nie rozumieć. Wydaje się zdrowy, a jest chory. - Inuitka wytarła dłonią łzy z policzków,

- Gdy wymiotuje po karmieniu, czy mleko powoli wypływa mu z ust, czy też gwałtownie, tak jakby wyrzucał z siebie jedzenie?

- Tak... bardzo szybko. Dużo i nagle.

- Rozumiem. Zmierzę mu teraz temperaturę, puls i ciśnienie krwi. Później zawołamy lekarza, żeby go zbadał.

- Dobrze.

Nim Meg poszła po Craiga, sama delikatnie zbadała palcami brzuch dziecka. Wyglądało na to, że problem ma charakter mechaniczny. I



rzeczywiście, w górnej części brzucha udało się jej wymacać niewielki, twardy guz wielkości oliwki.

Craig był zajęty, musiała więc poczekać na korytarzu.

- Potrzebujesz mnie? - spytał, wysuwając głowę przez uchylone drzwi.

Miał na sobie biały fartuch lekarski. Ten strój wykluczał wszelkie bardziej osobiste kontakty i podkreślał służbowy charakter ich stosunków. Zapewne Craig pomyślał to samo, bo obrzucił szybkim spojrzeniem jej idealnie biały fartuch i czepek.

- Tak. - Meg wzięła głęboki oddech. Chciała zachować czysto służbową formę. - W gabinecie numer dwa jest miesięczne dziecko. Od trzech dni gwałtowne wymioty, żadnych oczywistych oznak infekcji. Myślę, że to zwężenie odźwiernika. Ma coś w brzuchu, jakiś twardy guz. Zrobiłam wszystkie wstępne badania.

- Uhm. Zaraz tam będę - odrzekł.

- Dobrze.

Po kilku minutach Craig przyszedł zbadać dziecko. Szybko potwierdził przypuszczenia Meg.

- Gratuluję poprawnej diagnozy - powiedział. Jeszcze przez chwilę macał brzuch małego. - Jakiego koloru są wymioty?

- Czasami takie jak mleko, czasami lekko brązowe - odpowiedziała matka.

- Uhm. To pewnie częściowo przetrawiona krew. Żołądek jest podrażniony i nieco krwawi. A co z kupkami, czy mają normalny kolor? Jeśli karmisz go piersią, to powinny być żółte i niezbyt rzadkie.

- Uu... Nie, trochę zielone.

- Gdybyśmy nie wyczuli tego guza, trzeba byłoby go odesłać na południe, na badania ultrasonograficzne i rentgen z barowym kontrastem - zwrócił się do Meg. - Jestem jednak pewny, że masz rację. Zaraz poprosimy matkę, żeby go nakarmiła. Jeśli to rzeczywiście zwężenie odźwiernika, to powinniśmy wyczuć perystaltyczne ruchy żołądka.

Craig cierpliwie wyjaśnił matce istotę choroby. Jason miał nadmiernie rozwinięty mięsień zamykający wylot żołądka, z którego nie mogło wydostawać się jedzenie, co powodowało wymioty i ból. Jak dotychczas medycyna nie zna przyczyny tej dolegliwości.

Jak tylko wspomniał o konieczności operacji, kobieta znów zaczęła szlochać. Meg objęła ją ramieniem i spojrzała wymownie na Craiga. Dobrze wiedziała, co musi czuć matka. Nigdy nie potrafiła pogodzić się z cierpieniem dzieci, gdyż nie można im nawet wytłumaczyć przyczyn

choroby, co zawsze ułatwia zniesienie bólu. Miała ochotę wziąć dziecko na rękę i przytulić do siebie.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - To prosta, zwyczajna operacja. Możemy ją zrobić tutaj, podróż nie będzie potrzebna. Prawda, doktorze?

- Tak, wystarczy tylko lokalne znieczulenie - potwierdził Craig. - Chciałbym od razu zatrzymać tu Jasona, bo jest bardzo odwodniony. Gdy dziecko wymiotuje, traci dużo soli. Przed operacją koniecznie trzeba to wyrównać za pomocą kroplówki. Jeśli pani chce, może pani z nim zostać. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Czy ma pani więcej dzieci?

- Nie, tylko jego.

- Doskonale, zatem może pani przy nim siedzieć. - Craig zwrócił się do Meg. - Czy możesz go przyjąć i zorganizować łóżko dla pani? Zaraz damy mu glukozę i sól fizjologiczną. Włóż mu cewnik przełykowy. Operację zrobimy jutro. Można to uznać za pilną sprawę. Do jutra powinien już mieć wyrównany poziom elektrolitów i wody.

Meg zajęła się przyjęciem Jasona do szpitala. Gdy mały i jego matka mieli już wszystko, co było im potrzebne, pomyślała, że teraz będzie mogła coś zjeść. Matka Jasona poszła do domu, żeby wziąć niezbędne rzeczy i zawiadomić męża o decyzji lekarza. Gdy wyszła, Craig podłączył kroplówkę do nogi dziecka i wsunął mu przez nos cienki cewnik. Meg przekazała Bonnie, by zadzwoniła do Nuny i poprosiła ją o wzięcie nocnego dyżuru. Potrzebny był ktoś do pilnowania dziecka.

Wreszcie Meg mogła przekazać sprawy Skipowi, który miał prowadzić przychodnię po południu. Z przyjemnością poszła do domu i przygotowała sobie coś do zjedzenia. Była głodna jak wilk i kręciło się jej w głowie z braku snu. Czula się tak, jakby pracowała tu już od miesięcy.

Następnego dnia Jason był wciąż głodny, ale przynajmniej ustąpiły objawy odwodnienia. Dan McCormick, który łatwo wciągnął się w rytm pracy stacji, zgodził się z Craigm, że operację można wykonać, stosując lokalne znieczulenie i lekko usypiając niemowlaka.

- Dawno już nie robiłem operacji odźwiernika - przyznał Craig, starannie dezynfekując brzuch dziecka.

- Nie przejmuj się, jeśli nie znajdziesz żołądka, to natychmiast cię zastąpię - zażartował Dan.

- Jestem pewny, że gdy tylko zawaham się choć chwilę, to Skip poradzi mi, co robić, prawda? - zaśmiał się Craig.

- Może pan na mnie liczyć, doktorze!

- A co z tobą, Meg? Czy mogę liczyć również na twoje wskazówki? - Spojrzał na nią badawczo.

- Ja... Jeszcze nigdy nie widziałam... - odpowiedziała spokojnie, przyglądając się, jak Craig z wprawą przygotowuje pole operacyjne.

- Przypominam ci zatem, że najpierw wykonam niewielkie cięcie w górnej części brzucha. Muszę odnaleźć dolną część żołądka i zwieracz odźwiernika. Następnie należy naciąć włókna mięśniowe aż do wyściółki kanału. W ten sposób usuniemy przegrodę i żołądek będzie mógł normalnie funkcjonować.

- Teraz mówisz jak prawdziwy chirurg - powiedziała Meg.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że Craig doskonale wie, co robić. Dzięki częstym wizytom na północy miał dużą praktykę w różnych dziedzinach chirurgii.

Operacja przebiegła gładko. Bonnie zostawiła ich, żeby zająć się innymi sprawami. Meg ani się obejrzała, gdy Jason był już w sali pooperacyjnej. Została przy nim, a Craig poszedł zawiadomić matkę.

Leżąc na dużym łóżku, chłopczyk wydawał się jeszcze mniejszy, niż był w istocie. Meg pogłaskała go czule po głowie i odgarnęła mu włosy z czoła. Jason jęknął kilka razy i zakaszłał; widocznie przeszkadzała mu gumowa rurka w gardle, mająca zagwarantować dopływ powietrza do płuc. Meg pomyślała z radością, że teraz mały będzie mógł już normalnie trawić i szybko zacznie przybierać na wadze. Jeszcze przez kilka dni pozostanie w szpitalu, a później będą odwiedzać go w domu.

- Obudź się, Jason - powiedziała, głaszcząc go po policzku. - Już po wszystkim, skarbie.

Tak bardzo chciała nawiązać z nim kontakt. Chłopczyk nie mógł rozumieć jej słów, ale miała nadzieję, że dźwięk jej głosu podziała na niego uspokajająco.

- Chciałbym, abyś do mnie mówiła „skarbie” - usłyszała za plecami głos Dana.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Całuj psa w nos.

Doktor wybuchnął śmiechem.

- Ten mały chyba dobrze zniósł operację - powiedział. - Teraz trzeba uważać na zapalenie żołądka i jelit. Wszystko, co je, musi być sterylne. Należy powiedzieć matce, jak ma się nim zajmować. To zadanie dla Bonnie Mae. Powiedzmy, że to osoba o wielkim autorytecie.

- Masz rację - przyznała Meg. Przekonała się już, że w towarzystwie Dana zawsze może się odprężyć. W tym momencie do sali pooperacyjnej wszedł Craig.

- Jak się ma Jason? - spytał, marszcząc brwi.

- Doskonale. Waśnie zastanawiałam się, czy nie usunąć rurki z gardła.

- Poczekaj jeszcze trochę. Nie odłączaj go od aparatury kontrolnej. Zajrzę tu niedługo. - Szybko sprawdził stan dziecka i skierował się do drzwi. - Dan, chciałbym z tobą omówić kilka spraw - dodał, zatrzymując się w progu.

- Dobra, prowadź, wodzu!

Gdy wyszli, Meg nerwowo przełknęła ślinę. Teraz dobrze rozumiała zasadę zakazującą mieszania spraw służbowych i osobistych. Dotychczas przestrzegala jej bez większych trudności. W Chalmers Bay było to znacznie trudniejsze. Po kilku sekundach otrząsnęła się z ponurych myśli i zaczęła wypełniać kartę Jasona. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to mały będzie mógł wrócić do domu w niedzielę. Musieli jeszcze ocenić, na ile można powierzyć opiekę nad nim matce.

W piątek wieczorem Jason już ssał mleko z piersi mamy. Meg nauczyła ją, jak strzykawką odessać przez cewnik treść żołądka, gdyby dziecku zbierało się na wymioty. To było całkiem możliwe w okresie rekonwalescencji. Starali się temu zapobiec, dając mu niewielkie porcje mleka.

Tego wieczoru, po przekazaniu dyżuru Nunie, Meg modliła się gorąco o spokojny weekend. Była okropnie niewyspana. Jeśli tylko pogoda pozwoli, w sobotę Skip poleci na południe. Po jego wyjeździe wszystkie sprawy miały spaść na nią, Bonnie i Nunę. Meg i Bonnie już zastanawiały się nad podziałem obowiązków.

- Dwie trzecie czasu w pracy, jedna trzecia w łóżku - oceniła trzeźwo Bonnie. - Jeśli będziemy miały szczęście, to może znajdziemy chwilę na prysznic.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z każdym dniem powoli ustępowały mrozy. Choć pogoda jeszcze się nie ustabilizowała, a po gwałtownych burzach często wyglądało słońce, widać było, że nieuchronnie zbliża się lato. Już wkrótce tundra powinna się zazielenić. Lada dzień mogły wrócić wędrowne ptaki, aby tu, na północy, wychować młode.

Mały Jason szybko odzyskał siły i wrócił do domu, ale należało go często odwiedzać. Trzeba było dopilnować młodych rodziców, by nie popełnili jakiegoś błędu. Na szczęście nadzorowała ich również babcia. Adele James przysłała do przychodni na zdjęcie szwów. Teraz czekała na ostateczny wynik z laboratorium.

Meg zaczęła sama jeździć z wizytami domowymi. Nauczyła się prowadzić skuter i odwiedzała pacjentów, których poznała w przychodni, podczas gdy Bonnie zajmowała się stałymi podopiecznymi. Jakoś radziły sobie mimo nieobecności Skipa, choć kosztowało to wiele wysiłku.

Pewnego dnia w przychodni pojawił się Tommy Patychuk. Craig miał mu naciąć blizny na nogach; nazywał to „przełędem blizn”. Ten zabieg wymagał tylko miejscowego znieczulenia. Meg pomagała mu w operacji.

Dzielenie mieszkania z Craigiem okazało się mniejszym problemem, niż przypuszczała. Gdy nie pracowali razem, rzadko się widywali. W cztery tygodnie po przyjeździe Meg Rob został z nimi na weekend. Zdarzało się to teraz częściej, dzięki czemu coraz lepiej się poznawali. Rob był inteligentnym i miłym chłopcem.

- Poczytasz mi coś, Meg? - poprosił w piątek wieczorem, gdy już kładł się spać na niewielkiej sofie w salonie. Spędzili ten wieczór we troje, w wyjątkowo serdecznej i bezkonfliktowej atmosferze. Podczas kolacji Craig zachowywał się powściągliwie i pozwolił synowi gawędzić z Meg.

- Niestety, nie mam tu żadnych odpowiednich książek - odpowiedziała. - Mogę ci opowiedzieć bajkę, jaką pamiętam z dzieciństwa - dodała, jednocześnie gorączkowo usiłując przypomnieć sobie jakąś historyjkę. -- Pamiętam tylko takie, które zaczynają się od „za siedmioma górami, za siedmioma lasami” i kończą na „i żyli długo i szczęśliwie”.

W tym momencie przypomniała sobie słowa Craiga „nie wierzę w szczęśliwe zakończenia”. Poczowała, że się czerwieni. Aby to ukryć, zebrała ze stołu talerze i zniosła je do kuchni.

- To do ciebie pasuje - mruknął Craig, gdy przechodziła obok.



- Dobrze! - krzyknął Rob. - Lubię takie bajki.

- Zgoda - powiedziała i usiadła obok niego. - Chwileczkę, muszę sobie przypomnieć. - Zerknęła na Craiga, który przyglądał się jej z sarkastycznym uśmiechem. Szybko odwróciła wzrok i błyskawicznie podjęła decyzję. Nie miała zresztą dużego wyboru.

- Za siedmioma górami, za siedmioma lasami... - zaczęła z determinacją - żył sobie stary drwal. Mieszkał w niewielkiej chatce w środku ciemnego lasu...

Stłumiony śmiech zbił ją z pantafelku. Na szczęście Craig wstał z fotela i wyszedł do sypialni.

Idylla życia rodzinnego zakończyła się nagle w sobotę, gdy okazało się, że mają do odebrania dwa porody. Pierwsza kobieta mogła wrócić do domu od razu po urodzeniu dziecka, natomiast druga miała lekkie zakażenie i musiała zostać w szpitalu na dzień lub dwa. To oznaczało, że Nunie wypadnie nocny dyżur, a Meg zostanie w szpitalu do późnego wieczora.

Tej nocy Dan McCormick miał tylko dyżur telefoniczny, ale i tak pojawił się w szpitalu jeszcze przed wyjściem Meg, aby zobaczyć matkę i dziecko.

- Cześć, Meg - powitał ją radośnie. Był rozluźniony i wesoły. - Jak idzie?

- Wszystko w porządku - zapewniła go. - Ciśnienie krwi normalne, krwawienie minimalne, dziecko w dobrej formie.

- Dobrze. Wobec tego wracam do domu. Jeśli będę potrzebny, Nuna ma mój numer. Dziś Bonnie Mae również ma dyżur telefoniczny, prawda?

- Tak.

- Craig prosił, abym ci powiedział, że jest u Gail. Ma wrócić tutaj późnym wieczorem. Dobranoc.

- Dobranoc.

Meg nadludzkim wysiłkiem woli zachowała panowanie nad sobą i nie zdradziła się nawet najmniejszym grymasem. Dan machnął jej ręką na pożegnanie i zniknął. Na jej twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

Czekając na Nunę, raz jeszcze przeczytała długi list, który otrzymała od Jen, serdecznej przyjaciółki z Gresham. Jen zawiadomiła ją, że w szpitalu został otwarty nowy oddział chirurgiczny, do którego brakuje personelu. Jej zdaniem Meg powinna natychmiast złożyć podanie o przyjęcie. To była kusząca propozycja, ale Meg obawiała się, że w takim wypadku, wcześniej czy później, znów będzie zmuszona do współpracy z Craigem, Czy chciała tego? Jen pisała również, że Joyce Travers została wprawdzie awansowana na stanowisko administracyjne, a wkrótce potem zwolniona przy redukcji

administracji. Ta wiadomość sprawiła Meg ogromną satysfakcję. Świetnie pamiętała nienawistny ton głosu Joyce, gdy ta mówiła: „Chyba nie sądzisz, że doktorowi Russellowi zależy na tobie? Jeśli tak, to jesteś zupełnie zielona”.

Meg była zaskoczona gwałtownością tego ataku. Przez cały dzień nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Nie pocieszała ją nawet świadomość, że zachowanie Joyce wynikało z zazdrości i frustracji. Tego dnia Meg poprzysięgła sobie, że nie będzie uczestniczyć w walce o względy Russella i stać w kolejce. Niedługo potem inna koleżanka, Cynthia Parks, uznała za stosowne ją ostrzec.

- Lepiej uważaj, Meg - powiedziała. - Craig złamał serca wielu kobiet.

- Czy mówisz na podstawie własnego doświadczenia? - odparła Meg, zirytowana nieproszoną radą?

- Nie - Dotrząsnęła głową Cynthia, ale mocno się zarumieniła.

Joyce Travers nie dała jej spokoju. Robiła, co mogła, aby Meg wyjechała z Gresham. Pokazała jej nawet zdjęcie Craiga z Gail na łódce, wykonane podczas zabawy w szpitalu.

- To Gail Adamson - powiedziała. - Craig rozbił jej małżeństwo. Przyjaźniła się z matką jego syna. Jeśli kiedyś Russell jeszcze raz się ożeni, to z pewnością właśnie z nią.

Joyce oznajmiła to z wyraźną satysfakcją, ale Meg tylko wstała i spokojnie oddała jej zdjęcie.

- O ile wiem, Russell nie był dotąd żonaty - oświadczyła zimno i wyszła z pokoju. Wiedziała, że między nią a siostrą oddziałową nigdy nie zapanuje pokój.

Gdy usłyszała kroki Nuny, była już gotowa do wyjścia.

- Meg, Meg! - Nuna niemal wbiegła do biura obok sali pooperacyjnej. Rzuciła torbę na podłogę. - Zaginęła młoda dziewczyna. Wyszła rano do tundry i jeszcze nie wróciła. Jej ojciec i Konna Policja organizują poszukiwania. - Urwała na sekundę, aby zaczerpnąć tchu. - Policja chciałaby, aby ktoś ze szpitala wziął udział w akcji. Może się okazać, że potrzebna będzie pomoc medyczna. Nie wiadomo, co jej się stało.

- Dlaczego poszła do tundry? - spytała Meg, ze znużeniem przeczesując palcami włosy. Bała się, że zna odpowiedź. Młodzi ludzie mieszkający na północy często bardzo ciężko znoszą okres dojrzewania i wpadają w depresję. Podobnie było w Jasper Creek.

- Ojciec twierdzi, że ostatnio była bardzo przygnębiona. Najpierw jej chłopak pojechał na południe na studia, później wyjechała matka. Do szpitala na operację. Anik myśli, że matka umarła i nikt nie chce jej o tym powiedzieć. To nieprawda, ale ona nie rozmawiała z nią od trzech tygodni. To bardzo cicha dziewczyna. Niewiele się odzywa, ale jest wrażliwa i zdolna. Ma dopiero czternaście lat. Potrzebuje jeszcze matki.

- To bardzo smutne. Dlaczego nie zadzwoniła do niej do szpitala?

- Dzwoniła tam tego dnia, kiedy matka wyjechała: Później już nie. Nie chciała.

- Jak mogę pomóc? - spytała Meg, przewyciężając zmęczenie.

- Weź niewielką apteczkę, wsiadaj na skuter i jedź na policję. Tam jest sztab akcji. Dowiesz się, gdzie jest ekipa poszukiwawcza. Tylko w żadnym wypadku nie wybieraj się do lasu sama. Musisz jechać z kimś, kto zna tundrę. Weź koniecznie dużą latarkę. Wpierw jednak zawiadom Bonnie. Jeśli tu coś się stanie, ona będzie musiała przyjechać.

- Zadzwonię do niej.

W piętnaście minut później Meg, ubrana w grubą kurtkę i ocieplacze, wyruszyła na skuterze śnieżnym w kierunku komendy policji. Do bagażnika wrzuciła apteczkę. Jechała powoli i ostrożnie. Światło reflektora rozpraszało ciemności i podkreślało ostre krawędzie lodowych brył. Mroźny wiatr wiał jej prosto w twarz. Meg skuliła się na siodełku i zacisnęła palce na kierownicy. Nie spodziewała się niczego dobrego.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zbliżając się do komisariatu, Meg już z daleka dostrzegła liczne światła i tłum ludzi. Wyglądało na to, że wszyscy dorośli z Chalmers Bay zgromadzili się wokół komendy. W powietrzu czuło się wyraźne napięcie i niepokój.

Meg zatrzymała skuter na parkingu, chwyciła ciężką apteczkę i ruszyła w stronę wejścia. Po drodze widziała, jak ludzie zapalają swoje skutery i ruszają w kierunku ciemnego lasu. Przed drzwiami komendy stał jakiś oficer. Meg rozpoznała Grega Farleya. Trzymał w ręce notatnik i przydzielał rejony poszukiwań. Meg zatrzymała się na chwilę. Wiedziała, że musi jechać z kimś znającym tundrę. Sama z pewnością nie dałaby sobie rady.

- Cześć, to ty jesteś Meg?

Ktoś złapał ją za rękaw. Obok stał jakiś szczupły chłopiec w ciepłej kurtce ze skóry karibu. Meg oświetliła jego twarz latarką. Teraz poznała Tommy'ego Patychuka. Przy nim siedziały dwa piękne husky.

- Cześć, Tommy. Tak, jestem Meg. Cieszę się, że cię widzę. Nikogo innego tu nie znam. Nie wiem, czy przydam się do czegoś.

- Jedź ze mną - zaproponował Tommy. - Musimy tylko zgłosić policji naszą trasę i ściśle się jej trzymać. Myślę, że wiem, gdzie jest Anik... Na pewno poszła tam, gdzie często chadzała z Tarsisem, swoim chłopakiem... Powiedziałem o tym policji, ale mi nie uwierzyli. Podobno ktoś widział ją, jak szła w przeciwnym kierunku. Dobrze znam Anik, przyjaźnimy się od dawna. - Chłopiec mówił spokojnie, z absolutną pewnością siebie. - Wiem, co zrobiła. Była bardzo przygnębiona i na pewno poszła tam, gdzie mogła czuć się blisko Tarsisa i matki. Gdy była mała i jej matka dobrze się czuła, łowiły tam latem ryby. Czuję, że ona jest w pobliżu ogromnego inukshuk, który stoi tam od niepamiętnych czasów.

- Co to jest inukshukl - spytała Meg.

Zastanawiała się, czy może jechać z tym chłopcem. Bała się, że nie tylko nie znajdą Anik, ale sami zabłądzą. Jednak przekonała ją jego spokojna pewność siebie.

- Kopiec z kamieni i skał, wielkości człowieka lub większy, służący jako znak terenowy - wyjaśnił chłopiec. - Jeśli Anik jest w tundrze, z pewnością zbudowała igloo. To bardzo bystra dziewczyna.

- Chcesz, żebyśmy pojechali sami?

- Tak. Weźmiemy psi zaprzęg i qamutik, to znaczy drewniane sanki dziadka. Chodź. - Tommy chwycił ją za rękę. Tłum przed komendą szybko

się przeredzał. Kolejne zespoły ruszały w las. - Te dwa psy należą do mnie. Tata ma trzy, a dziadek też dwa. Z zaprzęgiem siedmiu psów popędzimy jak wiatr.

- A co powie na to twoja rodzina? Jesteś jeszcze bardzo młody.

- Ciotka i dziadek uważają, że powinienem pojechać. Dobrze znam tundrę. Oni wiedzą, że dam sobie radę. Ojciec pojechał już na poszukiwania na skuterze. Ja wolę psy, mogą coś wywęszyć. Potrafią też odnaleźć drogę do domu. Pojedziesz ze mną? Mam już piętnaście lat, nie jestem dzieckiem. - Tommy dumnie uniósł głowę i czekał na odpowiedź.

- Zgoda - szybko zdecydowała się Meg.

- Dobrze, że się zgodziłaś - powiedział uradowany. - Droga jest prosta. Pojedziemy zatoką. Tylko w paru miejscach trzeba będzie skrócić na brzeg, żeby ominąć skały.

Ruszyli w stronę jego domu. Po drodze Tommy opisywał jej trasę. Teraz, gdy już podjęli decyzję, zaczęli się śpieszyć z jej realizacją.

- Dlaczego wszyscy czekali do wieczora z rozpoczęciem poszukiwań, skoro Anik zniknęła już przed południem? - spytała Meg, ciężko dysząc. Niemal biegli, starając się nadażyć za psami.

- Jej ojciec myślał, że jest u przyjaciółki. Dopiero późno po południu dowiedział się, że tam jej nie ma. Ktoś podobno widział ją rano, jak szła do tundry ze strzelbą. Anik dobrze strzela, poradziłaby sobie nawet z niedźwiedziem.

Mimo tej deklaracji wiary w umiejętności strzeleckie Anik, Meg wyczuła w głosie Tommy'ego niepokój. Pomyślała, że ta dziewczyna jest dla niego czymś więcej niż tylko przyjaciółką. Być może nieobecny Tarsis był rywalem Tommy'ego? W każdym razie chłopiec koniecznie chciał ją odnaleźć, nie bacząc na wszelkie niebezpieczeństwa.

- No, dobra, Tommy - powiedziała zdecydowanie. - Jedziemy najszybciej, jak tylko potrafimy.

- Zaraz zaprzęgę psy, są w tej szopie.

Doszli już do zagrody Patychuków. Gdy się zbliżyli, oba psy zaczęły głośno szczekać. Odpowiedziało im jeszcze głośniejsze ujadanie z szopy. Gdy Tommy otworzył drzwi, natychmiast wyskoczyło z niej pięć psów, szczekając przy tym i podskakując. Za szopą stały duże, drewniane sanie, już załadowane pudłami i przykryte brezentem.

Tommy zaczął przygotowywać zaprzęg.

- Zaprzęgam w wachlarz - oznajmił.



Meg przyglądała się, jak chłopiec z wprawą zakłada uprząż na kolejne psy. Kilka razy ostrymi komendami uspokajał zbyt podniecone zwierzaki.

- To Nanook - wskazał jej przewodniczkę zaprzęgu. - W inuktitut to znaczy „niedźwiedź polarny”. Suki są najlepsze do prowadzenia. Psy biegną za suką i nie gryzą się między sobą.

Piękna suka zasługiwała na swe imię. Miała puszystą, srebrnobiałą sierść i mocne łapy. Widać było, że niecierpliwie czeka, kiedy zacznie się bieg, ale mimo to zachowywałaś pokój. Inne psy nieustannie szczekały i podskakiwały wokół niej.

Tommy wszedł na chwilę do domu i przyniósł kurtę ze skóry karibu z dużym, głębokim kapturem, uszytą futrem do wewnątrz.

- To dla ciebie - powiedział, podając ją Meg. - Włóż to na wierzch. W tundrze będzie bardzo zimno.

Wykonała polecenie.

- Usiądź tutaj, między dwoma pudłami. Uważaj, żebyś nie spadła z sanek. Będiesz trzymać latarkę. Staraj się nie kołysać, żebyśmy widzieli, dokąd jedziemy. Ja będę biegł z tyłu i kierował psami. Jesteśmy gotowi.

Meg włączyła latarkę. Światło odbijało się od zamrożonego śniegu; widać było migotanie kryształków lodu. Spojrzała na Nanook, która gotowała się do startu.

Tommy krzyknął coś ostro do psów w inuktitut, niewątpliwie nakazując im spokój, po czym ostro gwizdnął. Wszystkie jednocześnie rzuciły się do przodu, głośno szczekając i machając ogonami. Ciągnęły ciężkie sanki z taką łatwością, jakby biegły swobodnie. Po chwili przestały szczekać i skoncentrowały się na pracy, która była ich głównym zadaniem.

Po niecałym kwadransie mijali już lotnisko. Po drodze zatrzymali się na chwilę, aby zgłosić wyjazd policji. Jechali w kierunku starego inukshuk. Z każdym psim skokiem oddalali się od światła i ciepła ludzkiego osiedla. Meg skuliła się pod skórą karibu, która otulała ją niby śpiwór. Wkrótce otoczyły ich ciemności.

- No, jedziemy! - zawołał Tommy, po czym przynaglił psy do większego wysiłku.

Meg jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, włączając się do poszukiwań. Kto ją zastąpi, jeśli nie dotrze rano do pracy? Po chwili jednak odegnała od siebie te wątpliwości i skupiła się na trzymaniu latarki tak, by snop światła oświetlał tundrę przed zaprzęgiem. W tym momencie tylko to miało znaczenie. Zapomniała o mrozie i nie zwracała uwagi na to, że

co chwila obija się o deski sanek. Myślała o Anik... biednej dziewczynie, która wmówiła sobie, że jej mama nie żyje. Teraz czekała ją samotna noc w tundrze... Meg miała nadzieję, że uda się im odnaleźć ją całą i zdrową.

- Howaii! - krzyknął Tommy do psów. Dźwięk jego głosu szybko zamarł w otaczającej ich pustce. Zaprzęg posłusznie skręcił w prawo, w kierunku zatoki. Słysząc było skrzypienie płóz i psie oddechy.

- Musimy się rozglądać - powiedział Tommy. - Co jakiś czas będziemy się zatrzymywać, żeby ją zawołać. Od czasu do czasu powinniśmy też rozpaść ognisko. Być może Anik dostrzeże ogień lub poczuje zapach dymu. Może również zobaczyć światło latarki.

- A co będzie, jeśli ona nie chce nic widzieć? - spytała Meg. To pytanie nie dawało jej spokoju.

- Na pewno chce... Wie, że ją kochamy.

Meg jeszcze nigdy nie przeżyła nic równie podniecającego jak ta gonitwa. Co chwila miała wrażenie, że sanki już się wywracają. Na twarzy czuła uderzenia kryształków lodu, wypadających spod psich łap. Tommy, mimo młodego wieku, prowadził zaprzęg pewną ręką.

Błyskawicznie mijali niewielkie wzniesienia śniegu i lodu. Meg nie przypuszczała, że psi zaprzęg może osiągnąć taką prędkość. Tommy musiał bardzo uważać, żeby nie wpaść na jakąś przeszkodę. W świetle latarki lodowe bryły i kamienie sprawiały wrażenie dziwnych duchów, wyłaniających się nagle z ciemności. Chłopiec bez przerwy wykrzykiwał komendy. Teraz Meg w pełni doceniła jego zręczność. Straciła poczucie czasu. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy pędzą tak kwadrans, czy już może godzinę.

- Pm! - przeciągle krzyknął Tommy.

Psy niechętnie się zatrzymały. Chłopak szybko zakotwiczył sanki, wbijając w śnieg stalowy hak. Widocznie nie był na sto procent pewien, czy zwierzęta nie zerwą się nagle do biegu. Następnie wbił podobny hak z przodu sań.

- Jedno z nas musi zawsze tu siedzieć - powiedział. - Chcę zawołać Anik. Przed nami są spore skały. Trzeba je ominąć. Myślę, że jej tu nie ma, ale musimy się upewnić. Poświeć. Chcę rozpaść ognisko. Jeśli Anik jest gdzieś tutaj, z pewnością zauważy ogień. .

Meg wysunęła się z ciepłej kryjówki pod futrem karibu. Gdyby w tym momencie psy wyrwały haki, ona i Tommy musieliby wracać piechotą. Szybko chwyciła się tylnej poręczy i skierowała światło na ziemię. Tommy

odsunął się nieco od sań, wysypał coś z pudełka na śnieg i polał odrobiną nafty z butelki. Już pierwszą zapalką udało mu się rozpaścić ognisko. Płomienie szybko trawiły kawałki drewna i coś, co Meg uznała za resztki starych gumowców. Ogień oświetlił spore koło wokół sań. Meg wyobraziła sobie, że tuż za kręgiem światła czają się wilki lub niedźwiedzie. Zadrżała. Otrząsnęła się jednak szybko z tych myśli. Wiedziała, że wilki nie docierają tak daleko na północ, a jeśli nawet, to przecież rzadko atakują ludzi. Natomiast musieli się liczyć z ewentualnym spotkaniem z niedźwiedziem. Meg oczywiście przypomniała sobie Johna Oldmana.

Tommy zaczął nawoływać Anik, obracając się powoli dokoła.

- Anik! Anik! - krzyczał, trzymając przy ustach dłonie złożone w trąbkę. Gdy był zwrócony na zachód, w kierunku niewidocznych jeszcze skał, echo powtórzyło jego wołanie: - Ik! Ik!

Meg nagle poczuła, że ogarniają strach. Zwykły, fizyczny strach. Uświadomiła sobie, że w takich warunkach każdy błąd może oznaczać śmierć. A czyż ona mogła tu o czymkolwiek decydować? Świat wokół niej wydał się nagle żywym stworzeniem, bacznie obserwującym jej zachowanie. Nie tyle groźnym, co imponującym siłą i ogromem.

Gdy podmuch wiatru skierował w jej stronę smugę czarnego dymu, poczuła ostry smród płonącej gumy. Jeśli Anik znajdowała się gdzieś w pobliżu, również musiała poczuć ten swąd. Tommy znów zaczął nawoływać. Meg dołączyła do niego, ale ich słabe głosy ginęły w otaczającej pustce.

Proszę, odpowiedz, odpowiedz - powtarzała w myślach Meg. Nie miała wątpliwości, że Tommy marzy o tym samym.

- Ik! Ik! - tylko echo szyderczo powtórzyło ich wołanie. Psy zaczęły niespokojnie szarpać uprząż. Nagle się rozszczękały i przez kilka minut nie chciały uspokoić. W pewnym momencie piękna Nanook usiadła, zadarła łeb do góry, położyła uszy po sobie i zawyła. Powietrze przeszył pierwotny, falujący dźwięk.

Echo powtórzyło skowyt suki. Zabrzmiało to tak, jakby w ciemnościach kryły się wilki. Pozostałe psy również zaczęły wyć, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

Meg i Tommy stali nieruchomo, czekając na jakiś znak obecności Anik. Meg modliła się w duszy, żeby dziewczynie nic się nie stało.

Psy wyły jeszcze kilka minut. Prawdopodobnie Tommy miał jednak rację, sądząc, iż nie ma tu Anik. Być może odeszła gdzieś dalej... Może usłyszała

jednak wycie psów? Powinni jechać, szukać jej... Meg stała jednak nieruchomo, jak pod działaniem jakiegoś uroku. Czekwała, aż psy ucichną.

Nanook opuściła łeb, wstała i otrząsnęła się gwałtownie. Po kolei milkły pozostałe psy. Znów stały się niecierpliwe, chciały już ruszać dalej.

- Pora jechać - Tommy przerwał ciszę. - Tu jej nie ma. Zwierzęta patrzyły na nich tak, jakby w ogóle nic się nie

stało. Czekwały, aż ludzie wreszcie będą gotowi do drogi. Meg miała wrażenie, że Nanook patrzy na nich przyjaźnie, lecz z poczuciem niewątpliwej wyższości.

Zatrzymali się jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem Tommy rozpałał ognisko i razem wołali Anik. Ogarniało ich coraz większe zdenerwowanie i niepokój. Oboje nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie dojadą do starego inukshuk. Byli już blisko i wiedzieli, że Anik nie mogła dotrzeć na piechotę dużo dalej. Uklękli przy ognisku. Usiłowali wchłonąć każdą odrobinę ciepła. Nocny mróz bez trudu przenikał przez ich kurtki. A może chłopak pomylił się, może Anik wcale nie poszła w tę stronę? - rozważała Meg.

- Jesteśmy już blisko - powiedział Tommy, zapewne odczytując jej myśli.

- Na miejscu napijemy się gorącej czekolady. Mam też trochę brandy.

- Świetnie! - Meg wstała energicznie. - Jedźmy!

Zgodnie z zapowiedzią Tommy'ego, kamienny znak terenowy był dosyć wysoki. Pojawił się nagle w świetle latarki, niczym nocny duch. Jego widok był jednocześnie pociechą i ostrzeżeniem. Gdy się zbliżyli, Meg zauważyła, że kopiec jest ułożony z wielu warstw płaskich kamieni. Był tak solidny, że nawet huragan nie mógłby go przewrócić. Wiele pokoleń temu zbudowali go tu Inuici, jako pomnik i znak.

- Prrr!

Znów się zatrzymali, wysiedli i zakotwiczyli sanie. To była już ostatnia próba. Oboje wiedzieli, że jeśli teraz Anik nie odpowie, będą musieli wracać. Żadne z nich nie poruszyło jeszcze problemu, jak długo będą próbować, nim wreszcie się poddadzą.

- Rozpalmy ognisko, Tommy, i napijmy się czekolady.

- Dobrze. Później przeszukamy teren wokół inukshuk, poruszając się po spirali. Musimy mieć pewność, że tu jej nie ma... - Głos chłopca niebezpiecznie się załamał.

Meg odruchowo objęła go ramieniem i mocno przytuliła.

- Tak, zrobimy, jak mówisz.

Jeszcze nigdy nie kosztowała czegoś tak dobrego, jak gorąca, gęsta czekolada z termosu. Stali oboje przy ognisku, popijając słodki płyn i zastanawiając się nad następnym posunięciem. Jeśli Anik dotarła aż tutaj na piechotę, to pewnie zbudowała w pobliżu igloo. Z pewnością wzięła ze sobą duży nóż do wycinania śnieżnych bloków.

Wokół panowała niemal idealna cisza. Słyszeć było tylko głośnie dyszenie zmęczonych psów. Wszystkie położyły się na śniegu; ich boki gwałtownie unosiły się i opadały. Gdy trochę odpoczęły, Tommy dał im nieco suszonego mięsa karibu, by miały siły na powrót.

Meg usiłowała wypatrzeć coś w ciemności poza kręgiem światła z ogniska. Nagle ogarnęło ją poczucie samotności. Bezwiednie zaczęła myśleć o Craigu. Przypomniła sobie, jak całował jej palce. Szkoda, że nie ma go tu z nimi. Czy on wie, co się z nią dzieje? Czy to go w ogóle obchodzi?

- Meg, poświeć latarką w tę stronę - Tommy przerwał jej rozmyślenia. Spakował jedzenie i wyciągnął z sanek-strzelbę. - Może Anik usłyszy strzał. Muszę trochę odejść, żeby nie straszyć psów.

Podeszła do skraju świetlnego kręgu i skierowała latarkę na skutą lodem zatokę. Cały czas starała się oświetlać chłopcu drogę. Gdy Tommy doszedł do krańca świetlnej smugi, zatrzymał się, uniósł strzelbę i wystrzelił.

Psy natychmiast zerwały się na nogi i zaczęły głośno szczekać. Meg przestraszyła się, że wyrwą haki i znikną w ciemnościach.

- Pośpiesz się, Tommy! - krzyknęła nerwowo.

Szybko wrócili do sanek i w napięciu czekali na jakąś odpowiedź. Po paru minutach psy przestały szczekać i zapadła cisza. Tylko słaby wiatr szumiał wokół kopca. Tommy zdjął kaptur, żeby lepiej słyszeć. Meg bez słowa zrobiła to samo.

- OK.

Kręciła głową na boki, starając się wyłowić coś wśród szumu wiatru. Mijały minuty.

Nagle powietrzem wstrząsnął pojedynczy wystrzał. Psy znów zerwały się na nogi i zaczęły szczekać.

- To na pewno Anik! Na pewno! - krzyknął Tommy z radosnym podnieceniem. Równocześnie rzucili się sobie w ramiona. Meg ucałowała go w policzki. Chłopiec płakał ze szczęścia. Znali się wprawdzie bardzo krótko, ale mimo to czuli się sobie bliscy.

- Szybko, Tommy, dodaj drewna do ogniska. Nafta! Gdzie jest nafta?



- Już... - Tommy śmiał się i płakał jednocześnie. Musiał jakoś odreagować ogromne napięcie. - To na pewno ona...

- Uważaj... Zaraz podpalisz siebie... - Meg wytarła rękawicą łzy z policzków, żeby nie zamarły. Odebrała mu butelkę z naftą i ostrożnie poląła płonące polana. Ogień wystrzelił wysoko w górę. Cofnęli się i znów zaczęli wołać Anik. Z ich ust unosiły się w powietrze kłęby pary.

- Anik! Anik!

Szaleńcze szczekanie całkowicie zagłuszało ich krzyki. Psy szarpały uprząż, chciały biec w kierunku, z którego dotarł huk wystrzału.

Tommy podskakiwał niecierpliwie. Meg miała nadzieję, że ten hałas nie zwabi polarnych niedźwiedzi, a raczej je wystraszy.

- Może jest ranna? - zastanawiał się niespokojnie. - Jeśli za pięć minut jej tu nie będzie, to pojedziemy jej szukać. Trzymaj się tylko blisko mnie. Tu może się trafić niedźwiedź.

- Dobrze, Tom.

- Anik, to ja, Tommy! - krzyknął chłopiec, gdy psy na chwilę przycichły. - Może ona boi się awantury? - zwrócił się do Meg. - Wie, że sprawiła wszystkim masę kłopotów.

Zamilkli i czekali w napięciu na jakiś odgłos. Tommy podszedł do Meg. Jedną ręką trzymał strzelbę, drugą zacisnął na jej ramieniu. Miał wrażenie, że ktoś się zbliża - albo człowiek, albo zwierzę.

Meg pierwsza zauważyła nieruchomy cień tuż przy granicy oświetlonego kręgu.

- Tam - szepnęła i wskazała ręką kierunek. Z trudem utrzymywała nerwy na wodzy.

Tommy bez chwili wahania rzucił się naprzód. Anik zrobiła kilka kroków, wpierw z lękiem, potem z większą śmiałością. Po kilku sekundach rzucili się sobie w ramiona. Meg słyszała, jak mówią coś w inuktitut. Sama czuła ogromną ulgę, że udało się im znaleźć dziewczynę, ale nie zapomniała o innych niebezpieczeństwach.

Tommy podprowadził Anik do Meg. Była wyraźnie onieśmielona. Podniosła na chwilę mokrą od łez twarz, po czym zwiesiła głowę. Miała na sobie kurtkę ze skóry karibu, obszytą wilczym futrem, a w ręce trzymała strzelbę.

- Powinniśmy jak najszybciej wracać do Chalmers Bay - powiedziała Meg. Uznała, że to właściwy moment, aby objąć kierownictwo. - Trzeba

zawiadomić wszystkich, że mogą przerwać poszukiwania. Jeśli to bezpieczne, to może coś szybko zjemy.

- Anik zbudowała igloo. To niedaleko. Możemy tam się schować, zjeść coś, a potem ruszać w drogę. Dam psom jeszcze trochę mięsa. To nie potrwa długo.

- Dobra.

Po paru minutach Meg i Anik były już w środku śnieżnego domku. Tommy został na zewnątrz, karmił psy.

- Twoja mama żyje, Anik. Wkrótce będzie zdrowa... Nuna powiedziała mi... Nuna pewnie wie o wszystkim, co dzieje się w Chalmers, prawda? Znasz ją?

- Tak - szepnęła dziewczyna.

Uniosła głowę. Meg zobaczyła jej pulchne policzki i czarne jak węgle oczy.

- Możesz do niej zadzwonić, choćby jutro rano. Nic ci nie jest? - spytała.

- Nic. - Anik pokręciła głową i szybko wytarła łzy wierzchem dłoni.

W tym momencie do igloo wpełzł Tommy. Musiał poruszać się na kolanach. Wciągnął za sobą torbę z jedzeniem. Wszyscy byli potwornie głodni. Pili czekoladę z domieszką brandy i żuli suszone mięso karibu. Gdy się najedli, nastrój od razu uległ pewnej poprawie. Nawet Anik zdobyła się na uśmiech. Tommy przez cały czas ją wypytywał, co robiła, ale Meg nic z tego nie rozumiała, bo rozmawiali w inuktitut.

- Cicho! - przerwała im w pewnym momencie. - Coś słyszałam.

Ściągnęła z głowy kaptur i wełnianą czapkę. Dobiegło ich ciche buczenie, niczym odgłos jakiegoś owada. Z każdą sekundą dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy.

- To chyba skuter - powiedziała. - Tommy, czy to możliwe, że ktoś nas szuka?

- Być może. To kilka skuterów - odpowiedział chłopiec. Teraz Meg również odróżniła warkot paru silników.

- Musimy wyjść i dać im znać, że tu jesteśmy - oświadczyła. Uklękła i chciała wypełznąć na dwór, ale Anik powiedziała coś szybko do Tommy'ego. Była wyraźnie przestraszona.

- Poczekaj tutaj - polecił jej. - Zobaczę, kto to. Z pewnością zauważą resztki ogniska przy inukshuk. Anik boi się, że ojciec będzie się na nią gniewać. Myślę, że to jej nie grozi.

- Wszystko będzie dobrze, Anik. - Meg pogłaskała ją po głowie. Tommy wypełznął z igloo. - Zajmiemy się tobą.

Nagle wokół igloo zrobił się potworny hałas. Słysząc było warkot silników, szczekanie psów i głośne okrzyki mężczyzn. Meg wrzuciła resztki jedzenia do torby. Anik siedziała nieruchomo. Jej eskapada dobiegła końca. Meg odniosła wrażenie, że trochę samotności dobrze jej zrobiło.

- Anik, jest tu twój ojciec - powiedział Tommy, wsuwając głowę do igloo. - Nikt nie jest na ciebie zły. Wszyscy się cieszą, że już się znalazłaś. Wyjdź. Meg, jest tu doktor Russell ze stacji.

Anik bez słowa wyszła na zewnątrz. Meg wydostała się na dwór ostatnia. Wokół panował straszny rwetes. Światła czterech skuterów oświetlały niewielki lodowy domek, który teraz wydawał się zupełnie mikroskopijny. Ludzie głośno rozmawiali, krzyczeli, śmiali się i płakali. Wszyscy kolejno ściskali Anik. Na każdym skuterze przyjechało dwóch ludzi. Szczekanie psów dodatkowo powiększało ogólna chaos.

Jakiś mężczyzna, wyróżniający się wzrostem i potężną budową ciała, odłączył się od pozostałych i podszedł do Meg.

- Craig? Tak się cieszę, że tu jesteś... Jak dobrze, że nie będziemy musieli sami wracać - westchnęła. - Nikt z nas nie miał na to ochoty, choć oczywiście nie przyznawaliśmy się do tego. Dobrze, że udało się nam ją znaleźć! Czy to nie wspaniałe?

Jeśli Meg spodziewała się, że Craig weźmie ją w ramiona i powie, że ją kocha, to czekało ją gorzkie rozczarowanie.

- Do diabła, co ci strzeliło do głowy, żeby jechać na poszukiwania z tym dzieciakiem? Czyś ty zupełnie zwariowała?! - krzyknął gniewnie.

Meg na chwilę zaniemówiła. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zupełnie zszokowana. Jeszcze nigdy nie widziała go naprawdę rozgniewanego. Teraz wydawał się jej kimś zupełnie obcym.

- Tommy ma już piętnaście lat - powiedziała krótko. - Jest bardzo doświadczony. Zaufałam mu.

- Już piętnaście lat! Dobre sobie! - sarkastycznie wykrzyknął Craig. - Ciekawe, jakie doświadczenie może mieć piętnastoletni dzieciak?! Może mi to wyjaśnisz? Co innego zaufanie, a co innego naiwność i głupota! - wołał gniewnie.

Na szczęście nikt nie zwracał na nich uwagi. Meg nie mogła sobie wybaczyć, że jeszcze niedawno tęskniła za jego obecnością.

- Potrzebny był ktoś ze stacji. Zgłosiliśmy nasz wyjazd policji. Zdaje się, że dzięki temu nas znaleźliście. Udało się nam odnaleźć Anik. Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

- Bardzo się z tego cieszę. Naraziłaś jednak na niebezpieczeństwo siebie i tego chłopca. Jesteś tu po to, aby zajmować się chorymi, a nie dokonywać bohaterskich czynów. Jak myślisz, co czułem, gdy dowiedziałem się, że pojechałaś z Tommym?

- Najwyraźniej wściekłość.

- Masz rację, byłem wściekły. Jesteś tu dopiero od miesiąca i już udało ci się zrobić coś zupełnie idiotycznego. Sądziłem, że jesteś rozsądniej sza. Chyba jednak moje pierwsze wrażenie było słuszne, kiedy widziałem, jak obejmujesz tego małego ortopedę. Co tam rozważa, pani Langham, prawda? Lepiej najpierw działać, później myśleć!

- Jeszcze nikt nie zarzucał mi lekkomyślności! - krzyknęła Meg. - Wcale go nie obejmowałam, tylko on mnie! To pewna różnica - dodała. W tej chwili nic innego nie przyszło jej do głowy.

Stali naprzeciw siebie. Z ich ust wydobywały się kłęby pary. Meg zacisnęła gniewnie pięści. Usta zeszywniały jej z zimna i zdenerwowania. Koniec z marzeniami i złudzeniami. Nagle przypomniała sobie Richarda Beckera i zatęskniła za nim.

- Zresztą, co to ma do rzeczy? - warknęła. - Nie jesteś moim władcą. Nie jesteśmy w pracy. Zamknij się i daj mi spokój.

- Nie mam zamiaru się zamknąć. Takie ryzykowne decyzje mogą mieć tu fatalne skutki...

- Mieszkałam przez pół roku w Jasper Creek - przerwała mu. - Sama, bez żadnego Craiga Russella, który decydowałby, co mam robić. Wiem, co to znaczy rozważa i ryzyko. A skoro już mówimy sobie prawdę, to chcę ci powiedzieć, że nie mam do ciebie za grosz zaufania.

Meg naciągnęła kaptur, żeby ukryć twarz, i podeszła do sań. Nerwowymi ruchami rozplatała linki, aby odłożyć na miejsce torbę z jedzeniem. Usta drżały jej tak mocno, że musiała przygryźć wargi. Bała się, że ktoś zauważy, w jakim jest stanie.

Mężczyźni ustalili, że ona i Anik pojedą saniami. Topmy, oczywiście, miał kierować zaprzęgiem. Ich eskortę stanowić będą skutery, dzięki czemu droga zostanie przetarta i dobrze oświetlona.

Jeden z mężczyzn połączył się przez radio z policją w Chalmers. Już wszyscy w osiedlu wiedzieli o odnalezieniu Anik i mieli zamiar ich powitać. Meg i Tommy zostali uznani za bohaterów.

Nikt nawet nie zauważył, że po policzkach nowej pielęgniarki spływają ogromne łzy.

RS



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy na horyzoncie pojawiły się znowu światła Chalmers Bay, Meg spostrzegła, że na ich spotkanie jedzie cała kawalkada skuterów. Już z daleka widać było tańczące nad śniegiem światła reflektorów. Najwyraźniej mieli odbyć tryumfalny wjazd. Cudownie ocalona córka powróciła na łono rodziny. Na wpół leżąc na saniach, Meg obejmowała ramieniem Anik. Czuły na twarzach podmuchy zimnego wiatru.

Meg nie mogła opanować wzruszenia na widok radości, jaką sprawiło wszystkim odnalezienie dziewczyny. Tu, na północy, jeszcze przetrwała ludzka solidarność. Meg cieszyła się, że może dzielić ich radość. Przestała przejmować się słowami Craiga, który jechał na jednym ze skuterów. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, gdzie on teraz jest. Patrzyła prosto przed siebie.

Wjechali na plac przed kościołem. Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Otoczył ich tłum ludzi. W pierwszym szeregu Meg dostrzegła pastora, który wybiegł z kościoła bez kurtki. Przyszło jej nagle do głowy, że dla mieszkańców Chalmers Bay fakt, iż udało się uratować Anik, ma z pewnością wielkie znaczenie duchowe. W tym świecie, gdzie lekkomyślny stosunek do natury zazwyczaj szybko kończy się katastrofą, pomyślny wynik poszukiwań mógł się wydawać wynikiem boskiej interwencji. Meg i Anik wydostały się z sań. Razem z Tommym i psami stały w środku tłumu. Nikt nawet nie próbował uścisnąć Anik.

W tym momencie zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Jakby na komendę ludzie zaczęli śpiewać. W nocnej ciszy słyhać było wyraźnie słowa pieśni dziękczynnej. Śpiew połączył wszystkich mieszkańców. Meg nie rozumiała słów, ale poznała melodię. Przez chwilę nie wierzyła własnym uszom, ale to była prawda. Ponad tundrą niosły się dźwięki hymnu „Te Deum laudamus”. Poczwała, że coś ściska ją w gardle. Na twarzach wielu ludzi widziała łzy. Misjonarze zaczęli tu działać już ponad sto lat temu i doprowadzili do tego, że tubylcy włączyli chrześcijaństwo do swoich starych wierzeń. To, co teraz słyszała, było skutkiem ich pracy. Zgodnie ze starą mitologią Inuitów, człowiek jest częścią natury, a nie jej panem.

Meg zaczęła spazmatycznie szlochać. Na szczęście śpiwający nie zwrócili na nią uwagi; jej płacz ginął w chórze głosów. Musiała uwolnić się od napięcia, w jakim trwała od kilku godzin. Starcie z Craigiem tylko zwiększyło jej zdenerwowanie.

Gdy pieśń dobiegła końca, pastor objął Anik i zmówił nad jej głową krótką modlitwę. Wszyscy słuchali w milczeniu, ale kiedy skończył, rozległy się głośnie okrzyki radości. Ojciec Anik znów przygarnął ją i ucałował, po czym serdecznie uściskał dłoń Meg, która nie kryła już łez. Po nim podeszli następni; wszyscy witali Anik i dziękowali Meg i Tommy'emu. Meg nie mogła pozbyć się uczucia, że jej rola została absurdalnie wyolbrzymiona. Miała ochotę schować się w tłumie, tak aby Tommy mógł odebrać zasłużone gratulacje, ale jednocześnie nie chciała zrezygnować z udziału w tym świecie ludzkiej solidarności.

Ktoś ustawił świeczki na tarasie kościoła. Były tam osłonięte od wiatru. Pastor podprowadził Anik, by zapaliła świece. Tłum przesunął się do przodu. Meg została przy saniach. Zauważyła, że Tommy wyciąga hak z lodu. Widocznie miał zamiar już odjechać. Psy były bardzo zmęczone i głodne.

- Może ci w czymś pomóc, Tommy? - zaproponowała.

- Nie, dziękuję. Lepiej idź do domu i szybko się rozgrzej. Dzięki, że zechciałaś ze mną jechać. Myślę, że z Anik będzie wszystko dobrze. Jutro odbędzie się dziękczynna ceremonia, musisz koniecznie przyjść.

Meg ruszyła w stronę parkingu. Ze zmęczenia drżały jej nogi. Spojrzała na zegarek. Była już prawie trzecia nad ranem.

- Meg, poczekaj! - Ktoś nagle chwycił ją za ramię. Bez trudu poznała głos Craiga. Obróciła głowę i zobaczyła jego poważną twarz, ukrytą pod głębokim kapturem. - Dokąd idziesz? Od przyjazdu nie spuszczam cię z oka. Wolałbym, żebyś znowu nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Gdyby nie miała na sobie grubych rękawic, zapewne wymierzyłaby mu policzek.

- Idę do skutera - powiedziała spokojnie. - Chcę wrócić do domu.

- Weź mnie ze sobą - poprosił, idąc obok niej. - Pozwól, żebym prowadził. Z pewnością jesteś wyczerpana.

Nic nie odpowiedziała. Była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach. Z ulgą usiadła na tylnym siedzeniu. Niewiele brakowało, a zasnęłaby w drodze do stacji. Gdy Craig zaparkował i wyłączył silnik, bez słowa wstała i skierowała się do drzwi. Nie mogła zapomnieć o jego uprzednim zachowaniu.

Weszli do mieszkania. Meg poczuła przyjemną falę gorącego powietrza. Wokół było zupełnie cicho i ciemno.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Meg - odezwał się, zapalając światło.

- Jeśli zamierzasz wygłosić kazanie, to możesz nie strzepić języka - odpowiedziała ze znużeniem. Wiedziała, że może zobaczyć jej zapuchnięte oczy i ślady łez na policzkach. - Nie mam ochoty go słuchać. Dobrze wiem, że ryzykowałam.

- Nie, chcę cię przeprosić za swoje zachowanie - wyjaśnił. - Byłem wyjątkowo nieuprzejmy. To dlatego, że niepokoiłem się o ciebie. Gdy dowiedziałem się na policji, że pojechałaś na poszukiwania z tym chłopcem... pomyślałem, że zwariowałaś. To nie wyglądałoby dobrze, gdyby siostra ze stacji zginęła w tundrze po tak krótkim pobycie na północy.

- Bałeś się, że ktoś będzie cię o to winił? - spytała.

- Nie. Po prostu sądzę, że częściowo odpowiadam za ciebie, ponieważ byłem już wielokrotnie na północy.

Odrzucił kaptur i zdjął wełnianą czapkę, po czym nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Bardzo ci jestem wdzięczna za troskliwość. Czyżbyś postanowił zostać moim opiekunem? Przecież w rzeczywistości guzik cię obchodzi - odpowiedziała wyzywającym tonem. - Myślę, że to nie należy do twoich obowiązków.

- Gdy widzę, że jest coś do zrobienia, nie czekam na rozkazy - oświadczył Craig. W jego oczach pojawił się dziwny błysk, ale widocznie wolał nie podejmować dysputy!^

Meg przejechała językiem po obolałych wargach. Czuła, że powoli zapomina o gniewie i ulega starym sentymentom. On najwyraźniej uważał, że zawsze decyduje o wszystkim i za wszystko odpowiada.

- Muszę się napić czegoś ciepłego - wymamrotała. - Czy mógłbyś powiedzieć Nunie, że Anik już się znalazła? Z pewnością się niepokoi.

- Idź wziąć prysznic. Zawiadomię Nunę i przygotuję ci coś gorącego.

- Uhm... Dzięki - mruknęła.

Nie miała siły na dyskusję. Była tak sztywna z zimna, że ledwo się ruszała. Co chwila wstrząsały nią drgawki. Craig miał rację, mówiąc, że wiele ryzykowała. Na przykład mogła łatwo dostać zapalenia płuc.

Poszła do łazienki. Z rozkoszą skierowała na siebie strumień gorącej wody.

Gdy wróciła do sypialni, ubrana w nocną koszulę, zastała tam Craiga. Siedział w nogach łóżka, a na nocnym stoliku stał kubek, z którego unosiła się para. Meg rzuciła ubranie na krzesło, po czym wyciągnęła z szuflady kamizelkę i wełniane skarpety.

- Postanowiłam nigdy więcej nie marznąć - oznajmiła, nie patrząc na Craiga.

Włożyła skarpetki i kamizelkę, a następnie położyła się do łóżka i podciągnęła kołdrę aż pod brodę.

- Tak jest o wiele lepiej - mruknęła z zadowoleniem, przymykając powieki. - Prawdziwy raj. Jeszcze tylko coś gorącego. ..

- Już podaję - odezwał się Craig. - To gorące mleko z miodem i odrobiną koniaku. - W jego głosie Meg dosłyszała rozbawienie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego podejrzliwie. - Myślałem, że włożysz jeszcze szalik i rękawiczki - wyjaśnił.

- Zrobię to, gdy wyjdiesz - zażartowała. - Także czapkę i nauszniki.

Craig podał jej kubek. Niechętnie usiadła na łóżku.

- Wcale nie miałem zamiaru wychodzić - oświadczył.

- A co to ma znaczyć? - spytała Meg, nie podnosząc oczu znad kubka. Była rozgrzana prysznicem, ale nagle ogarnęła ją fala gorąca zupełnie innego rodzaju.

- Pomyślałem, że pewnie wolałabyś nie zostawać sama - powiedział, siadając na łóżku. - Sporo dzisiaj przeżyłaś.

Meg nie wiedziała, jak zareagować. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Choć byli już kiedyś kochankami, zaskoczyły ją te słowa. Od chwili rozstania wielokrotnie wyobrażała sobie, jak zachowałyby się w takiej właśnie sytuacji; ćwiczyła różne zręczne odpowiedzi. Teraz jednak nic nie przychodziło jej do głowy.

- Myślę, że źle mnie zrozumiałaś - spokojnie ciągnął Craig. - Chcę tylko posiedzieć przy tobie, dopóki nie uśniesz.

- Dziękuję... to bardzo miło z twojej strony. Nic mi nie będzie.

Była bardzo zakłopotana swoimi podejrzeniami. Gdy Craig wstał, poczuła jednocześnie ulgę i żal.

- Zostawię otwarte drzwi od naszych sypialni - powiedział. - Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebowała, natychmiast mnie zawołaj. Bardzo zmarzałaś. Boję się, że będziesz mieć wysoką gorączkę.

Meg znalazła się w szerokim, ciemnym tunelu z dziwnymi, błyszczącymi i wilgotnymi ścianami. Na głowę kapłała jej woda, wokół widziała liczne stalaktyty i stalagmity. W miarę jak szła, było ich coraz więcej, aż wreszcie musiała przeciskać się między nimi. Z każdym krokiem jej stopy stawały się coraz cięższe. Gdy chciała zawrócić, okazało się, że zabłądziła. Tunel gdzieś zniknął, wokół widać było tylko mokre, śliskie kolumny. Gorączkowo

rozglądała się wokół, szukając drogi ucieczki. Z trudem unosiła kamienne stopy...

- Craig, Craig... Craig!

Gwałtownie usiadła na łóżku. Jeszcze przez kilka sekund nie mogła pozbyć się strachu, aż wreszcie poznała zarysy mebli. Była u siebie. Starła z czoła kropelki potu. Co za koszmarny sen! Spojrzała na zegarek. Była za kwadrans piąta.

Zachciało się jej pić. Szybkim ruchem zerwała się z łóżka, ale zaraz musiała się zatrzymać. Poczowała zawroty głowy. Na szczęście zdążyła się oprzeć o poręcz. Włożyła szlafrok i poczłapała do kuchni. Wyciągnęła z szafki karton soku pomarańczowego i naląła sobie szklankę. Wypiła ją pośpiesznie i znów napełniła soki.

- Meg, co się stało? Słyszałem, jak mnie wołałaś.

- Och... - Nie usłyszała jego kroków. Craig zatrzymał się w drzwiach. Miał na sobie płaszcz kąpielowy frotte. - Przepraszam, że cię zbudziłam. Pewnie krzyczałam przez sen. Śnił mi się jakiś koszmar, zabłądziłam w jaskini czy coś takiego. - Czowała się tak podle, że nie pomyślała nawet o swoim dziwnym wyglądzie. Miała na sobie koszulę nocną, kamizelkę, szlafrok i wełniane skarpety. Potargane włosy sterczały na wszystkie strony. - Jak można się było spodziewać, nie czuję się za dobrze. Dzięki Bogu jutro jest niedziela. Do poniedziałku wyzdrowieję. - Podniosła szklankę i wychyliła ją duszkiem.

- Usiądź na sofie - polecił jej Craig. - Zmierzę ci temperaturę. Tu gdzieś powinien być termometr.

Darował sobie rutynowe „a nie mówiłem”, ale w jego głosie Meg dosłyszała krytyczną nutę.

- Dziękuję. Trochę kręci mi się w głowie.

Usiadła, a mężczyzna przykrył ją starannie kocem, po czym zabrał się do szukania termometru. Meg przeklinała swego pecha. Wiedziała, że do poniedziałku musi wyzdrowieć. Po wyjeździe Skipa mieli tyle roboty, że nie mogła pozwolić sobie na chorobę.

- Weź to do ust. - Craig podał jej termometr. Posłusznie otworzyła buzię. - Chcę cię zbadać.

Przymknęła powieki i rozchyliła poły szlafroka. Po sekundzie poczuła na piersiach dotyk chłodnej końcówki stetoskopu. Przez krótką chwilę Craig muskał palcami jej nagą skórę.



- Odwróć się - polecił, po czym przyłożył stetoskop do jej pleców, nasłuchując, czy nie ma zapalenia płuc.

- Jak na razie płuca są czyste - mruknął wreszcie. Schował stetoskop do kieszeni szlafroka i wyjął jej z ust termometr. - Masz gorączkę, ale nie ma co robić z tego tragedii. Dam ci coś na obniżenie temperatury i obrzęk. Jutro powinnaś położyć się i odpocząć. Może do poniedziałku wszystko będzie już w porządku.

- Szalenie mi przykro, Craig, że sprawiam ci tyle kłopotów. Jesteś taki miły. Co za zmiana... Naprawdę nie chciałam cię budzić.

- Nie bądź taką cholerną Angielką - mruknął pogodnie.

- Rozluźnij się i odpocznij. Zaraz przyniosę pigułki. Mam też olejek kamforowy. To metoda stara, ale skuteczna. Nie chcę ci dawać antybiotyków, póki nie wiadomo, czy to naprawdę konieczne.

Meg połknęła tabletki.

- Zdejmij kamizelkę i połóż się na brzuchu - polecił.

- Twoja skromność jakoś to zniesie.

- Muszę przyznać, że trochę bołą mnie płuca - powiedziała, zrzucając część garderoby. Wyciągnęła się na łóżku twarzą do poduszki.

- Nic dziwnego - odrzekł Craig. Podciągnął jej koszulę nocną do ramion i zaczął nacierać olejkami kamforowym. Gdy poczuła dotknięcie jego dłoni, pomyślała, że nie powinna się na to godzić. Teraz nie chciała jednak protestować. Olejek pachniał sosnowymi szyszkami i eukaliptusem. W pierwszej chwili wydawał się chłodny, ale gdy Craig natarł nim jej plecy, Meg poczuła gorąco.

- Mmm... to bardzo przyjemne. Wspaniały zapach - mruknęła.

Pod wpływem jego dotknięcia jej ciało ożyło, odzyskało wrażliwość i elastyczność. Zamknęła oczy. Z trudem powstrzymywała pokusę, aby obrócić się na plecy i ofiarować mu się cała.

- Mnie również sprawia to przyjemność - szepnął tak cicho, że nie była pewna, czy go dobrze usłyszała.

Jeszcze przez kilka minut nacierał i masował jej ciało, choć nie było to już konieczne. Rozluźniła się i przestała myśleć o czymkolwiek. Powoli zasypiała. W końcu przerwał, pochylił się i delikatnie pocałował ją w kark. Nie zareagowała. Usłyszała jeszcze, jak Craig wzdycha i wstaje z łóżka.

- Śpij, Meg - powiedział. - Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Przewróciła się leniwie na bok. Przed zaśnięciem zdążyła jeszcze pomyśleć o kobiecie, która nieustannie pojawiała się między nimi - o matce Roba. Przecież Craig kochał tylko ją...

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W niedzielę Meg obudziła się bardzo późno. Usłyszała dochodzącą z salonu rozmowę. Poznała cienki głos Roba; drugi należał do jakiejś kobiety. Przeciągnęła się leniwie w ciepłym łóżku. Teraz czuła się o wiele lepiej niż po powrocie z poszukiwań.

Gdy Bonnie Mae dowiedziała się o jej chorobie, nakazała jej pozostanie w domu w poniedziałek, a w razie konieczności również we wtorek. Według niej Meg stała się bohaterką Chalmers. W kościele odbyła się ceremonia dziękczynna, w której, niestety, nie mogła wziąć udziału. Anik skontaktowała się z mamą przez telefon, co bardzo pomogło jej odzyskać równowagę.

- Co ci się stało? - usłyszała nagle pytanie. W drzwiach sypialni stał Rob i patrzył na nią z zaciekawieniem.

- To chyba tylko przeziębienie - odpowiedziała z uśmiechem. - A ty jak się miewasz?

- Dobrze - odpowiedział poważnie.

- Rob! - Meg usłyszała ostry kobiecy głos. Po chwili w drzwiach pojawiła się Gail. - Co za dziecko! - wykrzyknęła. - Bardzo go lubię, ale czasami mam już tego dosyć. Bardzo przepraszam, że wszedł bez pukania. Dzień dobry, jestem Gail Adamson.

- Dzień dobry - przywitała ją Meg. - Rob wcale mi nie przeszkadza.

Gail miała już trochę zniszczoną twarz, tak jakby wiele czasu spędzała na świeżym powietrzu. Gdy się uśmiechnęła, na jej skroniach pojawiły się kurze łapki. Mimo to była ładną i atrakcyjną kobietą.

- Craig zasłużył na kanonizację, zajmując się tym dzieckiem - ciągnęła Gail, nie zwracając uwagi na jej odpowiedź. - Gdyby nie chciał, wcale nie musiałby tego robić. Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej, dziękuję.

Za plecami Gail pojawił się Craig. Meg miała wrażenie, że słyszał jej ostatnie uwagi. Ciekawe, co miało znaczyć stwierdzenie „wcale nie musiałby tego robić”?

- Jesteś gotowa do wyjścia, Gail?

- Oczywiście.

Kobieta obrzuciła Meg uważnym spojrzeniem, po czym wyszła z sypialni. Teraz Craig zwrócił się do niej. Wydawał się pełen rezerwy, jakby się czegoś

obawiał, ale Meg odniosła wrażenie, że w ten sposób próbuje ukryć wzruszenie.

- Rob będzie tu dzisiaj, bo Gail chce gdzieś wyjść. Postaram się, żeby był cicho i dał ci spokój.

- Och, to zbyt dobre - zaprotestowała. - Czuję się znacznie lepiej. Jego towarzystwo sprawi mi przyjemność.

Wolny poniedziałek był dla Meg prawdziwym darem niebios. Spędziła niemal cały dzień w łóżku. Wstała dopiero późno po południu i wzięła prysznic. Zrobiła sobie herbatę i coś do zjedzenia. Nie czuła już nawet śladu przeziębienia. Gdy piła herbatę, zadzwonił telefon. To Dan chciał wstąpić i porozmawiać o pracy.

- Dobrze, wpadnij - zaprosiła go do siebie. - Właśnie zaparzyłam herbatę.

Z nim nigdy nie ma kłopotów, pomyślała, gdy Dan pojawił się w salonie. Jeśli są na świecie ludzie normalni i nieskomplikowani, to Dan z pewnością do nich należał.

- Gratuluję ci, Meg - powiedział, sadowiac się w fotelu.

- Zostałaś bohaterką Chalmers Bay. Teraz musimy się zająć Anik. Ona ma tu dzisiaj być. Dzwonił pastor. Rozmawiał z nią i jej rodziną i doszedł do wniosku, że powinniśmy porozmawiać z dziewczyną o chorobie jej matki, a następnie kontaktować się z nią codziennie, aż do jej powrotu. Pobyt w szpitalu w Edmonton potrwa jeszcze tydzień, może dziesięć dni. Anik rozmawiała z nią już dwukrotnie. Teraz przynajmniej wierzy, że mama żyje.

- Doskonale!

- Wiem, że jesteś na zwolnieniu, ale sądzę, że powinnaś z nią porozmawiać. Ja również chciałbym uczestniczyć w tej rozmowie. Wydaje mi się, że ojciec nie wytłumaczył Anik dostatecznie jasno, że mama tylko wyjeżdża na kurację. Bonnie Mae powiedziała mi, że chyba wszyscy o tym zapomnieli. To tylko dowodzi, że nie można zakładać, iż pewne rzeczy zostaną zrobione... Lepiej zawsze zrobić je samemu. Myślę, że moglibyśmy odbyć tę rozmowę tutaj. Atmosfera szpitala nie jest najlepsza do takich dyskusji.

- Czy Anik sama chciała tu przyjść? - spytała Meg. Obawiała się, że ktoś mógł ją do tego zmusić. - A może to pastor ją namówił?

- Tak pewnie było - przyznał Dan. - Wątpię, by ona sama wykazała taką inicjatywę. Jest na to zbyt młoda i niedoświadczona. Ojcu również nie przyszłoby to do głowy. Widzisz sama, że wszystko jest w naszych rękach!

- Rozumiem.

- Możemy z nią porozmawiać o stanie zdrowia mamy, podkreślić dodatnie strony jej wyjazdu. Teraz, po operacji, nie powinna już mieć krwotoków.

- Powinniśmy namówić Anik, aby zajęła się matką. Wtedy nie czułaby się taka bezradna - zaproponowała Meg. Zaczęła rozważać różne możliwości.

- Dobry pomysł - przyklasnął Dan i wstał z fotela. - Gdy wciągniemy ją do współpracy, pewnie będzie bardziej skłonna do rozmowy o swoich problemach.

- Uhm. Muszę przyznać, że nigdy nie zajmowałam się psychoterapią, choć wszyscy mamy z nią do czynienia na co dzień, tyle, że w niewielkich dawkach.

- Jestem pewny, że sobie doskonale poradzisz. - Dan uśmiechnął się do niej. - No, muszę już iść. Zadzwoń do ciebie, gdy przyjdzie Anik.

- Dobrze - kiwnęła głowę Meg. - Nigdzie nie wychodzę. Dziękuję, Dan.

W mieszkaniu znów zrobiło się cicho' i spokojnie. Meg naląła sobie kolejny kubek herbaty i usiadła w fotelu. Zastanawiała się nad wszystkimi wydarzeniami, jakie nastąpiły od jej przyjazdu do Chalmers Bay. Po paru minutach odgłosy ciężkich kroków przerwały jej dalsze medytacje. Meg spojrzała niecierpliwie na drzwi. Uświadomiła sobie, że jej serce nagle przyśpieszyło swój rytm.

- Cześć. - W drzwiach pojawił się Craig. Nim zdążył je zamknąć, do salonu wdarł się podmuch lodowatego powietrza. Meg aż zadygotała. - Jak się czujesz?

- Dziękuję, znacznie lepiej. Mam zamiar jutro wrócić do pracy - odpowiedziała. - Dziś po południu zamierzam pomóc Danowi w przeprowadzeniu rozmowy z Anik. To chyba można uznać za pracę.

- Mam chwilę spokoju, dlatego przyszedłem napić się herbaty - wyjaśnił rzeczowym tonem. Wydawał się zmęczony i niewyspany. - Prócz tego chciałbym z tobą porozmawiać. - Zasiadł w fotelu naprzeciw niej i przeszył ją przenikliwym spojrzeniem.

Meg pierwsza odwróciła wzrok.

- Sądziłam, że tak będzie - przyznała cicho.

Jeszcze niedawno Craig twierdził, że będzie się trzymał od niej z daleka.

- Wydaje się, że ostatniej nocy... Jakby to określić? Powiedzmy, że zapomniałem o swoich postanowieniach - zaczął, pochylając się do przodu.

- Nie masz się czym martwić - odparła z pewnym trudem. Przypomniała sobie, jak długo Craig ją masował.

- Złożmy to na karb zagrożenia zapaleniem płuc, dobrze? - zaproponował.



- Dobrze - zgodziła się.

Ta rozmowa przebiegała tak, jakby omawiali listę planowanych operacji. Meg spojrzała na niego, choć bała się, że w ten sposób zdradzi, iż chętnie przeżyłaby to jeszcze raz. Craig panował nad sobą, tylko mocno zaciśnięte szczęki zdradzały, że zapewne również tego pragnie.

- Powinnaś coś zrozumieć. Coś, co pomoże ci dojrzeć - oznajmił kategorycznym tonem. - Jeśli mężczyzna i kobieta idą do łóżka, to jeszcze nie znaczy, że kochają się lub myślą o trwałym związku. Do tego muszą się lubić, szanować, czuć bliskość uczuciową. Oczywiście, powinni również się pragnąć. .. To może jednak być również czysta, zmysłowa przyjemność. Wszystkie moje kobiety świetnie to rozumiały.

- Ja również wiem o tym - odrzekła. - Możesz sobie darować ten wykład o związkach międzyludzkich. Czemu to powiedziałaś?

- Bo chcę zrozumieć twoje motywy - wyrzucił z siebie.

- Wciąż nie mogę pojąć, dlaczego wyjechałaś z Gresham, skoro coś nas łączyło.

- Pragnę czegoś więcej. - Meg zmusiła się do wyartykułowania swoich myśli. - Nie tylko czystej, zmysłowej przyjemności. Chcę miłości.

- A mnie nie kochałaś - stwierdził z cynicznym uśmiechem. - Twoja purytańska duszyczka nie cierpiała erotycznych rozkoszy. Dobrze wiem, że była to dla ciebie przyjemność, prawda?

- Nie! - wykrztusiła z trudem. Krążyli w kółko, nie mogąc się porozumieć. Craig musiał wiedzieć, że go kocha, nie był przecież idiotą. Gdyby to teraz potwierdziła, pewnie zechciałby odnowić ich erotyczny związek. To musiałyby się dla niej fatalnie skończyć... - Bałam się, że mnie zranisz. Czy ty... czy ty mnie kochałeś? - Teraz ona pozwoliła sobie na sarkazm. - Sądzę, że w najlepszym wypadku mój wyjazd zranił twoją dumę.

- No, Meg, widzę, że masz pazurki - odrzekł zimno, nie spuszczać z niej wzroku. - Bałaś się, że będziesz cierpieć. Z mojej strony, powiedzmy, było to nie zaspokojone pragnienie. Mężczyźni są inni niż kobiety... U mężczyzn najpierw pojawia się pragnienie, potem pora na seks, wreszcie na miłość, o ile oczywiście to możliwe.

- Doprawdy? - Meg siedziała z wzrokiem wbitym w kolana. - To bardzo wygodne. W moim przypadku sprawa miała zakończyć się na seksie, prawda?

- Nie łudzę się, że cokolwiek cię obchodziłem - zignorował jej pytanie. - Nie mam wątpliwości, że erotyzm sprawia ci taką samą przyjemność, jak mnie. Ikoro tak, to nie powinnaś czuć się pokrzywdzona.

- To nie takie proste. - Przypomniała sobie pełne nienawiści twarze Joyce Travers i Cynthii Parks, które zapewne przeżyły romans z uwodzicielskim doktorem Russellem.

- Wydaje się, że złamałeś serce kilku kobietom z Gresham - dodała. Wiedziała, że nie ma nic do stracenia.

- Bardzo w to wątpię.

Na szczęście pukanie do drzwi przerwało im dalszą dyskusję. Meg uznała, że Craig usiłuje doprowadzić do wznowienia ich poprzedniego związku, w żaden sposób nie odsłaniając swoich uczuć i nie wyjaśniając związku z Gail.

Gdy Dan pojawił się w salonie, poczuła taką ulgę, że niewiele brakowało, a serdecznie by go ucałowała.

- Anik przyszła - poinformował ją. - Jest z nią jakaś ciotka. - Przerwał i zerknął uważnie na Craiga. - Mam nadzieję, że nie robisz jej znowu awantury z powodu przejażdżki sankami? Delikatnie mówiąc, tu daje się wyczuć pewne napięcie.

- Słusznie się domyśliłeś - mruknął Craig, wstając z fotela.

- Craig usiłuje mnie terroryzować - zażartowała Meg.

- Możesz się nie przejmować, poradzę sobie z nim, Jestem gotowa, Dan. Możesz przyprowadzić Anik.

- Dobrze. Craig, możesz pójść do przychodni? Ja tymczasem porozmawiam z Anik.

- Oczywiście.

Spotkanie z Anik trwało godzinę. Jej ciotka została w poczekalni przychodni, dzięki czemu mogli swobodnie rozmawiać. Dziewczyna szybko wylała swoje wszystkie żale i opowiedziała o problemach. Szesnastoletni Tarsis, którego uważała za swego chłopca, choć - jak przyznała - on chyba nie myślał o niej jako o swej dziewczynie, wyjechał na dwa lata na południe do szkoły. Nieśmiało wyjaśniła, że Tarsis zawsze świetnie się uczył i pewnie pójdzie na studia. Anik chciała w przyszłości zrobić to samo, ale jednocześnie bała się rozstania z rodziną i znajomym otoczeniem. Trudno jej było zdecydować się na wyjazd w zupełnie obce strony.

Meg przypomniała jej, że ma jeszcze dużo czasu, aby przemyśleć te problemy. Nie musiała przecież jechać. Z pewnością, w miarę dojrzewania, wszystko stanie się dla niej bardziej zrozumiałe. Tarsis wróci na lato do

Chalmers Bay. Porozmawiali jeszcze o chorobie jej mamy i o tym, jak Anik będzie mogła jej pomóc po powrocie.

Pod koniec rozmowy Anik była w wyraźnie lepszej formie psychicznej. Rozluźniła się i odprężyła. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do mówienia o sobie i swoich osobistych sprawach. Fakt, że może to zrobić i że przynosi to ulgę, był dla niej prawdziwym odkryciem. Umówili się, że będą spotykać się codziennie. Ta umowa miała charakter nieformalny, tak aby Anik nie czuła się do niczego zmuszona.

Podczas tej rozmowy Meg pomyślała, że sama mogłaby skorzystać z niektórych rad. Zawsze jest łatwiej radzić komuś niż rozwiązać własne problemy emocjonalne. Trudno dopilnować, żeby serce nie rządziło głową, tylko odwrotnie. Ludzkie uczucia i namiętności nie dają się łatwo kontrolować.

Potem Meg zasiadła w fotelu i zabrała się do pisania listu do Jen. Chciała ją poinformować, że jest zainteresowana każdą wolną posadą. Przypomniała sobie bowiem biblijne przykazanie: „lekarzu, lecz się sam”.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do końca tygodnia w szpitalu i przychodni było mnóstwo roboty. Meg i Craig rzadko przebywali razem poza pracą. W piątek wieczorem, gdy Meg przysłała na nocny dyżur, Bonnie Mae przekazała jej najświeższą nowinę.

- Dzwoniłam do Edmonron dowiedzieć się, co z matką Anik. Ma już zarezerwowany lot na najbliższą środę. Przyjedzie pod eskortą pielęgniarki. Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś sama powiedzieć o tym Anik.

- Bardzo ci dziękuję, zrobię to z przyjemnością.

W sobotę Meg wzięła z garażu skuter i pojechała do dziewczyny.

- Tak się cieszę, że mama wraca - rozpromieniła się Anik, gdy przekazała jej wiadomość. Na jej okrągłej buzi pojawił się szeroki uśmiech. — Mam wrażenie, że wyjechała wieki temu, choć w rzeczywistości to wcale nie trwało zbyt długo.

- Rozumiem cię doskonale. - Meg zacisnęła palce na jej dłoni. - Ktoś ze szpitala pojedzie na lotnisko, żeby ją odebrać. Może mogłabyś się zwolnić ze szkoły i również wyjść jej na spotkanie? Zadzwońiłabym do twojego nauczyciela. Gdyby się udało, przyjechałabym tu po ciebie.

- O, tak, bardzo dziękuję - ucieszyła się Anik

Choć Meg i Craig mieli w sobotę i niedzielę dyżur telefoniczny, przez cały czas był z nimi Rob. Dzięki temu Meg nie była z Russellem sam na sam. Bardzo polubiła chłopca, który również przywiązał się do niej. Chodził za nią krok w krok i coś opowiadał. Chwilami odnosiła wrażenie, że tworzą rodzinę. Gail pewnie myśli to samo, gdy jest z Craigiem i Robem, stwierdziła trzeźwo. Na ogół jednak starała się nie wyobrażać sobie Craiga z Gail.

Dopiero w niedzielę wieczorem, gdy Rob pojechał do domu, miała okazję zadać Craigowi pytanie, które męczyło ją niemal od tygodnia.

- Co Gail miała na myśli, gdy powiedziała mi, że wcale nie musiałeś zaopiekować się Robem? - spytała go wprost, gdy już kończyli kolację. Z trudem zdobyła się na taką odwagę. - Pewnie bardzo kochałeś jego matkę... Chciałabym poznać tę historię, żeby lepiej wszystko rozumieć.

Craig dopił resztkę czerwonego wina. Siedzieli po przeciwnych stronach niewielkiego stołu w kuchni.

- Jeśli chcesz, możesz mi powiedzieć, abym nie wtrącała się do nie swoich spraw - dodała. - Jednak naprawdę chciałabym wiedzieć.

- No, dobrze - mruknął, wbijając wzrok w kieliszek i bawiąc się nim z roztargnieniem. - Gdy spotkałem na zabawie Sonię... to znaczy matkę Roba, miała dopiero siedemnaście lat. Powiedziała mi, że ma dwadzieścia dwa lata, tyle, co ja. Wyglądała na to. Pochodziła z bardzo bogatej rodziny. Klasyczny przypadek nadmiaru pieniędzy i braku uczuć. - Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Wkrótce potem przydarzyła się ciąża.

To raczej dziwne określenie, pomyślała Meg, ale nie powtórzyła tego na głos. Wolała nie ryzykować żadnych komentarzy.

- Jej rodzice byli rozwiedzeni. Oboje usiłowali udawać, że nic się nie stało. Nie zwracali uwagi ani na ciążę, ani na jej chorobę. Sonia zamieszkała ze mną i moją mamą. Zajęliśmy się nią - ciągnął opowieść. Jego głos brzmiał dziwnie cynicznie.

- Dlaczego ona nie chciała, żebyś się z nią ożenił? - cicho spytała Meg.

- Czy ty byś tego chciała?

- Pewnie cię kochała - wykrztusiła niepewnym głosem. - No i mieliście dziecko.

- Nie bądź naiwna, Meg. On nie był... to znaczy nie jest moim synem. Rzecz jasna Sonia nic mi nie powiedziała. Kazałem zrobić analizę DNA. Chciałem wiedzieć, czy jestem jego ojcem. Chciałem znać prawdziwą sytuację.

- Przepraszam, Craig. Nie miałam o tym pojęcia.

- To nie ma znaczenia - prychnął. - Wyniki testu potwierdziły moje przypuszczenia. Nigdy nie powiedziałem Soni o swych podejrzeniach. Ona potrzebowała pomocy... Dość szybko straciłem złudzenia, że wyzdrowieje. Sonia musiała wiedzieć, że to nie ja jestem ojcem jej dziecka. Nie było sensu rozmawiać z nią o tym. Myślę, że nie zgodziła się na ślub z powodów ambicjonalnych. Nie chciała, aby na mnie spadła odpowiedzialność za jej stan. Potrzebowała mnie, nikt inny nie był skłonny się nią zająć. Oboje zgodziliśmy się na tę grę... Udawaliśmy, że ja jestem ojcem, aż niemal w to uwierzyłem.

Wstał z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po kuchni.

- Kochałem tego chłopca jak syna, przeto fakt, iż nie jestem jego ojcem, nie miał dla mnie znaczenia. Po prostu zaopiekowałem się nim.

- A Sonia? - szepnęła Meg.

- Nie kochałem jej... W każdym razie nie tak, jak ty to rozumiesz. - Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. - Pod koniec kochałem ją tak, jak brat kocha siostrę. Postanowiłem się nią zająć, to była moja decyzja.



Zaadoptowałem Roba, aby jej zwariowana rodzinka nie mogła go zabrać. Nie zamierzam mu powiedzieć, że nie jest moim biologicznym synem. To nie ma sensu, zwłaszcza że nie mam pojęcia, kim był prawdziwy ojciec. Jeśli Sonia wiedziała, i tak nikomu nie powiedziała. Dotychczas tylko Gail знаła prawdę, teraz również ty. Nie powiedziałem o tym nawet matce.

Meg nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Choć zauważyła, że chłopiec w ogóle nie jest podobny do Craiga, nawet przez sekundę nie myślała, że nie jest jego synem.

- Jeśli zamierzasz powiedzieć mi, że zachowałem się szlachetnie, to lepiej daj sobie spokój! - warknął ostro. - Kocham tego chłopca bardziej niż kogokolwiek lub cokolwiek innego na świecie. Możesz mi wierzyć, że to ja zyskałem na tym układzie. Przedtem byłem raczej cynicznym łajdakiem. Zapewne poznałem zbyt wiele ciemnych stron życia, zarówno podczas studiów, jak i w pracy.

- Wcale nie chciałam tego powiedzieć.

- Nie? Ale przecież oceniasz mnie na podstawie mojej reputacji, nieprawdaż? Widzę to czasem w twoich oczach... Słyszę ten ton moralnej wyższości, może nie? Ten okropny doktor Russell, babiarz mający nieślubne dziecko. Może to nieprawda?

- Częściowo tak. Gdybyś był bardziej otwarty, ludzie nie ocenialiby cię w ten sposób. Ty również byłeś moim sędzią. Zarzucałeś mi lekkomyślność i głupotę - przypomniała mu. - W każdym razie dziękuję ci za szczerość. Mam wrażenie, że nazbyt gwałtownie wdarałam się w twoje sprawy osobiste i bardzo cię przepraszam - powiedziała spokojnie. Jej głos nie zdradzał wewnętrznego wzburzenia. - Czy chciałbyś jeszcze kawy? Ja muszę iść do kliniki przygotować na jutro salę operacyjną.

Wybuchnął śmiechem, ale Meg wiedziała, że w rzeczywistości jest na nią zły.

- Wracamy do normalności, prawda? Czemu nie odegrać roli dobrej gospodyni i nie spróbować oswoić tego okropnego doktora Russella?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jeśli wolisz, możesz sam sobie nalać kawy - odpowiedziała sztywno. Wstała od stołu i poszła do kuchni postawić czajnik na ogniu.

- Przestań! - krzyknął za nią. - Dobrze wiem, jakie plotki krążą o mnie. W rzeczywistości sprawiają mi one pewną perwersyjną przyjemność... Dlatego im nie zaprzeczam. Mam w nosie, co ludzie o mnie myślą.

Stanął w drzwiach kuchni i oparł się o futrynę. Wydawał się nieco zamknięty w sobie, tak jakby chciał zachować dystans między nimi. Niezależnie od tego, co powiedział, pozostawało faktem, że Sonia go oszukała, korzystała z jego współczucia. Meg sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Gdy podała mu kawę, na sekundę nakrył ręką jej dłoń. Szybko cofnęła rękę, a on wybuchnął zgryźliwym śmiechem.

Poszła do swojej sypialni. Nie mogła zapomnieć o tym dotknięciu. Starannie zamknęła drzwi, przeszła do łazienki i znów uważnie zatrzasnęła za sobą drzwi. Przycisnęła do twarzy ręcznik, chcąc stłumić odgłosy szlochu. Myślała o tym, że Craig stracił zaufanie do ludzi i przelał wszystkie swoje uczucia na chłopca, który nie miał ani matki, ani ojca. To było dla niej dostatecznie oczywistym sygnałem.

Środa okazała się wyjątkowo ciężkim dniem. Oprócz zaplanowanych operacji musieli zatroszczyć się o ofiary kilku wypadków, na szczęście niezbyt poważnych. Bonnie ostrzegła Meg, że w miarę jak robi się ciepło, zawsze wzrasta liczba wypadków, ponieważ ludzie spędzają więcej czasu na dworze, a dzieci i nastolatki wariują z nadmiaru energii.

Meg z trudem zdążyła na lotnisko. Gdy podjeżdżała na parking furgonetką ze stacji, samolot z Edmonton podchodził już do lądowania.

- Och, mama, mama - szepnęła Anik, która siedziała na fotelu obok niej. Nie mogła opanować tęsknoty i niecierpliwości.

- Nie martw się, mamy jeszcze sporo czasu - zapewniła ją Meg.

Przez okno poczekalni przyglądały się, jak do samolotu podjeżdżają schody i pojawiają się pierwsi pasażerowie.

- Nie ma jej - jęknęła dziewczyna i spojrzała z przerażeniem na swoją opiekunkę.

- Spokojnie. Zapewne wyjdzie na końcu - odpowiedziała Meg. Usiłowała nie myśleć o tym, że jakiś nieprzewidziany wypadek mógł zatrzymać mamę Anik w Edmonton. Gdy czekały, podszedł do nich Greg Farley z ojcem Anik.

- Cześć, Meg - pozdrowił ją. - Przyjechałem, żeby zabrać całą rodzinę do domu. Pielęgniarka z Edmonton przenocuje u nas w komisariacie.

- Doskonale. - Meg ucieszyła się. Szczerze podziwiała sprawną współpracę lokalnej społeczności i niezawodny przepływ informacji z ust do ust. - Anik obawia się, że mama nie przyleciała.

- Nie słyszałem nic, co potwierdziłoby takie obawy - odrzekł Greg.

- Już idzie! - Ojciec Anik pierwszy zauważył żonę. Czterej mężczyźni wynieśli z samolotu fotel na kółkach, na którym siedziała kobieta otulona kocami. Stopień po stopniu znieśli go po schodach i postawili na zaśnieżonej płycie lotniska. Jeden z nich zaczął pchać fotel w kierunku terminalu.

- Och, mama, mama - jęknęła znów Anik, przestępując z nogi na nogę. Pod wpływem wzruszenia zaczęła płakać. Meg domyśliła się jednak, że to nie jest jedyna przyczyna. Dziewczyna z pewnością bała się, że mama zmieniła się pod jakimś względem.

Wszyscy podeszli do drzwi, przez które powinna wjechać mama Anik. Gdy pojawił się fotel na kółkach, siedząca na nim kobieta odrzuciła koce, odsłaniając głowę i ramiona. Meg zobaczyła szczupłą postać z krótko obciętych, lśniącymi czarnymi włosami. Wydawała się blada i znużona, jak ktoś, kto wraca z dalekiej podróży, ale nie wyglądała na osobę ciężko chorą. Miała błyszczące oczy i żywą, wyrazistą twarz. Gdy zobaczyła córkę, wyciągnęła do niej ramiona i krzyknęła coś w inuktitut. Dziewczyna rzuciła się w jej kierunku i prawie wskoczyła jej na kolana. Ścisnęła matkę tak, jakby już nie miała jej wypuścić. Jeszcze nigdy przedtem mama nie wyjechała z Chalmers Bay i nie zostawiła córki samej. Meg i pozostali cierpliwie czekali, aż mama i córka, obie we łzach, będą gotowe do dalszej drogi. Jakaś kobieta podeszła do Meg.

- Czy pani jest siostrą z miejscowej stacji?

- Tak. Przywiozłam tu córkę chorej.

- Jestem pielęgniarką ze szpitala w Edmonton - powiedziała tamta i przedstawiła się. - Dam pani zaraz całą dokumentację, jaką przywiozłam z naszego szpitala. Mam zarezerwowany lot na jutro, więc będę miała dość czasu, aby wstąpić do was i porozmawiać z jakimś lekarzem o pani Pangnark. Ona czuje się zupełnie dobrze... Z całą pewnością znacznie lepiej niż wtedy, gdy do nas przybyła.

Po przyjeździe mamy Anik zupełnie się zmieniła. Teraz dziewczyna bez przerwy coś mówiła i głośno się śmiała. Przez cały czas trzymała mamę za rękę. Meg pomogła im wsiąść do policyjnej furgonetki i szybko się pożegnała. Siostra z Edmonton i ojciec Anik mieli pojechać z nią, bo w furgonetce zabrakło miejsca. Meg zawiozła pielęgniarkę do komisariatu; po drodze umówiły się na spotkanie następnego dnia.

Gdy wreszcie wróciła do domu, miała czas tylko na herbatę. Później musiała pomóc Bonnie. Koleżanka wciąż jeszcze zajmowała się pacjentami, którzy po drobnych zabiegach tego samego dnia powinni wrócić do domu.

Meg nie miała ani sekundy, aby pomyśleć o rzeczach nie związanych z pracą.

Następnego dnia w przychodni pojawiła się Adele James po wyniki badań histopatologicznych. Jak się spodziewali, ich diagnoza została potwierdzona. To był gruczolak.

Gdy Adele poszła do domu, trzy siostry zebrały się w dyżurce na herbatę. Dan i Craig poszli coś zjeść w mieszkaniu służbowym.

- Jak dobrze, że nie ma nikogo w szpitalu! - westchnęła Bonnie między kolejnymi kęsami kanapki.

- Nie ciesz się za wcześnie - odpowiedziała Nuna. - Jeszcze coś wykraczesz. Skąd wiesz, może to tylko cisza przed burzą?

- Jeśli tak, to muszę zadbać o poziom cukru we krwi

- oświadczyła Bonnie Mae, sięgając po ciastko z kremem.

- Meg, zjedz pączka. W tym szpitalu nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będzie okazja, żeby coś przegryźć! Zresztą trochę mi zimno. Powinam coś zjeść,

- Od kiedy to potrzebujesz jakiegoś uzasadnienia, gdy chcesz jeść? - spytała Nuna.

Bonnie nie zdążyła odpowiedzieć. W tym momencie usłyszały pisk opon. Na parkingu zatrzymała się jakaś furgonetka; po kilku sekundach dobiegł ich trzask drzwi. Bonnie szybko wepchnęła do ust resztę ciastka i oblizała palce.

- Pójdę zobaczyć, co się dzieje. Wy skończcie jeść - wymamrotała. - Chyba jednak powinnam siedzieć cicho.

Wróciła po kilku minutach. Wyglądała bardzo poważnie.

- Meg, mogłabyś spojrzeć na tego faceta, którego właśnie przywieźli? Nazywa się Isaac Tatanią, sześćdziesiąt dwa lata, pracuje w hydroelektrowni. Pali. Jeśli mam rację, to sprawa jest bardzo poważna. Nim zawołamy lekarzy, chcę wiedzieć, co mamy im powiedzieć. Ma przyśpieszone tętno, obniżone ciśnienie i boli go brzuch. Powiedz mi, co o tym myślisz.

- Dobra.

- Weź stetoskop. Osluchaj piersi i brzuch. Nuna, przygotuj salę operacyjną, tylko szybko! Wiesz, co masz robić? Ciężka operacja brzucha.

- OK, Bonnie. - Nuna szybko zerwała się z fotela. - Jednak wykrakałaś!

- Niestety, chyba tak.

W izbie przyjęć Meg zobaczyła leżącego na kozetce cokolwiek otyłego Inuitę. Był bardzo blady, z czoła spływały mu kropelki potu. Nie tracąc czasu na powitania, przyłożyła stetoskop do jego piersi. Uderzenia serca były

szybkie, lecz słabe. Przesunęła słuchawkę wzdłuż aorty w kierunku brzucha. W pewnym momencie usłyszała jakiś dziwny, nienaturalny szum. Szybko zerknęła na wynik pomiaru ciśnienia krwi.

Gdy wyszła z pokoju, Bonnie chwyciła ją pod ramię i odciągnęła na bok, tak aby żona Tataniq nie mogła ich usłyszeć.

- No i co?

- To może być krwawiący tętniak aorty brzusznej. Z pewnością ma krwotok.

- Też tak myślę. Moim zdaniem lada chwila tętniak może pęknąć. Biorę go prosto na salę operacyjną. Wyjaśnię mu sytuację, zrobię kroplówkę i wprowadzę cewnik przełykowy. Chcesz się założyć, że jadł pizzę na lunch? - zażartowała. - Zadzwoń po lekarzy, niech tu zaraz przyjdą. Potem przygotuj cały zapas krwi i plazmy, jaki mamy w lodówce.

Bonnie zajęła się przewiezieniem pacjenta do sali operacyjnej, a Meg pobiegła do telefonu. Gorączkowo zastanawiała się, co muszą zrobić przed rozpoczęciem operacji. Liczyła się każda sekunda. Jeśli nastąpi pęknięcie rozwarstwiającego się szybko tętniaka, to Tataniq zapewne umrze w ciągu kilku minut. Nie miała wątpliwości, że krwotok już się zaczął.

Telefon odebrał Craig.

- Mamy tu pacjenta z rozwarstwiającym się tętniakiem aorty brzusznej. Już przygotowujemy salę operacyjną. Czy możecie obaj zaraz tu przyjść?

- Oczywiście, już biegniemy. Ile mamy krwi?

- Co najmniej dziesięć jednostek, plus świeżo zamrożoną plazmę. Na szczęście rano była dostawa.

Po odłożeniu słuchawki Meg pobiegła do laboratorium i wyjęła z lodówki pięć jednostek krwi. W tym czasie Bonnie już umieściła pacjenta na stole operacyjnym i podłączyła kroplówkę.

- Ja będę instrumentariuszką. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmij się krążeniem. Nuna nie jest przeszkolona do operacji! - krzyknęła, gdy Meg pojawiła się w sali operacyjnej. - Dopilnuj, żebyśmy mieli pod ręką dużo heparyny i siarczanu protaminy.

- OK.

Meg z wprawą przeszukała szuflady wózka anestezjologicznego.

- Czy mamy coś do załatania tętnicy? - spytała. - Gdzie mogą znaleźć?

- Jest kilka łąt z dakronu... tam, w szafce, gdzie leżą cewniki tętnicze. Weź parę.



Gdy w sali pojawili się obaj lekarze, Bonnie szykowała już tace z narzędziami. Craig natychmiast zbadał pacjenta i potwierdził ich diagnozę. Dan zaczął przygotowywać pacjenta do narkozy.

- Craig, weź trochę krwi do analizy - powiedział.

- Dobrze. Założę mu cewnik. Możesz mi pomóc, Meg? Ja będę operował, Dan będzie anestezjologiem.

Przez następnych kilka minut wszyscy szybko i sprawnie wykonywali swe zadania. Bonnie Mae już założyła cewnik przelykowy. Tataniq leżał w milczeniu na stole, ze zrezygnowaną miną poddając się wszystkim zabiegom. Najwyraźniej postanowił zaufać lekarzom. Craig wyjaśnił mu, co będą robić. Zarówno on, jak i Dan postawili taką samą diagnozę, potwierdzającą podejrzenia Bonnie. To jeszcze zwiększyło szacunek, jaki Meg żywiła dla Bonnie Mae.

- Zawiąż mi maskę, bardzo cię proszę. - Bonnie włożyła już czysty fartuch i czepek. Teraz czekała cierpliwie, aż Meg zawiąże tasiemki. Dan zaczął usypiać pacjenta.

Craig otoczył ramieniem Meg i odciągnął ją na bok.

- Jak z pewnością zdajesz sobie sprawę, nie powinniśmy tu robić takiej operacji. Niestety, nie mamy wyboru - mruknął. - Bądź uważna, skarbie. Przygotuj wszystko, co tylko może się przydać. Uważaj na tempo utraty krwi. Jeśli nie będzie jakichś komplikacji, to powinno się nam udać. Później pewnie będziemy mieć kłopoty<sup>^</sup>? krwawieniem i zakrzepami.

- Ile razy robiłeś taką operację? - spytała, unosząc brwi z zaciekawieniem. Czują przez fartuch ciepło jego dłoni.

- W Gresham dość często pomagam doktorowi Rutterowi przy operacjach naczyniowych. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać! Czyżbyś wątpiła w moje umiejętności? - uśmiechnął się.

- Nie, skądże, spytałam z ciekawości - zaprotestowała z niewinną miną.

- No, do roboty. Wracamy do starych czasów. Dobrze, że mam tu dobrą pielęgniarkę. - Niemal niezauważalnie uściśnął jej ramię, odwrócił się i podszedł do stołu operacyjnego.

- Jesteś gotowa, Bonnie? - spytała Meg.

- Tak.

W chwilę później Craig wykonał pierwsze cięcie.

Operacja trwała już półtorej godziny, gdy w sali zadzwonił bezpośredni telefon. Meg akurat trzymała w rękach całą stertę . zakrwawionych gąbek, które chciała zważyć. Na szczęście ; ktoś przewidujący umieścił guzik

interkomu w podłodze. Meg nacisnęła go nogą. Teraz mogła rozmawiać, nie podnosząc słuchawki.

- Słucham, tu stacja medyczna - powiedziała. Wszyscy na sali usłyszeli wzmocniony głos rozmówcy.

- Dzień dobry, tu Wayne Keeling z policji. Dzwonili do nas z morskiej straży przybrzeżnej. Potrzebują lekarza, który zaraz pojechałby z nimi do starej kopalni złota Carter Lake. Zawalił się tam korytarz tuż pod powierzchnią, nikt się tego nie spodziewał. Dwaj robotnicy zostali odcięci, zapewne również zgnieci. Jak wiecie, ta kopalnia była tymczasowo porzucona... Kilku ludzi z kopalni Black Lake miało zainstalować tam jakieś urządzenia i tak się to skończyło... Nie znam szczegółów. Pogotowie ratunkowe z Black Lake gdzieś wyjechało. ..

Ta wiadomość musiała ich zdekoncentrować. Wszyscy przerwali pracę, podnieśli głowy i wymienili pełne napięcia spojrzenia. W sali operacyjnej słychać było głośnie tykanie zegara.

- Czy może ktoś od was mógłby tam pojechać? - odezwał się znowu Wayne Keeling. - Helikopter straży przybrzeżnej czeka na lotnisku. W każdej chwili możemy do was przylecieć.

- Ty musisz lecieć, Meg - Bonnie Mae pierwsza odzyskała przytomność umysłu. - Obaj lekarze są potrzebni tutaj. Ja... ja niezbyt dobrze się czuję. Chyba początek grypy.

- Co takiego? - Keeling nie dosłyszał Bonnie.

- Możemy wysłać pielęgniarkę - odpowiedział mu Dan. - Ważnie robimy poważną operację i żaden z lekarzy nie może wyjechać. Co mogło się stać tym robotnikom?

- Hm, pewnie to co zawsze w takich okolicznościach... Złamania, krwotoki, hipotermia, urazy głowy. Już ich odkopują. Pielęgniarka wystarczy. Weźcie własny sprzęt.

- Wayne, poczekaj chwilę - wtrącił się Craig, nie odchodząc od stołu operacyjnego. - Musimy chwilę się zastanowić. Chcesz tam lecieć, Meg? Myślisz, że dasz sobie radę?

- Tak. - Meg już była myślami poza salą operacyjną. Tu panował porządek i ścisła dyscyplina, tam będzie musiała improwizować i sama podejmować decyzje. Wcale nie była pewna, czy sobie poradzi, ale za żadne skarby nie przyznałaby się do tego.

- Mamy trzy zestawy środków przewidzianych na takie okoliczności - powiedziała Bonnie. - W tych pudłach jest wszystko, co może ci się przydać.

- Dobra, jadę - zdecydowała Meg. - Zgoda?

- Tak - potwierdził Dan. - Przykro mi, że wypadło na ciebie. Jesteś tu dopiero od niedawna... Niestety, nikt inny nie może lecieć. Jestem pewny, że dasz sobie radę. Ci ludzie ze straży przybrzeżnej są świetnie wyszkoleni, na ciebie spadną wyłącznie sprawy czysto medyczne. Weź dwie jednostki krwi. Nam starczy osiem.

- Wysyłamy pielęgniarkę, Wayne! - wrzasnęła Bonnie do interkomu. - Tylko powiedz tym facetom ze straży, że mają jej dobrze pilnować. Żadnych bohaterkich" czynów! Będziemy gotowi za dziesięć minut, czekamy na parkingu.

Przyjdźcie po nią!

- OK, doskonale! Greg już jedzie furgonetką! Dziękuję! Koniec rozmowy.

- Wayne odłożył słuchawkę.

- Do licha, co on sobie wyobraża, co to za „koniec rozmowy” - zaśmiała się Bonnie. - No, Meg, zbieraj się. Pomogę ci wynieść te zestawy ratunkowe. Każde pudło waży pewnie tonę. Craig, zostawiam was na parę minut samych.

Bonnie ściągnęła rękawiczki i podeszła do drzwi od sali operacyjnej.

- Nuna! - krzyknęła na całe gardło. - Chodź tutaj, tylko szybko! - Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Nuna natychmiast pojawiła się przed drzwiami. - Będziesz musiała tu pomóc. Tylko nie dotykaj czystych narzędzi. Ja zaraz wrócę. Meg, jesteś gotowa?

- Ja... tak... - Chciała pożegnać się z Craigiem, ale nie było to możliwe. Musiało wystarczyć proste „do widzenia”. - Mam nadzieję, że operacja zakończy się pomyślnie.

- Z pewnością - spokojnie odpowiedział Dan. - Zajmij się swoimi problemami, Meg. Powodzenia.

- Meg! - zawołał Craig, gdy już miała wyjść na korytarz. Obróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię. Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy. - Uważaj na siebie. Nie ryzykuj bez potrzeby.

- Nie zamierzam. Do widzenia. Słowa Craiga dodały jej otuchy.

Wspólnym wysiłkiem wystawiły przed drzwi stacji trzy zestawy ratunkowe. Dalej miał się nimi zająć Greg Farley.

- Idź się ubrać, Meg - poleciła jej Bonnie. - Włóż wszystkie ciepłe ciuchy. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Weź rakiety śnieżne i strzelbę, trochę jedzenia i coś do picia. Nie zapomnij amunicji. Masz na to pięć minut.

- Bonnie uściskała ją na pożegnanie. - Naprawdę uważaj na siebie. Jak

będziesz miała wypadek, nikomu nie pomożesz. Przepraszam, że to spadło na ciebie, ale ja naprawdę czuję się wyjątkowo parszywie.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Meg.

- Pamiętaj... Najpierw daj rannym antyhistaminę i środki znieczulające, potem będziesz mogła się nimi spokojnie zająć. Wszystkie strzykawki są gotowe do użycia. Powodzenia!

- Dzięki, Bonnie. - Meg machnęła jej ręką na pożegnanie i pobięła się przebrać.

W pokoju szybko zrzuciła buty i fartuch. Włożyła ciepłą bieliznę, potem koszulę, dwa swetry, spodnie i ocieplacze. Na wierzch wciągnęła najcieplejszą, puchową kurtkę. Przed wyjściem wrzuciła jeszcze do torby trochę jedzenia i amunicję. Wyciągnęła ze schowka rakiety śnieżne, strzelbę i pobięła do wyjścia.

Greg Farley już na nią czekał.

- Cześć, Meg. Cieszę się, że cię widzę, choć wolałbym, abyśmy spotkali się w innych okolicznościach... Taka służba, prawda? Te pudła też mają jechać?

- Tak. Te dwa są potwornie ciężkie.

- Dobra, ja się nimi zajmę. Weź to lżejsze.

Na zewnątrz było już ciemno. Gdy wyszli, Meg poczuła na policzkach podmuch mroźnego wiatru.

- Na lotnisku czeka na ciebie helikopter straży przybrzeżnej - powiedział Greg. - To jedna z tych wielkich maszyn używanych do patrolowania zatoki - wyjaśniał dalej, tak jakby prowadzili towarzyską rozmowę. - Załoga jest bardzo doświadczona, będziesz z nimi bezpieczna. Zawiadomiam nas, gdy będziecie już wracali, a ja wtedy zadzwonię do szpitala.

Zamierzam zatrzymać samolot do Yellowknife. Jeśli będzie trzeba, to od razu wyślemy rannych do dużego szpitala. Dzwoniłem również, żeby przyleciał samolot z pogotowia, ale nie wiem, czy będą tu na czas.

Przez całą drogę na lotnisko Greg opowiadał Meg, co może ją spotkać w Carter Lake i jak będzie mogła się kontaktować ze stacją.

- Te kopalnie są dość duże - wyjaśnił. - Jest kilka szybów, ciepłe pomieszczenia. Mają własne zasilanie. Na szczęście jeszcze go nie zdemontowali, choć zamykają tę kopalnię.

Na płycie lotniska czekał na nich wielki, dwuwirnikowy helikopter. Ryk silników uniemożliwiał rozmowę. Pilot i dwaj pozostali członkowie załogi byli już w środku, gotowi do startu. Policjanci szybko przeładowali skrzynie

z furgonetki na pokład helikoptera. Nawigator dał Meg hełm z nausznika-mi. Nim się obejrzała, już siedziała na fotelu, przypięta pasami. Pożegnała Grega machnięciem ręki. Helikopter zakołysał się i wzbił w powietrze. Lecieli na południowy zachód.

Gdy wznieśli się ponad zaśnieżoną ziemię, Meg spróbowała wyrzeć przez okno. Niestety, zobaczyła tylko własne, nieco zdeformowane odbicie. Nagle pomyślała o ciastkach i herbacie i przypomniała sobie słowa Bonnie: „W tym szpitalu nigdy nie wiadomo, kiedy znowu będzie okazja, żeby coś przegryźć!”

RS



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Wolałbym nie lecieć podczas takiej wichury, chyba że jest to naprawdę konieczne. Wygląda na to, że zaraz zacznie się solidna burza. W jakim stanie są ci dwaj? - spytał pilot helikoptera.

Stali przed biurem w ogromnej, podziemnej hali, stanowiącej główne wejście do kopalni Carter Lake. Naradzali się pośpiesznie, co robić dalej. Od wejścia, odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów, dochodziło do nich potępięcze wycie wiatru.

- Jeden, na imię ma Cam, jest w poważnym stanie - zaczęła Meg, starając się mówić cicho. - Ma obrażenia głowy i krwotok wewnątrz czaszki. To wymaga dość szybkiego działania, trzeba mu zrobić trepanację. Teraz bardziej niepokoją mnie jego rany piersi. Ma złamane żebra i przedziurawione prawe płuco. W każdym razie to krwotok w opłucnej, do której również przedostaje się powietrze z płuc. Trzeba szybko odessać odmě i zrobić intubację. Ostatecznie mogłabym to zrobić, mam wszystkie potrzebne narzędzia, ale wolałabym zostawić ten zabieg lekarzom...

- Na czym to polega? - Pilot spojrział na nią uważnie, rozważając argumenty za i przeciw natychmiastowemu powrotowi.

- Trzeba wykonać cięcie w boku... - Meg wyjaśniła mu szczegóły zabiegu.

- Już rozumiem. Nie mamy łatwego wyboru.

- Myślę, że ma także uszkodzoną trzustkę, która krwawi. Jeszcze złamanie kości piszczelowej prawej nogi. Moim zdaniem nie mamy wyboru, musimy lecieć. - W tym momencie Meg pomyślała, że wiatr może ich rzucić na drzewa. Zacisnęła usta. - Jeśli nie zawieziemy go do szpitala, pewnie się wykrwawi. Ta krew, którą mu przetoczyłam, nie starczy na długo. - Urwała i podniosła do ust filiżankę z kawą. Stan obu rannych bardzo ją niepokoił. - Ten drugi jest w Znacznie lepszej formie. Żadnych oczywistych złamań. Zapewne wstrząs mózgu.

- Uhm...

- Jak pan myśli, co spowodowało zapadnięcie się korytarza?

Meg dotychczas nie miała czasu, by zadać to intrygujące ją pytanie. Obaj robotnicy szli tunelem wzdłuż torów kolejki, gdy nagle z góry runęły skały.

- Moim zdaniem to sabotaż. Właściciele kopalń często walczą ze sobą, stosując różne brudne chwyt. To zadanie dla policji. My nie powinniśmy zadawać zbędnych pytań - cynicznie zaśmiał się pilot.

- Rozumiem...

- No, dobra - podjął decyzję. - Lecimy. W razie konieczności wylądujemy gdzieś po drodze - dodał, wskazując ręką, aby przeszła do biura, gdzie obaj ranni leżeli na noszach. Tam czekali na nich pozostali członkowie załogi helikoptera i kilku robotników.

- Lecimy - ogłosił swą decyzję. - Ruszajcie się, tylko szybko.

- Chwileczkę, jeszcze tylko sprawdzę ciśnienie - wtrąciła Meg, poprawiając Camowi maskę tlenową, dołączoną do niewielkiej butli, która wchodziła w skład zestawu ratunkowego. Bała się, że tlen się skończy, nim dotrą do stacji.

- Jak się czujesz, Cam? - Pochyliła się nad nim i zmierzyła ciśnienie. - Już zaraz lecimy do stacji medycznej w Chalmers Bay.

Cam zamrugał na znak, że zrozumiał i czuje się nieźle.

Jego skóra przybrała żółtawy odcień, miał sine usta. Gdy Meg zmierzyła mu ciśnienie, znów zaczęła się obawiać o jego los, ale nie dała nic po sobie poznać. Bez pośpiechu zwiększyła dopływ tlenu do maski i tempo przetaczania krwi.

- Wszystko będzie dobrze. - Uśmiechnęła się do niego. - Trzymaj się.

Wyprostowała się i spojrzała w oczy pilotowi. Nie musiała nic mówić. Sam zrozumiał, że powinni się śpieszyć. Załoga helikoptera również wiedziała, o co chodzi. Bez słowa chwycili uchwyty noszy i ponieśli Cama do maszyny.

- Jeśli to możliwe, chciałabym połączyć się ze stacją medyczną w Chalmers Bay - powiedziała Meg do jednego z pracowników kopalni. - Jak tylko wystartujemy, proszę zawiadomić policję w Chalmers. Chcę, żeby wiedzieli, że już lecimy. Wylądujemy nie na lotnisku, ale przy stacji. Proszę ich o tym uprzedzić.

- Oczywiście - zapewnił ją mężczyzna i postarał się o błyskawiczne połączenie z Chalmers Bay.

- Craig? - Meg przycisnęła słuchawkę do ucha. - Już lecimy. Obrażenia głowy, potrzebna trepanacja - mówiła szybko i bezładnie, tak jakby się bała, że za sekundę łączność zostanie zerwana. - Poważne rany klatki piersiowej. Uszkodzona trzustka, pewnie również wątroba. Złamana prawa piszczel. Ogólne potłuczenia. To jeden. Drugi w lepszym stanie, pewnie tylko wstrząs mózgu. Lecimy prosto do was, nie na lotnisko. To wszystko.

- OK, Meg. Będziemy gotowi - odparł stanowczo. Jego głos podziałał na nią uspokajająco. - Czy wiesz, jak odessać odnę i zrobić intubację?

- Myślę, że dam sobie radę.

- Jeśli zsinieje, to nie wahaj się ani sekundy. Trzymaj się, kochanie. Wkrótce się zobaczymy.

- Do widzenia.

Meg odłożyła słuchawkę. Członkowie załogi helikoptera właśnie wrócili po drugiego rannego. Teraz wszyscy razem ruszyli do wyjścia.

Szli szybkim krokiem przez teren kopalni. Meg trzymała się nieco z tyłu. Niosła jeden z zestawów ratunkowych, teraz o wiele lżejszy niż przy wyjeździe. Gdy wyszli na zewnątrz, wyjący wiatr niemal pozbawił ją tchu. Dopięto teraz Meg w pełni zrozumiała obawy pilota. Wewnątrz kopalni nie czuło się tak zmiany pogody. Dotychczas martwiła się tylko o życie rannych, teraz zaczęła się bać również o swoje bezpieczeństwo. Na domiar złego z nieba posypał się mokry śnieg.

Potężny helikopter stał na dziedzińcu kopalni, mężnie znosząc uderzenia wichury. Jego kabina była przystosowana do takich okoliczności. Członkowie załogi szybko przypięli nosze do podłogi i podobnie zabezpieczyli kroplówkę oraz butlę z tlenem.

Tym razem start wyglądał zupełnie inaczej niż w Chalmers. Gwałtowny wiatr szarpał helikopterem na wszystkie strony. Meg po raz kolejny sprawdziła stan obu rannych, po czym przygotowała wszystko do odessania odmy. Już wcześniej przycięła szwy koszuli Cama, aby móc go zbadać. Ośluchała go raz jeszcze. Dobrze słyszała, jak krew szybko sączy się do opłucnej.

Jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak jak teraz, nawet gdy w kopalni musiała pełznąć na klęczkach między skałami, aby dotrzeć do rannych. Ciężki helikopter tańczył w powietrzu niczym dziecinna zabawka. Miała wrażenie, że zaraz roztrzaskają się o drzewa. Weź się w garść, dziewczyno - upomniała się w myślach. - Pora zabrać się do roboty.

- Muszę wprowadzić dren do klatki piersiowej - powiedziała do mechanika pokładowego. - Może mi pan w tym pomóc?

- Oczywiście!

Meg wyjaśniła mu i Camowi, co zamierza zrobić. Przypomniała sobie, jak wiele razy oglądała wykonanie tego zabiegu w Gresham. Włożyła rękawiczki i otworzyła torbę z narzędziami. Przypomniała też sobie słowa Craiga: „Trzymaj się, kochanie. Wkrótce się zobaczymy”.

Ogromny helikopter zawisł niczym gigantyczna wazka nad zaśnieżonym lądowiskiem na tyłach stacji medycznej. I<sup>^</sup>d powietrza unosił w górę tumany śniegu. Po chwili pilot posadził maszynę na ziemi. Z budynku podbiegło do

nich kilka postaci w grubych kurtkach. Mechanik i nawigator wprawnie odczepili uchwyty noszy i podali je do drzwi. Gdy Meg wysiadła, zobaczyła Craiga i Dana, którzy już eskortowali rannych do szpitala.

- Wszystko w porządku, Meg?! - wrzasnął Craig, z trudem przekrzykując szum wiatru i wirników.

- Tak!

Nie było teraz czasu na rozmowy, musieli jak najprędzej dostarczyć rannych na salę operacyjną.

Walcząc z wiatrem, dobrnęli jakoś do budynku. Obaj lekarze pośpiesznie ściągnęli kurtki. Teraz oni dołączyli się do wyścigu z czasem. W sali operacyjnej czekała na nich Bonnie i dwa gotowe stoły. Meg szybko przebrała się, umyła i weszła do sali. Bez słowa zajęła się przygotowaniami do operacji.

- Będziesz musiała asystować, Meg! - zawołała do niej Bonnie. - Weźmiemy się do obu równocześnie. Wszystko już przygotowałam. Przykro mi, mała, ale nie ma czasu na herbatkę - dodała z uśmiechem.

- Bałagan, jak po przejściu trąby powietrznej - westchnęła Bonnie.

Stała z rękami na biodrach pośrodku sali operacyjnej. Wszędzie walały się brudne instrumenty, gąbki i zakrwawione kawałki gazy. Zaśmiała się niemal histerycznie. Teraz mogły już sobie pozwolić na chwilę luzu. Pozostało im tylko sprzątanie. Wózek anestezjologiczny wyglądał tak, jakby pracował na nim oszalały artysta.

Craig i Meg zajęli się Camem. Zrobili trepanację czaszki. Craig postanowił również, na wszelki wypadek, wykonać tracheostomię. Następnie zoperował brzuch, aby usunąć uszkodzenia trzustki i wątroby. Na koniec złożyli Caraowi złamaną nogę. Dan i Bonnie Mae zadbali o drugiego rannego. Pielęgniarka jednocześnie pełniła rolę anestezjologa.

Podczas operacji przyszła wiadomość o przylocie samolotu z pogotowia w Yellowknife. Craig postanowił wysłać obu rannych do dużego szpitala zaraz po zakończeniu operacji. Ponieważ w skład załogi z Yellowknife wchodził tylko sanitariusze, Dan zgodził się lecieć z nimi, natomiast Craig eskortował ich na lotnisko.

- Nie kracz znowu! - zaśmiała się Meg, również bliska hysterii. Z trudem trzymała się na nogach. - Brakuje nam tylko trąby powietrznej!

- No, ale poradziliśmy sobie! - mruknęła z satysfakcją Bonnie Mae. Meg czuła się podobnie. - Wszyscy przeżyli! Teraz zajmą się nimi w

Yellowknife. Biedny Dan, widać było, że już pada, choć nie chciał się do tego przyznać. Mówił, że z powodu napięcia i tak nie mógłby zasnąć.

- No, ale jak powiedział, udało się nam ustrzelić trzy ptaki jednocześnie... jeśli mogę tu użyć słowa „ustrzelić”. Mamy z głowy również Tataniq. Cieszę się, że wyżył; wcale nie byłam tego pewna - powiedziała Meg. - No i Cam... To prawdziwy cud, że udało się go uratować.

- Gdybyś nie odessała mu odmy, byłby już na tamtym świecie - oświadczyła Bonnie. Najwyraźniej musiała pogadać o wydarzeniach całego dnia, żeby jakoś odreagować napięcie. Z szyi wciąż zwisała jej maska. - Świetnie to zrobiłaś.

- A ty doskonale wszystko przygotowałaś. Od przyjazdu do szpitala wszystko szło jak w zegarku.

- To normalka, kochanie - skromnie odrzekła Bonnie.

Zdjęła poplamiony krwią fartuch i rzuciła go na stertę brudów. - Gdy cię nie było, Craig cholernie się niepokoił. Wciąż spoglądał na zegarek i co chwilę kazał dzwonić na policję, żeby czegoś się o tobie dowiedzieć. Zachowywał się jak zraniony niedźwiedź. Gdy Greg powiedział nam, że wokół kopalni szaleje burza i jesteście chwilowo uziemieni, myślałam, że zacznie ciskać instrumentami. Już dawno nie mieliśmy tu takiego przypadku!

- Bonnie, nie przesadzaj - powiedziała Meg ze śmiechem i zabrała się do sprzątnięcia.

- Wcale nie przesadzam! Jeszcze go nie znasz!

- Pewnie czuł się winny, że sam nie poleciał - mruknęła, ale nie zdołała opanować uśmiechu.

- Nie... To coś więcej... - westchnęła Bonnie. - Zresztą wkrótce powinien wrócić. Samolot z Yellowknife już pewnie odleciał.

- Lepiej weź się do roboty, Bonnie. - Meg sprawnymi ruchami upychała do worka brudne rzeczy. - Coś ty taka wesolutka? Podobno byłaś chora.

- Tak, ale w Chalmers nie wolno zwracać uwagi na chorobę tak długo, póki można jeszcze ustać na nogach. Stosuję się do tej reguły.

Gdy Meg wróciła wreszcie do mieszkania, nadchodził świt. Otworzyła cicho drzwi i weszła do środka. Obawiała się tego spotkania.

Craig czekał na nią w salonie. Siedział w fotelu z głową odrzuconą do tyłu. Zamknął oczy i wyciągnął wygodnie nogi. Zatrzymała się przy drzwiach. Otworzył oczy i jednym, płynnym ruchem zerwał się z fotela. Wydawał się potwornie zmęczony. Miał podkrążone oczy, zapadnięte



policzki, a włosy spadały mu w nieładzie na czoło. Mimo to mierzył ją zdecydowanym spojrzeniem.

- Może chcesz się czegoś napić, Meg? - spytał. - Whisky czy koniak? Przyniosłem trochę koniaku. Po tym, co dziś przeżyłaś, kieliszek alkoholu dobrze ci zrobi.

- Tak, nalej mi odrobinę... Dziękuję.

Wiedziała, że sama wygląda nie lepiej od niego. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Z przyjemnością pociągnęła łyk doskonałego koniaku. Oczywiście,.. Craig Russell nigdy nie zadowala się czymś pośledniego gatunku. Bez wątpienia, gdy kiedy zwiąże się z jakąś kobietą, jego żona będzie pasować poziomem do tego trunku.

Gdy zbliżył się do niej, nie mogła opanować wewnętrznego dygotu. Nie miała siły spojrzeć mu w oczy. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin sporo razem przeżyli.

- Chcę ci pogratulować - powiedział cicho. - Znakomicie odessałaś odmě. Prawdopodobnie ten facet zawdzięcza ci życie. Dzięki tobie miałem znacznie ułatwione zadanie.

Popatrzyła na niego podejrzliwie. Sądziła, że znów sobie żartuje. Jednak w jego głosie nie słyhać było sarkazmu, a w oczach dostrzegła powagę i coś na kształt pokory.

- Dziękuję. To nie było proste - przyznała słabym głosem. - Mówiąc dokładniej, strasznie się bałam. Jak myślisz, czy Cam przeżyje? - spytała.

Z trudem trzymała kieliszek w trzęsącej się dłoni. Przez chwilę przyglądała się jej tak, jakby to była ręka pacjenta.

- Jeśli nic się nie zdarzy podczas lotu, to wszystko będzie dobrze. Można się obawiać krwotoku, a Tataniqowi grozi zatrzymanie akcji serca. Sądzę jednak, że nic się im nie stanie. W Yellowknife mają dość ludzi i sprzętu, żeby się nimi zająć.

- Tak. Też tak myślę. Właściwie mam nadzieję...

- Przecież sama to wszystko wiesz. Nie muszę ci niczego wyjaśniać, prawda? Nawiasem mówiąc, wczoraj dowiedziałem się, że John Oldman dobrze się czuje.

- Cieszę się. On był taki sympatyczny.

Meg nie miała wątpliwości, że oboje boją się rozmawiać o najważniejszym. Czuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Sama nie wiedziała dlaczego. Być może był to skutek długotrwałego napięcia.

- Uhm - mruknął Craig. Zdawał sobie sprawę z jej stanu. Znów podniosła do ust kieliszek. Przez chwilę trzymał koniak w ustach, rozkoszując się jego smakiem i mocą. Gdy przełknęła, poczuła w środku przyjemne ciepło. Siedzieli nieruchomo, aż Meg wreszcie opróżniła swój kieliszek.

- Bardzo się o ciebie niepokoiłem - powiedział nagle Craig. - Zwłaszcza gdy zaczęła się burza.

- Ja też się bałam - westchnęła dziewczyna. - Pilot nie chciał lecieć, ale nie mieliśmy wyboru.

Russell pochylił się, wyjął z jej bezwładnych palców kieliszek i odstawił go na stół. Miała ochotę się odsunąć, lecz zabrakło jej siły. Położył rękę na jej ramieniu i powoli przesunął ją na kark, powyżej kołnierzyka fartucha. Delikatnie głaskał jej skórę, jakby lekko masował zmęczone mięśnie. Wiedziała, że Craig pragnie teraz kobiety, ale wcale nie była pewna, czy chodzi mu właśnie o nią. A może zadowoliliby się każdą? - pomyślała cynicznie. Jednocześnie czuła, że serce jej pęka z miłości. Marzyła o tym, aby zaspokoić ich wzajemne pragnienia, ale nie mogła zagłuszyć wewnętrznego głosu nakazującego ostrożność.

- Teraz lepiej? - spytał czule.

Była wzburzona i nie wiedziała, jak zareagować.

- Lepiej - mruknęła. - Ale i tak zaraz padnę. Poruszyli się jednocześnie: Craig objął ją, a ona wtuliła się w jego ramiona. Znów usłyszała huk silników helikoptera, przypomniała sobie gwałtowną huśtawkę podczas burzy i widok woskowej twarzy Cama, gdy walczyła o jego życie. Z całych sił przyłgnęła do mężczyzny.

Cam był zbyt młody, aby tak głupio zginąć w wypadku. Meg miała przed oczami jego sympatyczną twarz. Dzielnie znosił cierpienia. Jego matka nie wiedziała nawet, że syn walczy o życie. W pewnym momencie Meg chciała uklęknąć obok noszy i wziąć go w ramiona. Musiała jednak przede wszystkim myśleć, jak go ratować. Transfuzja, opatrunki, tlen, intubacja, odma... Pracowała szybko i sprawnie, ale przez cały czas czuła dziwny ucisk w gardle. Później, w sali operacyjnej, zauważyła, że Craig, Dan i Bonnie zachowują się tak samo.

Teraz mogła się tylko modlić, żeby ranni, i Dan dotarli pomyślnie do Yellowknife.

- Och, Craig - westchnęła. - Przytul maje. Drżała ze zmęczenia. Była sztywna i obolała.

Przez dłuższą chwilę Craig trzymał ją w ramionach. Milczał i tylko delikatnie kiwał się na boki.

- Usiądź - zaproponował wreszcie.

Siedli obok siebie na sofie. Craig przez cały czas ścisnął w ręce szklaneczkę z whisky. Meg oparła się o niego. Oboje raz jeszcze przeżywali wydarzenia tego burzliwego dnia. Teraz istniało tylko to, co było ważne dla nich obojga.

W pewnej chwili odsunęli się od siebie. Popatrzyli sobie w oczy. Nie mieli już żadnych wątpliwości. Craig objął dłońmi twarz Meg i namiętnie pocałował ją w usta. Bez wahania odwzajemniła pocałunek. Teraz wiedziała, że stanowią jedność. Żadne różnice nie miały już znaczenia. Ten czuły, namiętny pocałunek był tego dostatecznym dowodem. Po długiej wędrówce wrócili do domu.

- Kocham cię, Meg Langham, ty piękna wariatko - szepnął Craig. Jego głos drżał. - Dziś muszę się do tego przyznać. Potwornie się bałem, że zginiesz, nim zdążę ci to powiedzieć.

- Craig... - wyjąkała niepewnie. Nie miała odwagi uwierzyć w jego słowa.

- Od pierwszej chwili czułem, że tak się to skończy... od naszego pierwszego spotkania. Dlatego nie mogłem uwierzyć, że wyjechałaś z Gresham. Dlaczego na mnie nie poczekałaś, Meg?

- Gdy się czegoś... to znaczy kogoś bardzo pragnie, to człowiek boi się, że go nigdy nie zdobędzie. Uciekłam, bo bałam się, że mnie porzucisz.

- Nigdy bym tego nie zrobił. Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Oczywiście, starałem sienie poddawać, ale...

Ich usta znów połączyły się w długim pocałunku. Obejmowali się tak mocno, jakby już nigdy nie mieli się rozstać.

- Chcę dziś z tobą spać, nie chcę zostać sama - wyznała otwarcie. - Ja też miałam przeczucie...

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, jego uważne, przenikliwe spojrzenie i nieco cyniczny uśmiech, który zdradził, że wpadła mu w oko.

- A kim ja jestem dla ciebie, Meg?

- Kocham cię już od dawna. Chcę ci to teraz powiedzieć. Właśnie teraz, gdy jestem zmartwiona i smutna, abyś wiedział, że to prawda.

Już dłużej nie mogła powstrzymać łez, które potoczyły się po jej bladych policzkach.

- Tak... Teraz wiem. - Wstał i wziął ją na rękę. - Chodź, położymy się u mnie. Nie mogę zasnąć, póki nie zadzwoni Dan. Muszę się dowiedzieć, czy dotarli już do szpitala w Yellowknife. To jeszcze trochę potrwa.

- Craig... A co z Gail?

- A co ma być? Gail zawsze była dla mnie tylko i wyłącznie przyjaciółką. Wierz mi, kochanie - zapewnił ją, patrząc jej prosto w oczy.

- Wiele was łączy - szepnęła.

- Tak, głównie przeszłość. Chodziliśmy razem do szkoły. To zupełnie co innego niż nasz związek. Zawsze będę jej wdzięczny za to, co zrobiła dla Roba i dla mnie... i dla Soni. Ale kocham ciebie, Meg.

Musiła mu uwierzyć.

Położyli się obok siebie na łóżku i przykryli kocem. Meg była tak zmęczona, że nawet nie miała siły się rozebrać. Koniak zaczął już działać.

- Opowiedzieć ci bajkę? - zapytał Craig. - O tobie i o mnie, i o tym, jak żyli długo i szczęśliwie. - Gdy ją po całował, poczuła na wargach smak własnych łez. - Przecież znasz tylko takie bajki... Ta opowieść świetnie do nas pasuje, nie sądzisz?

- Nabijasz się ze mnie?

- Nie.

- Kocham cię tak bardzo, Craig... Jutro mi opowiesz tę bajkę, teraz chcę znać tylko zakończenie. - Uśmiechnęła się do niego i odwzajemniła pocałunek. Nie mogła jeszcze uwierzyć, że właśnie zdarzył się cud... To wszystko stało się tak nieoczekiwanie, żadne z nich tego nie zaplanowało. Patrzyli na siebie, jakby przed chwilą na nowo się odnaleźli.

- Jesteś pierwszą kobietą, którą naprawdę kocham - wyznał Craig, muskając ustami jej policzek. - Chcę, żeby zaśpiewali pieśń weselną tylko dla nas. Tym razem naprawdę. Zgodzisz się?

- Tak

Uśmiechnęła się do niego, zapominając o wszystkich prześladowających ją widmach, strachach i wątpliwościach.

- Zgodzisz się być matką mojego syna? On jest częścią mnie... Będzie ze mną jeszcze długo.

- Tak. Już myślę o nim jak o własnym dziecku. Wiem, że jesteście jednym - odpowiedziała.

Leżeli wtuleni w siebie, czekając na telefon z miasta oddalonego o setki kilometrów. Z każdą sekundą stawali się sobie bliżsi i wiedzieli, że tak już będzie zawsze. Nie mogli zasnąć; oboje myśleli o słowach pieśni weselnej,

mówiących, że ich miłość zastąpi im słońce, dopóki na dalekiej północy nie zacznie się znów lato.

RS